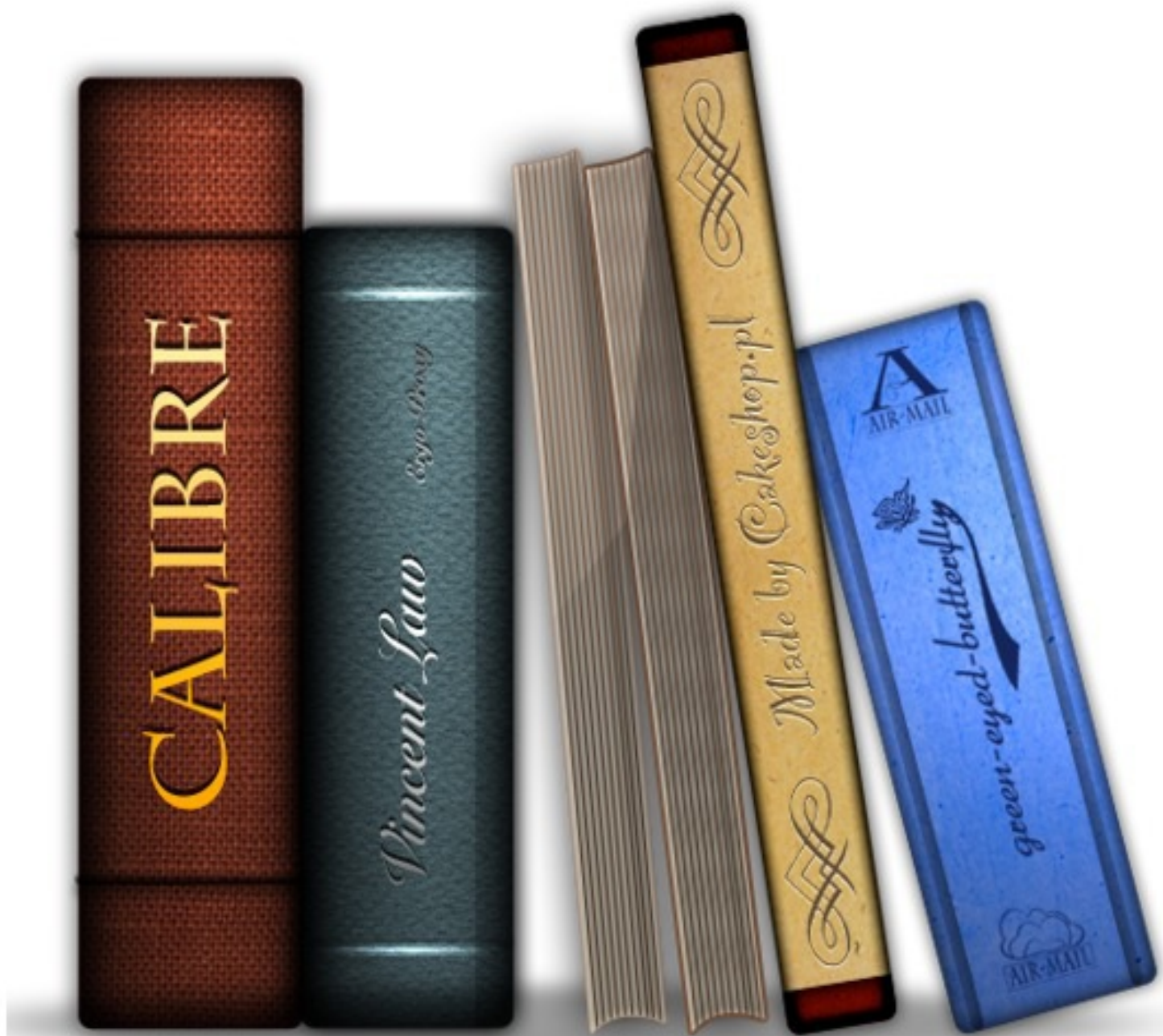


Kroniki Pradawnego Mroku II Wedrujacy Duch

Paver Michelle



calibre 0.7.27

PAVER MICHELLE
Kroniki Pradawnego Mroku II
Wedrujący Duch

Samica tura wynurzyła się niespodziewanie spośród gęstwy drzew porastających przeciwległy brzeg strumienia.

Torak patrzył właśnie ku wierzbom, upstrzonym cętkami słonecznego światła, i nagle ją spostrzegł. Przewyższała wzrostem najwyższego mężczyznę. Potężnymi, zakrzywionymi rogami mogła bez trudu przebić niedźwiedzia. Jeśli zaatakuje, Torak będzie w opałach.

Pech chciał, że wiatr wiał w jej stronę. Chłopiec wstrzymał oddech, widząc, jak płaski, czarny pysk drgnął, gdy zwierzę chwyciło w nozdrza jego zapach. Turzyca parsknęła i zamiotła ziemię potężną racicą.

Z leśnego podszycia wyjrzało ciele i Torak poczuł ściskanie w żołądku. Tury to zazwyczaj łagodne stworzenia – pod warunkiem że nie mają akurat młodych.

Chłopiec bezszelestnie wycofał się w cień. Może uda mu się uniknąć ataku, jeżeli jej nie wystraszy.

Turzyca parsknęła ponownie, paprocie zatrzęszy się od wierzgnięć masywnego łba uzbrojonego w imponujące rogi. Najwyraźniej uznała w końcu, że Torak nie próbuje na nią polować, i osunęła się w błoto, aby się wytarzać.

Chłopiec powoli odetchnął.

Ciele ruszyło chwiejnym krokiem ku matce, pośliznęło się, kwiknęło i upadło. Turzyca podniosła głowę, nosem pomogła mu wstać, po czym powróciła do przerwanej przyjemności.

Torak, skulony za jałowcowym krzakiem, zastanawiał się, co począć. Wódz klanu, Fin-Kedinn, posłał go po wiązkę wierzbowej kory, którą wcześniej pozostawili w strumieniu, aby zmiękla. Chłopiec nie chciał wracać do obozu z pustymi rękami, choć na to, by dać się stratować turzycy, miał jeszcze mniejszą ochotę.

Postanowił zaczekać, aż zwierzę się oddali.

Był ciepły dzień, sam początek miesiąca Bez Mroku. Las stał ospale w słonecznym blasku. W koronach drzew rozbrzmiewały ptasie śpiewy, ciepły, południowo-wschodni wietrzyk niósł ze sobą woń kwiatów lipy. Serce Toraka przestało łomotać. Posłyszał gromadę dzwońców, myszkujących w leszczynowej gęstwinie w poszukiwaniu pożywienia i nawołujących się nawzajem. Zobaczył żmiję wygrzewającą się na kamieniu. Próbował skupić na tym wszystkim myśli, które – jak zazwyczaj w takich chwilach – popłynęły mimo woli ku Wilkowi.

Wilk musiał być już teraz niemal dorosły, choć kiedy Torak go spotkał, był zaledwie szczeniakiem, który podskakiwał zabawnie, by opaść na wszystkie cztery łapy, i natarczywie dopominał się o garść jagód brusznicy...

Nie myśl o Wilku, nakazał sobie Torak surowo. Wilk odszedł. Odszedł na zawsze i nigdy już nie wróci. Pomyśl o turzycy, o żmii albo...

Raptem zobaczył myśliwego.

Mężczyzna znajdował się na tym samym brzegu strumienia, co Torak, lecz dwadzieścia kroków dalej w dół jego biegu, skąd turzyca nie mogła go już zwietrzyć. Twarz

myśliwego kryła się w głębokim cieniu, Torak zauważył tylko, że nieznajomy ubrany jest, jak on, w bezrękawnik z kozłej skóry i spodnie do kolan, na nogach zaś

ma skórzane buty. W przeciwieństwie do Toraka nosił kiel dzika na rzemieniu u szyi. Myśliwy z klanu Knura.

Zazwyczaj widok owego kła uspokajał Toraka. Klan Knura pozostawał w przyjaznych stosunkach z Krukami, z którymi Torak mieszkał przez ostatnich sześć miesięcy. Ale z tym myśliwym coś było nie w porządku. Zdecydowanie. Poruszał się dziwnym, posuwistym krokiem, kołysząc głową na boki. Co więcej, zasadał się na samicę tura! Za jego pasem tkwiły dwa łupkowe toporki do rzucania – Torak patrzył w najwyższym zdumieniu, jak mężczyzna wyciąga jeden i się zamierza.

Oszalał? Żaden myśliwy nie poluje na tura w pojedynkę! Tur to największe, najsilniejsze zwierzę w Lesie. Samotny atak na niego to proszenie się o śmierć.

Beztroska i nieświadoma niczego turzyca, pomrukując, z wyraźną ulgą zanurzała się coraz głębiej w błocie i uwalniała od natrętnych komarów. Ciele trącało nosem kępę wierzbowki i czekało, aż matka skończy.

Torak wyprostował się, usiłując ostrzec myśliwego płaskimi ruchami dłoni: Uważaj! Nie rób tego!

Mężczyzna nic nie zauważył. Wyciągnął uzbrojone ramię na całą długość, odchylił się do tyłu – i posłał topór.

Broń z wizgiem przecięła powietrze i zaryła w ziemię o dłoń od cielaka, który rzucił się w gęstwinę. Turzyca ryknęła wściekle i zerwała się, rozglądając za napastnikiem. Zapach myśliwego wciąż do niej nie docierał.

Tymczasem, choć Torak nie wierzył własnym oczom, mężczyzna sięgnął po drugi topór.

–Nie! – wyszeptał chłopak chrapliwie. – Zranisz ją tylko i obaj zginiemy.

Myśliwy wyszarpnął toporek z za pasa.

Myśli Toraka popłynęły wezbrany strumieniem. Jeśli broń sięgnie celu, zwierzę będzie nie do powstrzymania. Jeżeli nie, tylko się przestraszy. Możliwe, że turzyca zamarkuje atak i ucieknie wraz z cielakiem. A zatem musi odciągnąć ją poza zasięg rzutu, i to już!

Zaczerpnął głęboko tchu, po czym zaczął skakać w miejscu, wymachując ramionami i krzycząc.

–Tutaj! Tutaj!

Poskutkowało – jeśli można się tak wyrazić. Turzyca ryknęła i z furią rzuciła się w stronę Toraka, a topór wbił się w błoto, gdzie stała sekundę wcześniej. Widząc zwierzę szarżujące na niego w rozbryzgach wody, Torak skrył się za dębem.

Zabrakło czasu na wspinaczkę – była tuż. Usłyszał, jak chrząka, wspinając się po brzegu strumienia, i zaraz potem poczuł jej ciepło po drugiej stronie pnia... Skręciła w ostatniej sekundzie, postawiła ogon i pomknęła jak taran w Las, a w ślad za nią pogalopowało ciele.

Cisza po jej zniknięciu była ogłuszająca.

Torak wsparł się o pień. Pot ściekał mu po twarzy.

Myśliwy stał z opuszczoną głową, kołysząc się z boku na bok.

–Co chciałeś zrobić? – wysapał Torak. – Obaj mogliśmy zginąć!

Mężczyzna nie odpowiedział. Chwiejnym krokiem przeszedł potok w bród,

odnalazł oba toporki i zatknął je za pas, po czym powrócił na drugi brzeg. Torak wciąż nie widział jego twarzy, ale muskularne kończyny i ząbkowany nóż z łupka nie uszły jego uwadze. Gdyby przyszło walczyć, przegrałby. Był jeszcze chłopcem, niespełna trzynastoletnim.

Nagle mężczyzna zatoczył się, oparł o brzozę i zwymiotował.

Torak zapomniał o strachu i pobiegł na pomoc. Myśliwy opadł na czworaka, z ust popłynął mu żółtawy śluz. Plecy wygięły się w łuk, gdy spazmatycznie chwycił powietrze. Po chwili wypluł oślizgły, ciemny przedmiot wielkości dziecięcej pięści. Wyglądało to na włosy – kłębek włosów.

Lekki powiew rozchybotał gałęzie i na jedną chwilę blask słońca wydobył z cienia twarz mężczyzny.

Chory wrywał sobie włosy z głowy całymi garściami, odsłaniając pasy nagiej, ropiejącej skóry. Jego twarz była jedną wielką skorupą strupów o barwie miodu, przywodzących na myśl gangrenowate narośla na brzożach. Śluz zabulgotał mu w krtani, gdy wyrzucał z trzewi resztkę włosów. Wreszcie usiadł na piętach i zaczął zajadle drapać bąble pokrywające muskularne przedramię.

Torak cofnął się jak oparzony, a jego ręka powędrowała do wszytej w kaftan skóry opiekuna klanu. Co to takiego?

Renn pewnie znałaby odpowiedź.

–Płomień gorączki – wyjaśniała mu kiedyś. – Rozpala się najczęściej w samym środku

lata, bo kiedy jest ciepło, larwy gorączki mają najwięcej czasu na działanie: podczas białych

nocy, kiedy słońce nie zasypia, roją się z trzęsawisk i nieustannie rozprzestrzeniają.

A jednak, jeśli to był jakiś rodzaj gorączki, Torak nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

Zawahał się, niepewny, co robić. W woreczku na lekarstwa miał tylko resztkę podbiału.

–Pozwól, że ci pomogę... – odezwał się, choć głos mu nieco drżał. – Mam trochę... Och

nie, przestań! Zrobisz sobie krzywdę!

Mężczyzna wciąż się drapał. Obnażył zęby, jak zwykli to czynić ludzie, kiedy swędzenie staje się tak nieznośne, że woleliby już raczej zamienić je w ból. Wbił paznokcie w przedramię. Bąble pękły, zostało po nich jedynie ciało rozorane paznokciami do krwi.

–Przestań! – krzyknął Torak.

Mężczyzna warknął groźnie, skoczył i przygniótł go do ziemi.

Torak patrzył z przerażeniem na skrzepy pokrywające jego twarz. Spojrzał w zaszyte mgłą, zaropiałe oczy.

–Nie rób mi nic złego! – jęknął. – Mam na imię... Torak... Należę do klanu Wilka, ja nic...

Mężczyzna przysunął twarz jeszcze bliżej.

–To... się... zbliża – wychrypiał, zionąc stęchłym oddechem. Torak z trudem przełknął ślinę.

–Co...?

Gangrenowatą twarz wykrzywił paniczny strach.

–Nie rozumiesz? – szepnął chory, opluwając Toraka żółtym śluzem. – To się zbliża!

Zabierze nas wszystkich!

Raptem mężczyzna dźwignął się na nogi i zachwiał, mrużąc oczy przed słońcem. I zaraz zerwał się do biegu, zniknął pędem wśród drzew, jakby ścigały go wszystkie demony Zaświatów.

Torak wsparł się na łokciu, ciężko dysząc.

Ptaki przestały śpiewać.

Las patrzył ze zgrozą.

Torak powoli wstał. Wiatr zmienił kierunek na wschodni, powiało chłodem. Zimny dreszcz przebiegł po drzewach, wypełniając Las pełną niepokoju szeptaniną. Ach, zrozumieć, co znaczą te szepty! Ale i bez tego Torak wiedział, co drzewa czują w tej chwili, gdyż sam także to wyczuwał – coś narastało w Lesie, wzbierało, piętrzyło się.

To się zbliża.

Choroba.

Torak popędził po swój kołczan i łuk. Nie miał czasu na wyjmowanie wierzbowej kory ze strumienia. Musiał natychmiast wracać do obozu i ostrzec klan Kruków.

Gdzie Fin-Kedinn? – krzyknął Torak, wpadając jak burza do obozowiska. –W sąsiedniej dolinie – odezwał się mężczyzna patroszący łososia. – Zbiera dereń na brzechwy do strzał.

–A Saeunn? Gdzie Czarownica?

–Rozrzuca kości – poinformowała jakaś dziewczyna, nawlekająca rybie głowy na nić ze ścięgna. – Jest na Skale, więc lepiej poczekaj, aż zejdzie.

Torak zacisnął zęby ze zniecierpliwieniem.

Widział Czarownicę Kruków na Skale Opiekuna: skurczona, przypominająca posturą ptaka stara kobieta wpatrywała się posępnie w kości. Zobaczył obok niej kruka, opiekuna klanu, który złożył sztywne skrzydła z przenikliwym, chrapliwym krakaniem.

Komu jeszcze mógł powiedzieć o chorobie?

Renn była na polowaniu. Oslaka, z którym Torak dzielił szaląs, nigdzie nie było widać. Przy wędzarni stali Sialot i Poi. Spośród wszystkich członków klanu jedynie oni byli niemal rówieśnikami Toraka – i może z tego powodu najtrudniej było im go zaakceptować. Odnosili się do niego z niechęcią, traktowali wręcz jak obcego. Reszta klanu zaś była zbyt zaprzątnięta pracą przy łososiach, by wysłuchiwać nieprawdopodobnych opowieści o chorym myśliwym z Lasu. Ale i Torak, kiedy rozejrzał się wokół, sam zaczął się wahać, czy aby nie zanadto się wystraszył. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie.

Kruki rozbiły obóz na brzegu Szerokiej Wody, w pobliżu ocienionego wąwozu, z którego rzeka wytryskuje gwałtownie, by z hukiem ominąć Skalę i rzucić się w dół

katarakty. Każdego lata łososie płyną tędy ławicami pod prąd, każdego lata odbywają tę samą tajemniczą podróż z Morza aż do Gór. Rozszalały żywioł bezlitośnie zawraca je z drogi, a one uparcie próbują pokonać kipiący chaos. Skaczą, skręcają w powietrzu, ich łuski migoczą w blasku słońca – i robią to dopóty, dopóki nie padną z wyczerpania lub nie uda im się dotrzeć

na spokojniejsze wody po drugiej stronie wąwozu, albo też dopóki myśliwy z klanu Kruka nie nadzieje ich na swą włócznię.

Aby je łowić, członkowie klanu poustawiali przęsła w korycie rzeki, na nich zaś umocowali wiklinowy pomost, dość wytrzymały, by nie runął do wody pod ciężarem kilku rybaków z włóczniami. Potrzeba niezwykłych umiejętności, by łowić ryby w ten sposób. Każdemu, kto zsunie się z pomostu, grozi okalawienie albo coś jeszcze gorszego, gdyż rzeka jest w tym miejscu szczególnie bezlitosna, a dno najeżone sterczącymi zębami kamieni. Nagroda jednakże warta jest ryzyka.

Szałasy Kruków świeciły pustkami; wszyscy członkowie klanu zgromadzili się przy wędzarni, zabezpieczając dzienny połów przed zepsuciem. Mężczyźni, kobiety i dzieci oskrobywali ryby z łusek i patroszyli je, inni odcinali paski pomarańczowego mięsa od ości z obu stron. Starali się nie rozdzielić mięsa na końcu, aby łatwiej było zawiesić je do uwędzenia. Sialot i Poi rozcierali jagody jałowca, które później trzeba będzie wymieszać z suszonym, poszatutowanym mięsem. W ten sposób nie utraci ono szybko słodczy – ale też zyska silny aromat, który poprawi smak, gdy słodczyk zniknie.

Nic się nie zmarnuje. Skóry zostaną wyprawione, sporządzi się z nich wodoszczelne woreczki na krzesiwo i hubkę, z oczu i ości powstanie klej, zaś wątroby, mlecz i ikra będą wieczornym przysmakiem lub darem dla opiekuna i dusz złowionych ryb.

W rozmaitych miejscach Lasu inne klany również rozbiły obozy w pobliżu rzek, aby mieć udział w hojności natury: klan Knura, klan Wierzby, Wydry i Żmii. Gdzie nie polowali ludzie, tam pojawiali się inni myśliwi: niedźwiedzie, rysie, orły i wilki. Wszyscy świętowali odwieczną podróż łososi, dzięki której mogli odzyskać siły po trudach zimy.

Tak miały się rzeczy od samego Początku. Z pewnością jeden chory człowiek nie może temu wszystkiemu zagrozić, myślał Torak.

Potem przypomniała mu się twarz pokryta zaskorupiałymi ranami i zaropiałe oczy.

Tymczasem z szalasu wynurzył się Oslak i serce Toraka zabiło gwałtowniej. On będzie wiedział, co robić.

Lecz ku zdumieniu chłopca mężczyzna prawie go nie słuchał, najwyraźniej bardziej pochłonięty przewiązywaniem grotu na drzewcach włóczni.

–Skoro ten myśliwy był z klanu Knura – odezwał się Oslak, drapiąc wierzch dłoni

–

ich Czarownica się nim zajmie. Trzymaj – rzucił Torakowi włócznię. – Pędź na kamienie i

pokaż mi, jak łapiesz łososia.

Torak stał osłupiały.

–Ale... Oslak...

–Ruszaj! Już! – krzyknął Oslak.

Torak wzdrygnął się. Oslak nie zwykł zachowywać się tak nieprzyjemnie, nie było to do niego podobne. Szczerze mówiąc, coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Potężny mężczyzna ze zmierzwioną brodą, bez ucha i z nieco przerażającą twarzą, zniekształconą przez bliznę na policzku, był człowiekiem bardzo łagodnym. Mówił, że jego wygląd to pamiątka po nieporozumieniu z samicą rosomaka.

–To była moja wina – opowiadał każdemu, kto o to zapytał. – Wystraszyłem ją.

Taki właśnie był Oslak. On i jego kobieta, Venda, pierwsi zaproponowali Torakowi swój szałas na nocleg, gdy przystał do klanu. Zawsze byli dla niego bardzo mili. Niemniej Oslak był też najsilniejszym mężczyzną w klanie, więc Torak nie sprzeciwiał się więcej, tylko wyciągnął rękę po włócznię.

Nagle zamarł. Wierzch dłoni Oslaka pokrywały bąble.

–Co... z twoją ręką? – zapytał.

–Komary – powiedział Oslak, drapiąc się jeszcze mocniej. – Nigdy mnie jeszcze tak nie pożarły. Przez całą noc nie dają mi spać.

–To nie wygląda na ugryzienia komarów – rzekł Torak. – Boli?

Oslak nie przestawał się drapać.

–Raczej nie. Dziwaczne uczucie. Jakby przez nie wypływała moja dusza imienia.

Ale

to przecież niemożliwe, prawda?

Zmrużył oczy, jakby światło sprawiało mu ból. Na jego twarzy malowały się strach i bezradność. Torak przełknął ślinę.

–Nigdy nie słyszałem, by ktoś utracił duszę imienia z powodu czegoś takiego. Ona może się wydostać tylko przez usta podczas snu, albo... choroby – urwał. – Jesteś chory?

–Chory? Czemu miałbym być chory? – Masywnym ciałem mężczyzny wstrząsnął dreszcz. – Ale moje dusze... Jakby... Jakby wypływały ze mnie...

Torak zacisnął pięść na drzewcach włóczni.– Idę po Saeunn. Oslak jęknął ze zniecierpliwieniem.

–Nie potrzebuję Saeunn! Ruszaj wreszcie!

Raptem to nie był już Oslak. Nad Torakiem wyrosła groźna sylwetka potężnego mężczyzny z zaciśniętymi pięściami. Chwilę później Oslak przyszedł do siebie.

–Po prostu... daj spokój, dobrze? Idź już. Thull czeka.

–Dobrze, Oslak – zgodził się Torak, z trudem panując nad głosem.

W połowie drogi do rzeki odwrócił się.

Oslak nadal się drapał.

–Jakby wypływały ze mnie... – mruczał.

Po chwili zniknął w głębi szałas. Torak zdążył jeszcze spostrzec za uchem mężczyzny nagi płat skóry, zaczerwienionej po wyrwaniu włosów, i nabrzmiały wrzód koloru miodu, przypominający brzożową gangrenę.

Poczuł chłód w żołądku.

Nie ociągając się, ruszył do głazów na rzece, przy których kucnął młodszy brat

Oslaka czyszczący nóż.

–Thull! – krzyknął Torak. – Oslak jest chyba chory!

Jednym tchem wyrzucił z siebie wszystko w chaotycznej relacji, co niezbyt przemówiło Thullowi do przekonania.

–Komary go pogryzły, Torak. To się zdarza każdego lata, oszaleć od tego można.

–Ślady po komarach wyglądają inaczej – upierał się Torak.

–Tak czy owak, teraz już wszystko w porządku – rzekł Thull, wskazując na pomost. Klęczał tam Oslak, trzymając w dłoni włócznię. Na jej ostrzu trzepotał się złowiony

łosoś.

Torak przygryzł wargę i przebiegł wzrokiem po okolicy. Wszystko wyglądało normalnie. Dzieci zbierały pełne garście rybich łusek i dla zabawy posyłały je w powietrze migotliwymi obłokami. Młode kruki bezczelnie podskubywały psy za ogony. Pięcioletni syn Thulla, Dari, pluskał się na płyciźnie, bawiąc się figurką tura, którą Oslak zrobił dla niego z sosnowej szyszki.

Torak ścisnął włócznię i, pełen złych przeczuć, niepewnie zrobił krok na pierwszy kamień.

Pomiędzy pomostem a wodospadami sterczały ponad powierzchnią wody cztery głazy, na których nowicjusze uczyli się utrzymywać równowagę. Thull wskazał mu pierwszy, lecz Torak ostrożnie przeszedł aż na czwarty, gdyż dzięki temu znalazł się na samym środku rzeki, skąd mógł obserwować Oslaka. Nie wiedział, czego się spodziewać. Ale wolał nie tracić go z oczu.

–Patrz na łososie! – krzyknął z brzegu Thull. – Nie na wodę!

Polecenie okazało się niemożliwe do wykonania. Wokół śliskiego od porostów kamienia piekliła się jadowicie zielona woda – tu i tam co rusz błyskał srebrzysty grzbiet ryby. Włócznia do połowów była długa i ciężka, trudno było trzymać ją tak, by celnie rzucić i nie wpaść przy tym do wody. Jej ostrze rozwidlało się na końcu w dwa szpikulce, wykonane z rosochatych końcówek rogów, dzięki czemu raz nadziana ryba nie mogła już uciec. Tylko najpierw trzeba ją było nadziać, a Torakowi jak dotąd nie udało się ta sztuka.

Kiedy jeszcze żył ojciec, łowili ryby tylko na haczyk zawieszony na lince. Z włócznią natomiast, jak nie omieszkał zauważyć Sialot, Torak radził sobie gorzej niż siedmioletnie dziecko.

Chłopiec natężył uwagę. Dźgnął. Nie trafił i niemal spadł z kamienia.

–Pozwól im przepłynąć, zanim się zamierzysz! – krzyknął Thull. – I wybieraj te, które

wracają. Są zmęczone.

Torak spróbował ponownie. Pudło. Pod wędzarnią rozległ się wybuch śmiechu. Twarz chłopca spłonęła rumieńcem. Sialot świetnie się bawił.

–Lepiej – zawołał Thull, raczej z grzeczności. – Tak trzymaj. Zaraz wrócę. – I odszedł,

by dorzucić do ognia, pozostawiając Dariego na płyciźnie. Drewniany tur pochrząkiwał coś

właśnie ustami malucha.

Na chwilę Torak zapomniał o wszystkim i skupił całą uwagę na tym, by schwytać łososa, nie upuszczając włóczni i nie ześlizgując się z kamienia. Rzeka kipiała złością. Niemal bezustannie tłukła w ślepej furii o głaz.

Nagle na kładce rozległ się krzyk. Torak zadarł głowę – i odetchnął z ulgą.

Oslak schwytał kolejnego łososa. Zabił go jednym ciosem i przykląkł, by wydobyć zeń włócznię.

Nic mu nie jest, powiedział sobie chłopiec.

Tymczasem Oslak zaczął znów drapać się w rękę. Sięgnął dłonią za ucho i wbił palce w strup miodowego koloru.

Łosoś zsunął się z pomostu do wody. Oslak zacisnął zęby, zerwał strup – i zjadł go.

Torak zatrząsnął się z obrzydzenia i omal nie wpadł do rzeki.

Chmura zakryła słońce, a woda poczerniała. Martwy łosoś przepłynął obok chłopca, odprowadzając go spojrzeniem pustego, nieruchomego oka.

Chłopiec zerknął na płyciznę.

Dari zniknął.

Z pomostu znów dobiegł krzyk. Torak odwrócił się.

Dari był już na górze i dreptał niepewnie w stronę swojego wuja, który najwyraźniej wcale nie miał zamiaru go ostrzec. Przeciwnie nawet – przyzywał go do siebie.

–Chodź do mnie, Dari! – zawołał Oslak, a jego twarz wykrzywiła potworna łapczywość. – Chodź do mnie! Nie pozwolę im zabrać naszych dusz!

Nikt z pracujących na obu brzegach rzeki Kruków nie zauważył, co się dzieje. Tylko Torak mógł coś zrobić.

Wciąż stał na kamieniu, pośród rwącego nurtu, i ścisnął włócznię w dłoni. Zobaczył, że z dwóch różnych miejsc Lasu wychodzą dwie osoby.

Spośród drzew na wschodzie wyłoniła się Renn. W jednej ręce niosła swój ukochany łuk, w drugiej – kilka ustrzelonych turkawek.

Z odległego miejsca w dole rzeki wracał, utykając nieznacznie, Fin-Kedinn, zgięty pod zarzuconą na ramię wiązką dereni.

Oboje od razu zorientowali się, co się dzieje, i zatrzymali bez słowa.

Torak postanowił porozmawiać z Oslakiem, aby odwrócić jego uwagę od przybyłych.

–Oslak, co się dzieje? Powiedz mi. Może mógłbym ci pomóc?

–Nikt nie może mi pomóc – krzyknął Oslak. – Dusze ze mnie wypływają. Coś je zjada! Ludzie na brzegach podnieśli głowy i zaczęli mu się przyglądać. Matka Dariego z

łkaniem rzuciła się w stronę syna. Thull powstrzymał ją. Kobieta Oslaka, Venda, włożyła pięść do ust. Saeunn stała nieruchomo na Skale.

Renn dotarła właśnie do pomostu, lecz okazało się, że Fin-Kedinn znalazł się tam wcześniej, chociaż kulał. Bez słowa podał dziewczynie wiązkę dereni.

–Kto zjada twoje dusze? – spytał Torak.

–Ryba! – na ustach Oslaka zebrała się żółtawa piana. – Zęby! Ostre zęby! Wskazał na rzekę, gdzie trzepoczący się łosoś nieustannie rozrywał na kawałki i na powrót składał jego duszę imienia. Coś podobnego może przytrafić się duszy imienia każdego człowieka, jeżeli ten pochyli się nad wodą, lecz nie wyrządzi mu szkody. Pod warunkiem że nie jest chory, gdyż wtedy można dostać zawrotów głowy i dać się wciągnąć do wody.

–Wkrótce jej już nie będzie – jęczał Oslak. – A ze mnie zostanie tylko upiór! Chodź,

Dari! Rzeka nas wzywa.

Dziecko zawahało się – i ruszyło w jego stronę, ściskając w rączkach drewnianą figurkę.

Torak na chwilę spuścił ich z oczu i zerknął na Fin-Kedinna.

Twarz Wodza Kruków, jakby wykuta z kamienia, nie zmieniła się ani odrobinę. Mężczyzna przyłożył palec do ust i wzrokiem porozumiał się z chłopcem. Jesteś pomiędzy nimi a kataraktą. Złap ich.

Torak skinął głową i zebrał się w sobie. Nogi zdążyły mu zeszywnieć od chłodu. Ramiona drżały.

W końcu Dari dotarł do Oslaka, a ten odrzucił włócznię i gwałtownym ruchem pochwycił dziecko. Wyplatany pomost ugiął się złowieszczo.

–Oslak – odezwał się Fin-Kedinn. Niezbyt głośno, lecz jakimś sposobem jego głos przebił się przez ryk wodospadu. – Wracaj na brzeg.

–Odejdź! – wrzasnął Oslak.

Torak zauważył ze zgrozą, że mężczyzna przywiązał linę z kory do jednego z przęseł u końca pomostu; drugi jej koniec trzymał w dłoni. Jedno mocne szarpnięcie i cała konstrukcja runie do wody, a Oslak i Dari wraz z nią.

Tej myśli nie mógł już znieść.

–Oslak – odezwał się znowu. – To przecież ja, Torak. Czy nie...

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

–Kim ty jesteś, żeby mi dawać rady? Nie jesteś jednym z nas! Jesteś podrzutkiem!

Jesz nasze jedzenie i śpisz w naszym szałasie! A nocą wymykasz się do Lasu i wyjesz do

swojego wilka! Sam słyszałem! Wszyscy słyszeli. Czemu nie dasz sobie spokoju?

On nigdy

nie wróci!

Renn drgnęła współczująco, lecz Torak się nie poruszył. Widział bowiem to, czego nie mógł dostrzec Oslak: na pomost wchodził właśnie Fin-Kedinn.

Chory zatoczył się, a pomost zatrzęsł gwałtownie. Usta Dariego otworzyły się szeroko i chłopczyk zaczął krzyczeć.

Fin-Kedinn stał pewnie na górze.

–Oslak! – zawołał. Mężczyzna odskoczył.

–Trzymaj się od nas z daleka!

Fin-Kedinn uniósł ręce, zapewniając go tym gestem, że wcale nie ma zamiaru

podchodzić bliżej. Potem, na oczach oniemiałego, przypatrującego się z napięciem klanu,

usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wiklinowej plecionce. Od brzegu dzieliło go sześć kroków, więc gdyby Oslak pociągnął za linę, Fin-Kedinn wpadłby razem z nimi do rzeki. Mimo to Wódz Kruków wykonał ten ruch z takim spokojem, jakby zasiadał przy ognisku.

–Oslak – odezwał się – klan obwołał mnie wodzem, żebym dbał o wasze bezpieczeństwo. Wiesz o tym.

Chory oblizał wargi.

–Mam właśnie zamiar zadbać o bezpieczeństwo klanu – ciągnął Fin-Kedinn. – Również o twoje bezpieczeństwo. Ale najpierw wypuść Dariego. Pozwól mu przyjść do mnie.

Zaprowadzę go do matki.

Napięcie malujące się na twarzy Oslaka zaczęło słabnąć.

–Puść go – powtórzył Fin-Kedinn. – Czas na jego wieczorny posiłek...

Moc jego głosu zaczęła działać. Powoli, jakby w odrętwieniu, Oslak oderwał ramiona chłopczyka od swojej szyi i postawił go na pomoście.

Dari zerknął na niego, jakby oczekując przyzwolenia, po czym odwrócił się i ruszył na czworakach w stronę Fin-Kedinna.

Wódz Kruków przykląkł na jedno kolano, wyciągając rękę w jego stronę.

Drewniany tur wysliznął się z rączki Dariego i poleciał do wody. Chłopczyk krzyknął rozpaczliwie i rzucił się za nim. W jednej chwili Fin-Kedinn chwycił dziecko za kaftanik i wziął na ręce.

Zgromadzeni na brzegu odetchnęli z ulgą.

Torak poczuł, że kolana się pod nim uginają. Widział, jak Wódz Kruków wstaje i rusza w stronę brzegu. Jeszcze zanim postawił stopę na ziemi, podał Dariego Thullowi, który pochwycił chłopczyka mocno w ramiona.

Oslak stał na wyplatanym pomoście jak ogłupiały tur. Koniec liny wysunął mu się z dłoni; mężczyzna wpatrywał się w spienioną wodę. Fin-Kedinn podszedł do niego w milczeniu, ujął za ramiona i przemówił słowami, których nikt inny nie mógł słyszeć.

Ciało potężnego mężczyzny zwiotczało, po chwili pozwolił Fin-Kedinnowi zaprowadzić się na brzeg, gdzie kilku członków klanu od razu przypadło do niego i przycisnęło do ziemi. Zaskoczony, nie stawiał oporu. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy, w jaki sposób znalazł się w tym miejscu.

Torak odnalazł drogę na płyciznę, rzucił włócznię na piasek i zaczął się trząść.

–Nic ci nie jest? – spytała Renn.

Ciemnorude włosy dziewczyny ociekały wilgocią, którą wściekła rzeka prychała na wszystkie strony. Twarz Renn była bardzo blada, ciemne paski tatuaży klanowych poczerniały na tle jej policzków.

Pokiwał głową. Ale wiedział, że Renn nie da się nabrać.

Kawałek dalej od brzegu Fin-Kedinn rozmawiał z Saeunn, która wcześniej zeszła ze Skały.

–Co mu się stało? – zapytał, kiedy reszta klanu zgromadziła się wokół nich.

Czarownica Kruków potrząsnęła głową. – Jego dusze walczą ze sobą.

–A więc to rodzaj obłądu? – zasugerował Fin-Kedinn.

–Być może – odrzekła Saeunn. – Choć nigdy się z takim nie spotkałam.

–Ale ja tak – odezwał się niespodziewanie Torak i pośpiesznie zdał relację ze spotkania z chorym myśliwym z klanu Knura.

W miarę jak jego słowa docierały do uszu Czarownicy, jej twarz nabierała coraz bardziej posępnego wyrazu. Kobieta była starsza o wiele wiosen od wszystkich członków klanu. Czas wymiół z niej większość cech ludzkich, polerując czaszkę na kolor starej kości, z rysów twarzy zaś bardziej przypominała kruka niż człowieka.

–Kości mówiły to samo – odezwała się chrapliwym głosem. – Przekazały mi wróżbę: „To się zbliża”.

–Coś sobie przypominałam – wtrąciła się Renn. – Na polowaniu natknęłam się na drużynę łowiecką z klanu Wierzby. Był wśród nich jeden chory. Miał bąble i strupy. Zachowywał się jak obłąkany, jakby się czegoś potwornie bał – Renn odwróciła w stronę Czarownicy swe oczy, czarne i głębokie niczym doły torfowe. – Czarownica z klanu Wierzby przesyła ci wiadomość. Też odczytała ją z kości. Od trzech dni mówią to samo: „To się zbliża”.

Wielu zgromadzonych uczyniło dłonią gest dla odegnania złych mocy. Inni dotknęli skór zwierzęcia klanowego: połyskliwych czarnych piór.

Etan, zapalczywy młody myśliwy, wystąpił naprzód z wyrazem zatroskania na twarzy.

–Bera jest na wzgórzu, sprawdza pułapki. Też ma bąble na rękach. Jak Oslak. Nie powinienem być jej samej zostawiać?

Fin-Kedinn potrząsnął głową. Jego twarz nie zdradzała niczego. Mężczyzna pogładził ciemnorudą brodę. Torak wyczuwał wartki nurt myśli pod fasadą niewzruszenia. Nie minęła chwila i Fin-Kedinn zaczął wydawać polecenia.

–Thull, Etan. Zbierzcie kilku mężczyzn i zbudujcie szałas w zagajniku lipowym, w miejscu, którego nie widać z obozu. Weźcie tam Oslaka i trzymajcie pod strażą.

Venda, nie

wolno ci się do niego zbliżać. Przykro mi, ale nie ma innego sposobu. – Odwrócił się do Saeunn, a jego błękitne oczy płonęły. – O północy odprawisz rytuał uzdrawiający. Dowiedz się, co wywołuje chorobę.

Uczennica Czarownicy włożyła do ogniska czerpak z rogu tura i nabrała garść gorącego popiołu. Choć ciągle dymił, wysypała go sobie na dłoń. Torak wstrzymał oddech. Dziewczyna nawet się nie skrzywiła. Oslak leżał u jej stóp, wijąc się i wbijając palce w pył, lecz więzy trzymały mocno. Przywiązany do noszy z końskiej skóry, oczekiwał właśnie na ostatni, decydujący czar. Bera miała go już za sobą, była z powrotem w szałasie dla chorych, gdzie krzyczała i cierpiała bardziej niż kiedykolwiek.

Czarownica Kruków oraz jej uczennica próbowały wszystkiego. Czarownica natarła krwią ziemi języki chorych, aby odegnąć szaleństwo. Przywiązała sobie do palców haczyki do łowienia ryb i wprowadziła się w trans, by pochwycić ich zabłąkane dusze. Okadziła ich jałowcowym dymem, aby przegnać larwy gorączki.

Bezskutecznie.

Teraz, gdy przygotowywała się do ostatniego czaru, wśród Kruków panowało grobowe milczenie. Blask ogniska pełgał po załęcznionych twarzach.

Była gorąca, jasna noc, bliski pełni księżyc żeglował po niebie nad Lasem. Wiatr ustał, powietrze rozbrzmiewało masą dźwięków. Od strony wędzarni dobiegały trzaski płonącego drewna. W pobliżu wąwozu pokrzykiwały kruki. Ryczały wodospady.

Czarownica zbliżyła się do noszy, unosząc kościste ramię do księżyca. W jednej ręce trzymała amulet, w drugiej – czerwoną, krzemienną strzałę.

Torak zerknął na jej uczennicę. Twarz dziewczyny kryła się pod warstwą rzecznej gliny. Nie przypominała już Renn.

–Niech ogień oczyści duszę imienia – zaintonowała Saeunn, okrążając nosze.

Renn kucnęła przy Oslaku i posypała gorącym popiołem jego stopy. Jęknął i przygryzł wargę do krwi.

–Niech ogień oczyści duszę klanu...

Renn wysypała garść popiołu na pierś Oslaka w okolicy serca.

–Niech ogień oczyści duszę świata... Dziewczyna natarła popiołem czoło mężczyzny.

–Płoń, chorobo! Płoń...

Oslak zawył wściekle, obryzgując Czarownicę krwawą pianą. Wśród zgromadzonych przebiegł szmer niezadowolenia. Czar nie działał. Torak wstrzymał oddech. Las za jego plecami zastygł w napięciu. Nawet olchy przestały szeleścić, oczekując na rezultat rytuału.

–Wychodź, chorobo – zaskrzeczała Czarownica.

–Ze szpiku – w kość. Z kości – w ciało...

Torak poczuł niespodziewany ból ściskający żołądek. Słowa Czarownicy wbijały się w jego wnętrzności jak ostrzem.

Kobieta zaczęła powoli kreślić kształt spirali wokół serca Oslaka.

–Z ciała – w skórę. Ze skóry – w strzałę...

Znowu ten ból, jakby słowa Czarownicy szarpały jego wnętrzności... Czy i ja jestem chory? – pomyślał. Czy tak się to zaczyna?

Silna ręka spoczęła na ramieniu chłopca. Za nim stał Fin-Kedinn, przypatrujący się poczynaniom Saeunn.

–Ze strzały – zawołała, wstając. – W ogień! Cisnęła strzałę w żar.

Szmaragdowe płomienie strzeliły w niebo. Oslak zawył.

Wśród Kruków rozszedł się syk. Ramiona Saeunn opadły. Czar nie podziałał.

Torak chwycił się rękoma za brzuch, opierając się falom ciemności.

W krąg blasku ogniska wpadł ciemny kształt. Opiekun klanu leciał prosto na chłopca. Torak próbował zrobić unik, lecz Fin-Kedinn trzymał go mocno. W ostatniej chwili kruk zboczył z kursu. Był zły: coś zaatakowało jego klan. Torak nie miał pojęcia, dlaczego leciał na niego.

Poszukał wzrokiem Renn, lecz ona klęczała teraz przy Oslaku, przypatrując się znakom, które chory wydrapywał palcami na ziemi.

Torak wyrwał się z uścisku Fin-Kedinnai zaczął biec. Minął strażę, pozostawił obóz za sobą i zagłębił się w Las.

Dotarł na polanę skąpaną w księżycowym blasku i rzucił się na ziemię pod jesionem. Zawroty głowy wróciły. Chłopiec zgiął się wpół i zwymiotował.

Posłyszał pohukiwanie sowy.

Torak podniósł głowę i spojrzał w gwiazdy połyskujące zimno wśród czarnego listowia jesionu. Osunął się na ziemię, kryjąc twarz w dłoniach. Zawroty głowy ustały, ustępując miejsca dreszczom. Chłopiec był przestraszony i osamotniony. Nie mógł zwierzyć się nawet Renn. Była jego przyjaciółką, ale również uczennicą Czarownicy. Nie może się dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć. Jeżeli rzeczywiście zachorował, woli raczej umrzeć sam w Lesie, niż dać się przywiązać do noszy.

Raptem zdjęło go przerażające podejrzenie. Coś zjada moje dusze, powiedział Oslak. Majaczenia szaleńca czy w słowach mężczyzny kryło się ziarno prawdy?

Torak zacisnął powieki i zatopił się w odgłosach nocy. Usłyszał postukiwanie kosa. Wyłowił popiskiwanie świeżo opierzonych rudzików, nawołujących się wśród podszycia.

Przez całe życie Torak przemierzał wzgórza i doliny wraz z ojcem, trzymając się z dala od klanów. Stworzenia leśne były jego towarzyszami. Nie tęsknił do ludzi. Życie z Krukami nie było dla niego łatwe. Tyle twarzy. Tak niewiele cennych chwil samotności. Czuł się tu nie na miejscu. Życie w klanie różniło się bardzo od życia, które wiedli wraz z ojcem.

Tak bardzo tęsknił za Wilkiem.

Spotkał wilczka wkrótce po śmierci Taty. Przez dwa miesiące polowali razem w Lesie i razem stawiali czoła ogromnym niebezpieczeństwom. Czasami Wilk nie różnił się niczym od zwykłego szczenięcia, plątał się pod nogami i wtykał pysk, gdzie popadnie. Czasami jednak stawał się przewodnikiem, a jego bursztynowe oczy rozpały się tajemniczą pewnością. Ale zawsze był bratem ze stada. Życie bez niego bolało.

Torak zastanawiał się niezliczoną ilość razy, czy powinien wyruszyć na poszukiwanie brata ze stada, choć gdzieś w głębi serca wiedział, że nie uda mu się drugi raz odnaleźć drogi prowadzącej na Górę Ducha. Jak to z wrodzoną prostotą ujęła Renn: „Zeszłej zimy było inaczej. Ale teraz? Torak, nie sądzę”.

„Wiem o tym – odpowiedział wtedy. – Ale jeśli będę wyć nocami, może Wilk sam mnie odnajdzie”.

Upłynęło sześć miesięcy, a Wilk się nie pojawił. Torak próbował sobie tłumaczyć, że to dobry znak: skoro się nie zjawia, musi być szczęśliwy w nowym stadzie. A jednak, w niezrozumiały sposób właśnie to bolało najbardziej. Czyżby Wilk o nim zapomniał?

Wiatr przyniósł ze sobą odległe, ledwo słyszalne skowyty.

Torak wstał.

Wilcze stado. Wilcze śpiewy z okazji udanego polowania.

Torak zapomniał o zawrotach głowy – zapomniał o wszystkim. Pieśń wilków wypełniła jego ciało jak wezbrana rzeka.

Rozróżniał głębokie, mocne głosy wilków przewodników; nieco słabsze nawoływania reszty stada, krążącej z szacunkiem w nieznacznej odległości od tamtych; drżące skomlenia szczeniąt, starających się przyłączyć do wycia. Nie usłyszał jednak głosu, za którym tęsknił najbardziej.

Zdawał sobie zresztą sprawę, że nie mógł go tutaj usłyszeć. Wilk – jego Wilk - przebywał wraz ze swoim stadem daleko na północy. Wilki, które słyszał w tej chwili, polowały na wschodzie, gdzieś pośród pagórków wznoszących się na skraju Puszczy.

Ale i tak postanowił spróbować. Zamknął oczy, przyłożył złożone dłonie do ust i wyrzucił z siebie wilcze powitanie.

Odległe głosy zabrzmiały nutą napięcia.

Gdzie polujesz, wilku samotny? – dobiegł go głos wilczycy przewodniczki. Ostry. Nieuznający sprzeciwu.

Wiele, wiele skoków od ciebie, odpowiedział Torak. Czy na waszej ziemi jest choroba?

Nie miał pewności, czy udało mu się dobrze wyrazić pytanie. Jak się okazało, wilki go nie zrozumiały.

Nasza ziemia jest dobra i czysta! – doszła go pełna urazy odpowiedź. Nasza ziemia to najlepsza ziemia w Lesie!

Torak nie miał co prawda wielkich nadziei, że się dogadają. Nie rozumiał zbyt dobrze wilczej mowy, jeszcze trudniej przychodziło mu się nią posługiwać. A jednak Wilk pojąłby pytanie, myślał w udręczeniu.

Wilcza pieśń ucichła jak ucięta nożem.

Torak otworzył oczy. Znow był na zalanej księżycowym blaskiem polanie, porośniętej kępami ciemnych paproci i tawuł. Jakby się przebudził ze snu.

W pobliżu rozległ się cichy trzepot skrzydeł. Torak odwrócił się i zobaczył na gałęzi kukułkę, przypatrującą mu się jednym, otoczonym żółtą obwódką, okiem.

Przypomniał sobie słowa Oslaka: Nie jesteś jednym z nas! Jesteś podrzutkiem! Majaki obłąkanego, a jednak tkwiło w nich ziarenko prawdy. Kukułka krzyknęła i odfrunęła, wystraszona.

Torak podniósł się bezgłośnie, a jego ręka powędrowała do noża.

Polana świeciła pustką w bladej księżycowej poświacie. Kawalek dalej na wschód do Szerokiej Wody wpadał strumień. Torak wyruszył w tamtą stronę i obszedł pospiesznie brzegi

w poszukiwaniu śladów. Nie znalazł niczego – sierści na gałązkach czy choćby nieznacznie przemieszczonych gałęzi.

A jednak coś tu było. Dawało się wyczuć.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na majaczący nad nim rosły buk.

Jakieś stworzenie siedziało pośród gałęzi, wlepiając w niego wzrok. Nieduże. Złowrogie. Włosy jak wiecheć uschłej trawy okalały jego twarz z liści.

Widział je przez jeden krótki moment. Dmuchnął wiatr, rozkołysał swoim oddechem gałęzie i stworzenie zniknęło.

Tak zastała go Renn: stojącego nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w koronie buka i nożem w dłoni.

–Co się dzieje? – spytała. – Czemu uciekłeś z obozu? Czy coś ci zaszkodziło? Zjadłeś coś niedobrego? – Nie chciała, by wyczuł w jej głosie obawę, że może i on jest chory.

–Nic mi nie jest – odpowiedział. Ale było jasne, że to nieprawda. Ręką mu się trzęsła, kiedy chował nóż do pochwy.

–Masz szare usta – zauważyła Renn.

–Nic mi nie jest – powtórzył.

Usiadł pod bukiem, a ona zerknęła ukradkiem na jego ręce. Nie było na nich żadnych bąbli ani skrzepów. Odczuła wielką ulgę, choć usiłowała tego nie okazywać.– Może zjadłeś zły grzyb? – podsunęła.

–Powiedz mi – przerwał – jak wyglądają Przyczajeni?

–Co? Przecież wiesz równie dobrze jak ja. Tak jak my, ale kiedy się odwróca plecami, widać, że są wydrążeni, wyżarci od środka...

–A twarze? Jak wyglądają ich twarze?

–Mówiłam ci. Jak nasze! Dlaczego pytasz? O co chodzi? Potrząsnął głową.

–Coś chyba zobaczyłem. Pomyślałem, że... No, że może to Przyczajeni wywołują chorobę.

–Nie – sprzeciwiła się Renn. – Nie wydaje mi się. Wzdragala się przed tym, by opowiedzieć mu, czego się dowiedziała podczas rytuału uzdrawiającego. To nie było

sprawiedliwe. Po wszystkim, co Torak zrobił dla nich zeszłej zimy...

Aby odwlec tę chwilę, udała się do strumyka, umyła twarz i zeskrobała z dłoni grubą warstwę gliny, dzięki której mogła przenosić gorący popiół i się nie oparzyć. Zerwała kępę mokrego mchu i wróciła z nią do Toraka.

–Przyłóż do czoła. Poczujesz się lepiej.

Usiadła w paprociach obok chłopca, wytrząsnęła kilka orzechów laskowych z torby na jedzenie i zaczęła je rozłupywać na kamieniu. Zaproponowała jeden Torakowi, ale odmówił. Czuła, że i on myśli o chorobie, choć tak jak ona nie ma ochoty o tym rozmawiać.

Zapytał, jak udało jej się go odnaleźć.

Parsknęła.

–Może i nie rozumiem wilczej mowy, ale twój skowyt poznam wszędzie. – Umilkła na chwilę. – Wciąż żadnego znaku od niego?

–Żadnego – odpowiedział krótko. Zjadła kolejny orzech. Wreszcie Torak zaczął rozmowę.

–Rytuał uzdrawiający nie pomógł, prawda?

–Raczej zaszkodził. Oslak i Bera uważają, że cały klan jest przeciw nim – zmarszczyła brwi. – Saeunn mówi, że słyszała o podobnych chorobach. Panowały kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, w czasach, które nastąpiły po Wielkiej Fali. Wymierały całe klany. Klan Kozła. Klan Bobra. Może kiedyś istniało jakieś lekarstwo,

lecz zaginęło. Twierdzi też, że to choroba, która rodzi się ze strachu. I rodzi strach, jak drzewa liście.

–Jak drzewa liście – mruknął Torak. Podniósł patyk i zabrał się do obłuskiwania go z kory. – Skąd się wzięła?

Renn nie była w stanie trzymać tego w sobie dłużej. Musiała mu powiedzieć.

–Pamiętasz – zaczęła z ociąganiem – co Oslak mówił na pomoście? Palce chłopca zacisnęły się na patyku.

–Myślałem o tym. „Coś zjada moje dusze...” – przełknął ślinę. – Pożeracze Dusz... Ptaki umilkły. Drzewa znieruchomiały i wtopiły się w mrok.

–To chcesz powiedzieć? – zapytał Torak. – Sądzisz, że Pożeracze Dusz mają coś wspólnego z chorobą?

Renn zawahała się.

–Być może. Uważasz, że to niemożliwe?

Torak zerwał się i zaczął chodzić tam i z powrotem, przesuając kijem po podszyciu.

–Nie wiem. Nie wiem nawet, kim oni są...

–Torak...

–Wiem bardzo mało – odezwał się z niespodziewaną ostrością. – Wiem, że to Czarownicy, którzy zeszli na złą ścieżkę. Wiem, że mój ojciec był ich wrogiem, choć nigdy

mi o tym nie mówił. – Uderzył kijem w liście. – Wiem, że wydarzyło się coś, co złamało ich

potęgę, i ludzie uznali, że z nimi koniec. Ale się mylili. Zeszłego lata... – Głos mu się załamał. – Zeszłego lata kulawy Pożeracz Dusz stworzył niedźwiedzia, który zabił Tatę.

Torak ze wściekłością dźgnął ziemię patykiem i odrzucił go daleko od siebie.

–Możesz się mylić, Renn. Może to nie oni...

–Torak, posłuchaj: Oslak narysował znak na ziemi. Trójząb do chwytania dusz. Znak Pożeraczy Dusz.

P ożeracze Dusz.Związali się z jego przeznaczeniem, choć Torak wciąż tak mało o nich wiedział. Jedynie to, że było ich siedmiu, że każdy pochodził z innego klanu i wszyscy ulegli żądzy władzy.

Gdzieś w dole rzeki krzyknęła lisica. Venda przewróciła się z boku na bok na posłaniu, dręczona obawami o swego mężczyznę. Torak leżał w śpiworze i rozmyślał o złu, które sprowadziło na klany chorobę; złu, które chciało je zniszczyć.

A potem zawładnąć Lasem.

Ale przecież nikt nie jest w stanie tego dokonać. Nikt nigdy nie zawładnie drzewami i nie sprawi, by zwierzyna przestała podążać za odwiecznym, księżycowym rytmem. Nikt nie może mówić myśliwym, gdzie mają polować.

Kiedy w końcu udało mu się zasnąć, śniły mu się koszmary. Kulił się na ciemnym stoku pagórka, znieruchomiały z przerażenia, a pozbawieni twarzy Pożeracze Dusz pełzli w jego stronę. Z wysiłkiem zaczął się wspinać. Jego ręka natrafiła na łuskowatą miękkość, która poruszyła się i ugryzła. Próbował biec. Korzenie drzew oplotły mu

koszki. Skrzydlaty cień przemknął z łopotem nad głową. Pożeracze Dusz już go dopadli, nienawiść biła od nich jak płomień.

Obudził się.

Świtało. Las otulił drzewa tchnieniem mgły. Torak już wiedział, co zrobi.

–Jak się czuje Oslak? – zagadnął Vende, wychodząc z szałas.

–Bez zmian – odparła. Oczy miała zaczerwienione, lecz spojrzała na niego z sympatią.

–Muszę pomówić z Fin-Kedinnem – powiedział. – Widziałas go może?

–Wyruszył w dół rzeki. Nie powinienes mu teraz przeszkadzać. Torak zlekceważył radę.

Obozowisko kipiało życiem. Na wiklinowym pomoście kucaly kobiety i mężczyźni z włóczniami. Pozostali rozpalali ogniska, aby przyrządzić poranny posiłek. Z oddali dobiegalo miarowe „stuk, stuk” młotka o kamień.

Wszyscy starali się nie myśleć o Oslaku i Berze, spętanych w namiocie dla chorych.

Torak ruszył w dół rzeki. Minął kataraktę i pokonawszy zakręt, znalazł się poza zasięgiem wzroku ludzi w obozie. Szeroka Woda płynęła w tym miejscu mniej gwałtownie, łososi jak srebrzyste strzałki błyskały w głębokiej, zielonkawej toni.

Zastał Fin-Kedinn siedzącego na głazie na brzegu rzeki. Mężczyzna właśnie robił nóż. Obok leżały narzędzia: kamienne młotki, strugi, naczynie wypełnione czarną, ugotowaną krwią sosnową. Na mchu u jego stóp zdążył się już zbierać niewielki stosik ostrych jak igły kamiennych odłamków.

Podchodząc do niego, Torak czuł, że serce zaczyna mu łomotać. Żywił głęboki podziw dla Wodza Kruków, ale również obawiał się go. Fin-Kedinn przyjął go do siebie po śmierci Taty, ale nigdy nie zaproponował, że będzie Toraka wychowywać i uczyć. Był pomiędzy nimi dystans, jak gdyby mężczyzna nie chciał, by chłopiec zanadto się zbliżył.

Torak stanął na brzegu z zaciśniętymi pięściami.

–Muszę z tobą pomówić – powiedział.

–Więc mów – odrzekł Fin-Kedinn, nie podnosząc głowy. Torak przełknął ślinę.

–Chodzi o Pożeraczy Dusz. To oni zesłali chorobę. A walka z nimi jest moim przeznaczeniem. Zamierzam walczyć.

Fin-Kedinn nie przestawał przypatrywać się krąglemu, beżowemu kamieniowi wielkości pięści. Było to jajo Morza: wielka rzadkość w Lesie. Kruki wyrabiały broń głównie z łupka, poroży i kości, gdyż krzemień – w postaci jaj Morza – można było znaleźć jedynie na wybrzeżu. Handlowały nim klany morskie, wymieniając na rogi i skóry łososi.

Zawiedziony Torak spróbował jeszcze raz.

–Muszę ich powstrzymać. Położyć temu kres!

–Jak? – odezwał się Fin-Kedinn. – Nie wiesz nawet, gdzie ich szukać. Nikt z nas

nie wie. – Stukał kamiennym tłukiem w jajo Morza i nasłuchiwał, szukając miejsca bez pęknięć.

Torak wzdrygnął się. Monotonne „stuk, stuk” młotka przywoływało bolesne wspomnienia. Przywykł w dzieciństwie do odgłosów obłupywania kamieni. Tata zawsze robił to przy ognisku. Dźwięk sprawiał, że chłopiec czuł się bezpieczny. Jak bardzo się mylił!

–Renn powiedziała mi, że kiedyś, dawno temu, panowała podobna choroba – powiedział. – Mówiła, że znalazło się wtedy lekarstwo. Więc może...

–Myślałem o tym przez całą noc – odezwał się Fin-Kedinn. – Słyszałem pogłoskę, że

jeden z Czarowników z Puszczy wie, jak sporządzić lekarstwo.

–Gdzie on jest? – krzyknął Torak. – W jaki sposób możemy je zdobyć?

Fin-Kedinn uderzył w jajo Morza silnym, pojedynczym ruchem, gładko odłupując wierzch. Krzemień miał w środku kolor ciemnego miodu, przeplecionego żyłkami szkarłatu.

–Nie tak prędko – powiedział. – Zastanów się najpierw. Niecierpliwość może czasem

kosztować życie.

Torak położył się na brzegu, szarpiąc żdźbła trawy.

Fin-Kedinn ujął mały tłuczek z rogu i zaczął odłupywać ostre płatki z wierzchu kamienia, bezbłędnie kontrolując ich rozmiar siłą i kątem uderzeń. Stuk! Stuk!

Kamienny młotek mówił Torakowi, że ma czekać.

Wreszcie Fin-Kedinn przemówił:

–W nocy przypląnęła do nas kobieta z klanu Wydry. Dwie osoby u nich zachorowały.

Torak poczuł dreszcz. Klan Wydry polował daleko na wschodzie, na wybrzeżach jeziora Ostrze Topora.

–Więc choroba dotarła już wszędzie – mruknął. – Muszę wyruszyć do Puszczy.

Jeżeli

istnieje choćby najmniejsza szansa...

Fin-Kedinn westchnął.

–Kogo mógłbyś wysłać oprócz mnie? – spytał Torak. – Ty jesteś potrzebny tutaj.

Saeunn jest za stara na taką podróż. Pozostali pilnują chorych i zajmują się łososiami.

Fin-Kedinn wybrał strugę o grubości kciuka i zaczął ostrzyć krzemienisty płatek łagodnymi, zgrzytliwymi ruchami.

–Ludzie z Puszczy rzadko zwracają sobie nami głowę. Dlaczego ci się wydaje, że zechcą nam pomóc?– Właśnie dlatego ja powinienem iść – upierał się Torak. –

Moja matka

należała do klanu Płowego Jelenia. Jestem ich krewnym klanowym, muszą mnie wysłuchać!

A jednak Torak nigdy nie poznał swojej matki, gdyż umarła podczas jego narodzin. Próbował więc okazać nieco większą pewność niż ta, którą w rzeczywistości czuł.

Mięsień drgnął w szczęce Fin-Kedinna, gdy mężczyzna podniósł rękojeść noża:

kawałek kości goleniowej renifera z wydrążeniem na ostrze. Zanurzył ostry kawałek krzemienia we krwi sosnowej i wsunął go na miejsce.

–Nie przyszło ci do głowy, że tym sposobem zrobisz dokładnie to, czego chcą Pożeracze Dusz? – zapytał, podnosząc głowę. Jego błękitne oczy jaśniały z taką intensywnością, że Torak musiał spuścić wzrok. – Zeszłej zimy zniszczyłeś niedźwiedzia, a ja

nakazałem wszystkim, by nie opowiadali o tym zdarzeniu ludziom z innych klanów. Wiesz o

tym.

Torak pokiwał głową.

–Dzięki temu Pożeracze Dusz wiedzą na razie tylko tyle, że ktoś w Lesie ma moc.

Ale

nie wiedzą, kto. – Umilkł na chwilę. – Nie wiedzą kto, Torak. Nie zdają sobie też sprawy, na

czym ta moc polega. Podobnie jak my.

Torak odetchnął z niejakim trudem. Fin-Kedinn powtarzał słowo w słowo to, co chłopiec usłyszał od umierającego ojca. Przez całe życie trzymałem cię z dala...

Wystrzegaj się ludzi, Torak! Gdyby się dowiedzieli, co potrafisz...

Ale co tak naprawdę potrafił? Czasami zdawało mu się, że Tata miał na myśli znajomość wilczej mowy, ze słów Fin-Kedinna wynikało jednak, że chodzi o coś jeszcze.

–Ta choroba – powiedział Wódz Kruków – może oznaczać zasadzkę. Możliwe, że Pożeracze Dusz próbują wywabić cię z ukrycia.

–Nawet jeśli tak jest, nie mogę siedzieć beczynn timer. Muszę pomóc Oslakowi. Nie mogę znieść, że jest w takim stanie.

Surowa twarz Wodza nieco złagodniała.

–Wiem. Ja też.

Zapadło milczenie, podczas którego Fin-Kedinn odłupywał kolejne kawałki kamienia, Torak zaś powędrował spojrzeniem na drugi brzeg rzeki. Słońce wzniosło się ponad korony drzew i patrzenie na wodę przyprawiało o zawrót głowy. Zmrużył oczy. Po drugiej stronie dostrzegł czaplę i kruka myszkującego w poszukiwaniu resztek łososa.

Ostrze miało mniej więcej długość dłoni. Było ząbkowane i ostre jak szczęki rosomaka. Fin-Kedinn obwiąże jeszcze rękojeść kawałkami wierzbowych korzonków dla pewniejszego chwytu i nóż będzie gotowy.

–A właśnie – powiedział. – Pokaż mi swój nóż. Torak zmarszczył brwi.

–Co takiego?

–Słyszałeś. Pokaż mi go.

Zakłopotany Torak wyjął z pochwy nóż, który należał do jego ojca, i podał Fin-Kedinnowi.

Była to piękna broń z ostrzem wyciosanym w kształt liścia z błękitnego łupka i rękojeścią z poroża, obciążoną ścięgnem łosia. Tata powiedział mu, że ostrze wykonali ludzie z klanu Foki. Matka Taty, która pochodziła z tego klanu, podarowała

mu je, gdy osiągnął dojrzałość. Rękojeść dopasował sam. Kiedy umierał, dał nóż Torakowi. Chłopiec był z niego bardzo dumny.

Tymczasem Wódz Kruków ujął nóż w dłoń i potrząsnął głową.

–Za ciężki dla chłopca. To ofiarny nóż Czarownika – zwrócił broń chłopcu. – Nigdy nie troszczył się o takie rzeczy.

Torak bardzo pragnął usłyszeć coś jeszcze, lecz zawiódł się. Zamiast tego mężczyzna położył nowy nóż na środku palca wskazującego i przyjrzał mu się krytycznie. Był doskonale wyważony i leżał nieruchomo.

Piękny, pomyślał Torak.

Wódz Kruków odwrócił nóż, chwycił go za ostrze i wyciągnął w stronę Toraka.

–Weź. Zrobiłem go dla ciebie.

Torak przyjął podarunek po chwili zdumionego wahania. Fin-Kedinn ukrócił jego podziękowania.

–Od tej chwili – powiedział, zbierając narzędzia i wstając – trzymaj nóż ojca w ukryciu. Podobnie jak róg na lekarstwa twojej matki. Jeżeli ktoś zapyta cię o rodziców, nic nie mów.

–Nie rozumiem – powiedział Torak.

Ale Fin-Kedinn nie słuchał. Znieruchomiał, obserwując w skupieniu rzekę.

Torak ocienił oczy dłonią, ale oślepiający blask słońca sprawiał, że nadal niewiele widział. Po drugiej stronie rzeki wciąż stała czapla, nurt unosił ze sobą jakąś kłodę.

Od strony obozu dobiegł lament kobiety: ponad ryk katarakty wzbił się rozzwierający, mrozący krew w żyłach krzyk.

Zobaczył mężczyzn i kobiety nadbiegających z obozu.

Odjęło mu dech.

To nie kłodę niósł nurt rzeki.

To był Oslak.

Oslak nie miał żadnych szans. Przegryzł więzy, wyślizgnął się niezauważony zszalasu i wspiał na Skalę Opiekuna. A potem się z niej rzucił.

Prawdopodobnie zginął w chwili upadku. Przynajmniej Torak miał nadzieję, że tak było. Wołał nawet sobie nie wyobrażać, że mężczyzna mógłby jeszcze żyć, kiedy rzeka cisnęła nim o kataraktę.

Gdy Torak dotarł do obozu Kruków, przywitała go całkowita cisza. Venda przestała już lamentować, stała teraz z kamienną twarzą i przypatrywała się, jak mężczyźni wracają z ciałem na noszach. Obchodzili się z nim z największą ostrożnością, żeby przypadkiem nie dotknąć zwłok gołymi rękami. Nie chcieli ściągnąć na siebie gniewu dusz zmarłego, które z pewnością snuły się jeszcze po obozowisku.

Kiedy złożyli nosze przed szalasem Oslaka, kucnęła przy nich Saeunn i palcem owiniętym dla ochrony w skórę opiekuna wymalowała Znaki Śmierci na ciele zmarłego, aby jego dusze nie rozłączyły się podczas ostatniej podróży. Wkrótce Kruki zanoszą go do Lasu. Należało zrobić to jak najszybciej, gdyż inaczej dusze mogłyby pozostać w obozie.

Fin-Kedinn stał nieco dalej, a jego twarz była granitową maską. Nie okazywał smutku, kiedy wydawał rozkazy, by podwoić strażę przy Berze oraz opróżnić szalas Oslaka ze wszystkich przedmiotów, które do niego nie należały. Resztę miał strawić ogień. Niemniej Torak wiedział, że mężczyzna ciężko przyjął tę stratę. Wódz Kruków powiedział Oslakowi, że zadba o jego bezpieczeństwo, a nie był człowiekiem, który łatwo potrafi sobie wybaczyć, że zawiódł.

Poczucie winy.

Torak też czuł jego przygniatające brzemię.

Jedno było pewne: przyszedł czas na działanie. Kiedy Kruki wyruszą z ciałem do Lasu, zostanie w obozie, gdyż nie należy do ich klanu. Dzięki temu będzie miał okazję się wymknąć i wyruszyć do Puszczy w poszukiwaniu lekarstwa.

Przedtem jednak miał jeszcze coś do zrobienia. Gdy rozpoczęto przygotowania do pogrzebu i kobiety przyniosły glinę do smarowania twarzy, Torak udał się ukradkiem do Skały Opiekuna. Jeśli jego podejrzenia okażą się trafne – jeśli istota o twarzy z liści miała coś wspólnego ze śmiercią Oslaka – być może uda mu się odnaleźć ślady.

Ściana, którą Skała Opiekuna zwracała się w stronę rzeki, wznosiła się niemal pionowo, natomiast wschodnia strona przypominała bardziej stok pagórka, po którym dawało się ostrożnie wspiąć na górę. W błocie u podnóża Skały Torak zobaczył gmatwaninę niezliczonych odcisków stóp, niektóre z nich prowadziły wschodnim zboczem pod górę.

Wiadomość, którą dało się odczytać ze śladów, była bardzo niejasna, lecz Torak zdołał dostrzec linię słabych, wąskich odcisków z zeszłego dnia: pozostawiła je Saeunn. Zobaczył odciski łap, przeplatające się z innymi – wyraźnymi, małymi i czteropalczastymi -na górę musiał wbiec pies, za którym uganiał się kruk. Kawalek dalej zauważył ślady mężczyzny. Odcisnęły się jedynie palce u stóp i pięty. Oslak pędził na górę najprędzej, jak umiał.

Torak poczuł, że żal ściska go za gardło. Odegnał to uczucie. Na smutek przyjdzie czas później, kiedy wyruszy już w drogę.

Powoli ruszył tropem Oslaka na szczyt Skały.

Podczas szaleńczej wspinaczki mężczyzna poruszył mech i mnóstwo kamyków. W jednym miejscu musiał się obsunąć i skaleczyć. Był tam nieznaczny ślad krwi. Potem biegł dalej.

Biegł najszybciej, jak potrafił, pomyślał Torak. Jakby ścigały go wszystkie demony Zaświatów.

Na szczycie Skały Torak odnalazł to, czego się obawiał. Jeszcze jeden trop, odciski stóp znacznie mniejszych od stóp Oslaka. Były słabo widoczne, lecz chłopiec zobaczył dość, by się zorientować, że ten, kto je zostawił, stał w miejscu – i to całkiem spokojnie, bardzo blisko krawędzi. Stał tam i patrzył, jak Oslak skacze w objęcia śmierci.

Odciski stóp były naprawdę małe, jak ślady ośmioletniego czy może dziewięcioletniego dziecka.

Tylko czy stopy dziewięcioletka uzbrojone są w szpony?

Klan przygotowywał się już do wyprawy, kiedy Torak odnalazł Renn przy głównym ognisku. Dziewczyna ucierała krew ziemi, której Kruki używały przy rytuałach pogrzebowych.

Na jej twarzy zobaczył smugi gliny rzecznej – był to przyjęty wśród Kruków sposób okazywania żałoby. Łzy wyrzeźbiły w glinie dwie małe rynienki. Torak nigdy przedtem nie widział, by płakała. Mrugała usilnie, kiedy podchodził.

–Renn – odezwał się, siadając obok niej. Starał się mówić możliwie najłagodniej, na

tyle tylko głośno, by usłyszała – muszę ci coś powiedzieć. Wspiąłem się na Skale Opiekuna

i...- Co tam robiłeś?

odkryłem ślady.

–Chodź! Ruszamy! – z drugiego końca polany krzyknęła do Renn Saeunn.

–Jakaś istota krąży po obozie – powiedział Torak z naciskiem. – Widziałem ją! Czarownica Kruków ponownie przywołała Renn.

–Muszę iść, Torak – powiedziała dziewczyna. Wsypała ochrę do woreczka z lekarstwami i wstała. – Niedługo wrócimy. Wtedy mi opowiesz. Pokażesz te ślady.

Torak pokiwał głową, starając się unikać jej wzroku. Nie zastanie go tutaj po powrocie. Nie mógł jej wyjawić, gdzie się wybiera, gdyż próbowałaby go powstrzymać albo nalegała, by mu towarzyszyć w wyprawie. Nie mógł do tego dopuścić. Jeśli Fin-Kedinn się nie mylił, jeśli istniało choćby najmniejsze ryzyko, że wejdzie prosto w pułapkę Pożeraczy Dusz, nie powinien ryzykować życia Renn.

–Przykro mi, że nie możesz iść z nami – powiedziała Renn, czym sprawiła, że poczuł

się jeszcze gorzej.

Odwróciła się i pobiegła, by zająć miejsce z przodu, u boku swego wuja, Fin-Kedinna.

Kruki wyruszyły, a Torak przypatrywał się ich odejściu. Wiedział, że zanoszą ciało Oslaka w miejsce odległe od obozu i dopiero tam zbudują Platformę Śmierci: niski stos jarzębinowych gałęzi, na którym ułożą zwłoki twarzą w górę rzeki. Dusze Oslaka, tak jak łososi, odbędą swoją ostatnią podróż w stronę Wysokich Gór.

Obrzędy przy Platformie Śmierci nie potrwać długo, członkowie klanu pożegnają swojego pobratymca i zostawią ciało w lesie. Żyjąc, zjadał inne żywe stworzenia, dlatego istoty leśne będą mogły pożywić się nim po śmierci. Trzy miesiące później Venda zbierze jego kości i zanieśie na cmentarzysko Kruków. Przez następnych pięć lat ani ona, ani nikt inny nie wymówi na głos jego imienia. Było to prawo klanowe, którego należało surowo przestrzegać: inaczej dusze zmarłego mogłyby niepokoić żywych.

Torak stał na polanie, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Kiedy Las połknął ostatniego z Kruków, obóz wydał mu się przerażająco pusty. Zostały tylko psy, aby pilnować łososi.

Torak poszedł bez zwłoki po swoje rzeczy. Do lżejszego, wyplatane z wikliny plecaka włożył część swojego ekwipunku: skórę do gotowania, woreczek z

lekarstwami,

krzesiwo i hubkę, haczyki na ryby; zabrał kołczan i łuk, zwinięty śpiwór, nóż Taty owinięty w niewyprawioną skórę i róg na lekarstwa matki. Wkładając mały bazaltowy toporek za pas, starał się nie myśleć o chwili, kiedy ostatni raz zmuszony był pakować się w pośpiechu. Było to zeszłej jesieni, kiedy konał jego ojciec.

Ręka Toraka zacisnęła się na rękojeści noża, który zrobił dla niego Fin-Kedinn. Był lżejszy i łatwiejszy w użyciu niż nóż ojca, ale żaden nie mógł zastąpić tamtego noża.

Nie myśl teraz o tym, powiedział sobie. Ma cię tu nie być, kiedy wrócą. I dobrze by było, gdybyś tym razem nie zapomniał o jedzeniu.

Po tym, co się przytrafiło Oslakowi, Torak nie mógł nawet patrzeć na łososie: ani na wędzone mięso, ani na płaskie ciastka Kruków z suszonej, siekanej ryby wymieszanej z rozgniecionymi jagodami jałowca. Zamiast tego odciął kilka pasków mięsa łosia, które wisiały na krokwi w szałasie Thulla. Wystarczą na podróż do Puszczy.

Ale ile czasu przyjdzie mu spędzić w samej Puszczy? Trzy dni? Pięć? Nie mógł tego wiedzieć. Nigdy nawet nie był w pobliżu, raz tylko widział dwoje ludzi z Puszczy: milczącą kobietę z klanu Płowego Jelenia, z kosmykiem włosów zabarwionym krwią ziemi, i dziewczynę o dzikim spojrzeniu, z klanu Tura, z czaszką dziwacznie oklejoną żółtą gliną. Żadna z nich nie okazała mu nawet odrobiny zainteresowania i, wbrew temu, co mówił Fin-Kedinnowi, wcale nie oczekiwał przychylnego powitania.

Idąc przez obozowisko, minął szałas Wodza – i właśnie wtedy uderzyła go jak gromem myśl, że opuszcza klan Kruków. Być może na zawsze.

Najpierw straciłeś Tatę, potem Wilka. Teraz Oslaka, Fin-Kedinna i Renn.

Wewnątrz szałasu było ciemno. Część narożna, gdzie spał Fin-Kedinn, prosta i schludna, różniła się bardzo od posłania Renn, które stanowiło istne pobożowisko: śpiwór leżał w nieładzie, dziewczyna pozostawiła na nim kilka strzał, których nie zdążyła zaopatrzyć w brzechwy. Będzie wściekła, że Torak wyruszył bez niej, w dodatku bez pożegnania.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Znalazł przed szałasem mały, płaski kamień. Podbiegł do najbliższej olchy, wymruczał podziękowanie do ducha drzewa, odciął pasek kory i zaczął go żuć. Po chwili wypluł na dłoń czerwoną papkę ze śliny i krwi drzewa i z jej pomocą namalował na kamieniu swój tatuaż klanowy: dwie kropkowane linie z przerwami pośrodku. W oryginalnym wzorze nie było przerw, ale kiedy Renn zobaczy kamień, zorientuje się, że to on go zostawił.

Kończąc malować, znieruchomiał. Jego palec umazany był sokiem olszynowym, którego używał zeszłej zimy podczas rytuału nadania imienia Wilkowi.

Rozsmarowywał wtedy sok po łapach szczenięcia i bardzo się niecierpliwił, że wilczek uparcie go zlizywał.

–Nie myśl o Wilku – powiedział głośno. – Nie myśl o nich wszystkich! Opustoszały obóz drwił z niego ciszą. Jesteś teraz zdany na siebie, Torak. Chłopiec pospiesznie wetknął kamień pod śpiwór Renn i wybiegł na światło dzienne. Las rozbrzmiewał śpiewem ptaków, piękny aż do bólu. Torak nie był w stanie się nim cieszyć.

Zawiesił łuk na ramieniu, odwrócił się na wschód i ruszył w stronę Puszczy.

Smutek towarzyszył Wilkowi jak dawno niewidziany brat ze stada. Wilk tęsknił za Wysokim Bezogonem. Brakowało mu jego dziwnej, bezwłosej twarzy, łamiącego się skowytu; brakowało tego przedziwnego skomlenia, które u Bezogona było śmiechem.

Wiele razy Wilk odłączał się od stada i wył za swoim bratem. Wiele razy biegał w kółko, zastanawiając się, co robić. Trzymał go zew Góry i ciągnął zew brata ze stada. Czuł się rozdarty.

Inne wilki – wilki z jego nowego stada – dziwiły się temu. Masz teraz nas! Nie jesteś jeszcze dorosłym wilkiem, musisz się wiele nauczyć! Nie wiesz, jak się poluje na wielką zwierzynę, jak przetrwasz w samotności? Zostań z nami!

Były silne, bliskie mu i niejednokrotnie Wilk czuł się szczęśliwy na Górze Grzmiącego. Bawił się z nimi hałaśliwie w „złap leminga”; wskakiwali razem do jezior, żeby straszyć kaczki. A jednak te wilki nie rozumiały wszystkiego.

Wilk myślał o tym, biegnąc na swoją ulubioną grań, by wciągnąć w nozdrza zapachy docierające z Lasu.

Las znajdował się wiele skoków od niego, ale bez trudu wyczuł wilgotną woń nowo narodzonego jelonka, ostry aromat krwi drzewnej na pniu świerka obalonego przez wiatr. Usłyszał odgłosy cmokania, wydawane przez knura obracającego się w barłogu, i skrzek

młodej wydry, która właśnie spadła z gałęzi. Bardzo chciał być znowu w Lesie z Wysokim Bezogonem.

Ale czy to możliwe, by kiedyś znowu byli razem?

Nie chodziło tylko o to, że Wilk nie chciał opuszczać nowego stada. Był jeszcze Grzmiący. Grzmiący nigdy nie pozwoli mu odejść.

Grzmiący mógł zaatakować w każdej chwili: nawet teraz, kiedy Góra była tak jasna i czysta, a po jego gniewnym oddechu ani śladu. Gdyby jednak chciał, mógł burzami zrównać Las z ziemią, zesłać na dół Jasną-Bestię-która-Ką-sa-Gorąco, niszcząc drzewa, kamienie i Wilki. Był wszechwładny. Wilk wiedział o tym aż za dobrze, bo to właśnie Grzmiący zabrał jego pierwsze stado, kiedy Wilk był jeszcze szczeniakiem.

Wybrał się wtedy na spacer, aby zbadać okolicę, a kiedy wrócił, Legowiska już nie było. Całe stado – matka, ojciec i bracia – leżeli w błocie, mokrzy, zimni i Bez-Oddechu. Grzmiący nie musiał nawet się zbliżyć, aby ich unicestwić. Posłał po prostu Prędką Wilgoć, która z rykiem spłynęła na nich z Gór.

Wilk był wtedy bardzo samotny i przestraszony, i bardzo, ale to bardzo głodny. Wtedy pojawił się Wysoki Bezogon. Wysoki Bezogon, który dzielił się z nim upolowaną zwierzyną i pozwalał zwinąć się na sobie w kłębek do snu. Wysoki Bezogon, który wył razem z wilkiem i bawił się z nim kawałkiem skóry. Brat ze stada.

Oczywiście Bezogon był wilkiem, każdy by się zorientował, jednakże na pewno nie był wilkiem zwykłym. Sierść na jego łbie była długa i ciemna, cała reszta zaś w ogóle pozbawiona futra. Zamiast tego Bezogon miał luźną skórę – którą potrafił zdejmować. Pysk miał płaski, a jego zęby były małe i żałośnie tępe. Najdziwniejsze

jednak było to, że nie miał ogona.

Słyszał było natomiast, że jest wilkiem, nawet jeśli nie potrafił wydać z siebie skomleń o najwyższych tonach. Jego oczy były naprawdę oczyma wilka: jasnoszare, pełne światła. Nade wszystko zaś miał wilcze serce i ducha.

Wilk stał na grani, a smutek wypełniał mu pierś. Zadarł pysk w górę i zawył.

I wtedy uderzył go w nozdrza nowy zapach.

Nie był to zapach myśliwego ani zwierzyny, drzewa ani ziemi, Prędkiej Wilgoci czy kamienia. Zły zapach! Coś złego przetaczało się po Lesie.

Wilk zaskomlił trwożliwie. Jego brat ze stada był właśnie tam, gdzie źródło nowego zapachu.

W jednej chwili wszystko stało się jasne. Być może Grzmiący wyruszy za nim w pościg, ale nie zdoła go już dłużej zatrzymać. Wysoki Bezogon go potrzebował.

Dwa razy nastąpiły po sobie Ciemność i Światło, a Wilk biegł, czując za ogonem Górę Grzmiącego. Biegł ku miejscu, w którym Gorące Jasne Oko znika, by zapaść w sen.

Strach dotrzymywał mu kroku i chwycił za tylne łapy.

Wilk bał się gniewu nieznanym wilków, których terytoria przemierzał w biegu; jeśli go złapią, mogą go rozszarpać na kawałeczki.

Bał się też zemsty Grzmiącego.

Co najgorsze jednak – bał się o swego brata ze stada.

Biegł, a zła woń potężniała z każdą chwilą. Zło grasowało w Lesie.

Wilk niezmordowanie kluczył między drzewami, szukając bezogonów. Niektóre ich stada miały zapach dzików, inne – wydr, ten jednakże, którego szukał, czuć było krukami. Właśnie do tego stada dołączył Wysoki Bezogon.

Wreszcie odnalazł to stado, na jednym z brzegów rozwścieczonej Prędkiej Wilgoci.

Tak jak się spodziewał, nikt się nawet nie zorientował, że przybył. Była to kolejna dziwna rzecz, którą wiedział o bezogonach. Z jednej strony na wiele sposobów przypominali prawdziwe wilki – mądrością i odwagą, ochotą do rozmów i zabawy, gorącą, prostą miłością, którą darzyli swoje stado, z drugiej jednak strony – byli niemal zupełnie pozbawieni węchu i właściwie nic nie słyszeli. Więc Wilk szedł dalej, niezauważony, aż w poszukiwaniu brata ze stada zawędrował na skraj Legowiska bezogonów.

Brata ze stada nigdzie nie było.

Za poprzedniego Światła spadł deszcz, zmywając wiele zapachów, ale jeśli Wysoki Bezogon tu był, Wilk i tak by go wyczuł.

Do jego nozdrzy doszedł zapach wilka przewodnika, siedzącego przy Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco, jak to z upodobaniem robią bezogony. Obok niego przycupnęła niedojrzała jeszcze samica, znajoma siostra ze stada Wysokiego Bezogona. Rozmawiała z wilkiem przewodnikiem tym szczególnym rodzajem skomlenia, którym bezogony porozumiewają się między sobą, tamten zaś był najwyraźniej smutny i zły jednocześnie.

Wilk wyczuł, że samica martwi się o Wysokiego Bezogona.

Biegał tam i z powrotem, i wciąż szukał brata ze stada.

Znalazł dużą, beztrawą plamę, która pachniała świeżym popiołem, oraz jakieś dziwne, proste drzewa, na których rosło mnóstwo ryb. Zatrzymał się tylko na moment, by przełknąć kilka kawałków, i ruszył na powrót w Las.

Może brat ze stada wyruszył na polowanie? Tak, nie mogło być inaczej. Nie odszedł więc daleko, bo – jak wszystkie bezogony – poruszał się na zadnich łapach, a to czyniło go bardzo powolnym.

Ale choć Wilk szukał i szukał, nie znalazł nic.

Straszna prawda runęła na niego jak spadające drzewo.

Wysoki Bezogon odszedł.

T orak trzymał się z dala od ścieżek klanu, aby uniknąć spotkania z Krukami. Podążał osłoniętymi trasami jeleni, które pokrywały płataniną całą dolinę Szerokiej Wody.

Zwierzyna bardzo szybko wyczuła, że nie zamierza na nią polować, i uspokoiła się. Niedaleko od niego łoś najspokojniej w świecie przeżuwał kępę wierzbówki. Konie leśne postawiły ogony i pierzchły pomiędzy drzewa, zaraz jednak zatrzymały się, odwróciły i przypatrywały chłopcu, dopóki nie zniknął im z oczu. Dwie lochy wraz z gromadą puszystych warchlaków podniosły ryje znad posiłku i przyglądały mu się, kiedy przechodził.

Świeże listki na drzewach, dopiero co rozwinięte z pączków, były wciąż mocno stulone i przepuszczały mnóstwo światła. Torak szedł szybko. Jak wszyscy ludzie Lasu, nie obciążał się podczas podróży zbędnymi przedmiotami. Miał ze sobą tylko to, co potrzebne do polowania, rozpalenia ognia i noclegu.

Przez całe życie wędrował po Lesie razem z Tata, rozbijając obóz na noc lub dwie, by potem ruszać w drogę. Zawsze byli w drodze. To właśnie okazało się najtrudniejsze, gdy zamieszkał z Krukami. Rozbijali obozy najwyżej co trzy, cztery miesiące.

Poza tym było ich tak wielu! Dwadzieścia osiem osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Nawet zupełnie małych. Te małe Torak zobaczył zeszłej zimy po raz pierwszy w życiu. „Dlaczego to nie potrafi chodzić? – pytał Renn. – Co robi przez cały dzień?” Tarzała się po ziemi ze śmiechu.

Bywało, że wszyscy go bardzo drażnili. Teraz tęsknił za nimi, z tych samych powodów.

Kawałek na południe od Wodogrzmotów pozostawił za sobą dolinę Szerokiej Wody i skręcił na wschód, ku następnej. Tam natknął się na dwóch myśliwych z klanu Wierzby, w łódkach z wydrążonych pni. Na szczęście bardzo im się spieszyło i nie pytali, dokąd idzie. Zatrzymali się tylko na chwilę, by ostrzec go przed podróżą w dół rzeki.

–Zeszłej nocy z naszego obozu uciekł chory – powiedział jeden z myśliwych. – Jeśli usłyszysz wycie, uciekaj. On nie wie, że jest człowiekiem. Drugi potrząsnął ponuro głową.

–Skąd się wzięła ta choroba? Zupełnie jakby każdy oddech lata był zatruty.

Było jeszcze wczesne popołudnie, kiedy Torak po raz pierwszy poczuł, że jest

obserwowany.

Wiele razy zatrzymywał się i nasłuchiwał. Ani razu nic nie usłyszał, a kiedy się odwracał, zawsze witała go pustka. A jednak – ktoś za nim szedł. Wyczuwał to. W miarę jak wydłużały się cienie, obrazy szaleńców wędrujących po Lesie coraz częściej pojawiały się w jego myślach; podobnie jak niewielkie, złowrogie istoty z ostrymi szponami i twarzami z liści.

Obóz rozbił w pobliżu hałaśliwej rzeki. Ważki śmigły w powietrzu jak promyki niebieskiego światła, a komary niemal go zjadły, zanim zdążył się natrzeć sokiem wyciśniętym z piołunu.

Po raz pierwszy od sześciu miesięcy miał spać sam w Lesie i bardzo starannie wybrał odpowiednie miejsce. Płaski skrawek ziemi, położony na tyle wysoko względem poziomu rzeki, żeby nie trzeba się było obawiać letnich powodzi, z dala od mrowisk i widocznych ścieżek zwierząt. Zadbął też, by żadne martwe drewno nie zwieszało się nad szałasem, żadne drzewo osłabione przez burzę nie rośło w pobliżu.

Cieszył się bardzo, że po tylu nocach pod szałasem krytym skórą renifera u Kruków spędzi noc tak, jak robił to z Tata, czyli zbuduje szałas z żywych drzew. Znalazł trzy drzewka bukowe, wygiął je ku sobie i związał korzeniem sosnowym, otrzymując w ten sposób wąską, osłoniętą przestrzeń do spania. Powstałe w ten sposób rusztowanie uzupełnił opadłymi gałęziami i uszczelnił ściółką, po czym przykrył jeszcze jedną warstwą gałęzi. Rano odwiąże drzewka, a one powrócą do pionu bez szwanku.

Przygotowawszy posłanie z zeszłojesiennych, kruchych owoców buka, wciągnął swoje rzeczy do środka. Szałas intensywnie pachniał ziemią.

–Dobry zapach – powiedział głośno. Własny głos wydał mu się nienaturalny i pełen napięcia.

Zapowiadała się ciepła noc, wiał lekki wietrzyk z południa, więc Torak zdecydował się jedynie na małe ognisko otoczone kamieniami, by ogień nie uciekł do Lasu. Rozpalił je krzesiwem i garstką sproszkowanej brzozonej kory.

Przypomniawszy sobie wszystkie noce, podczas których siadywali wraz z Tata nad żarem ogniska, dumając o owej dziwnej, tajemniczej istocie – dawcy życia, który był tak wielkim przyjacielem wszystkich klanów. Co śni ogień, śpiąc wewnątrz drzew? Dokąd się udaje, gdy gaśnie?

Po raz pierwszy pomyślał o swych krewnych klanowych, z którymi miał się wkrótce spotkać. A może wśród ludzi z klanu Płowego Jelenia poczuje się wreszcie na miejscu? W końcu gdyby wszystko potoczyło się inaczej, mógłby należeć do Płowych Jeleni. Gdy się urodził, matka mogła nadać mu imię z własnego klanu. Zrobił to ojciec, ale gdyby się tak nie stało, dorastałby w Puszczy, Tata żyłby nadal i nigdy nie spotkałby Wilka...Zbyt dużo do przemyślenia naraz. Czas poszukać czegoś do jedzenia. Wykopał kilka słodkich korzeni storczyka i upiekł je w żarze, przyrządził też mieszankę z liści komosy piżmowej doprawionej dzikim czosnkiem. Smakowało nieźle, choć wcale nie był głodny. Postanowił, że zje wszystko następnego dnia.

Zawieszał właśnie skórę do gotowania na drzewie, poza zasięgiem zwierząt, które

mogłyby przyjść w to miejsce na popas, gdy Lasem wstrząsnął krzyk.

Torak znieruchomiał.

Nie był to krzyk lisicy. Ani rysia szukającego partnerki. To krzyczał człowiek. A raczej coś, co kiedyś było człowiekiem. Daleko na zachodzie.

Z narastającym poczuciem grozy Torak patrzył, jak pomiędzy drzewami robi się coraz ciemniej. Zbliżał się co prawda środek lata, więc noc miała być bardzo krótka. Nie tak krótka jednak, by nie zdążył stracić ducha.

Zapadł zmierzch. Ciemniało, a Las rozbrzmiewał wciąż gadaniem drozdów i ochryplym śmiechem dzięciołów. Ptaki będą śpiewać przez całą noc. Chłopiec cieszył się z ich towarzystwa.

Pomyślał o Krukach zasiadających wokół głównego ogniska. Przypomnił sobie woń dymu i wędzonego łososa, donośny śmiech Oslaka...

Zupełnie jakby każdy oddech lata był zatruty...

Szybko rozwinął śpiwór i wczołgał się do szałas, kładąc broń obok siebie. Przed chwilą był jeszcze zupełnie rozbudzony. W tej chwili czuł ogromne wyczerpanie.

Zasnął.

Mrozący krew w żyłach śmiech wdarł się do jego snów. Torak zaczął sobie mgliście uświadamiać, że słyszy głośnie trzeszczenie – znajome i śmiertelnie niebezpieczne zarazem...

Przebudził się w jednej chwili. Trzask padającego drzewa – padającego w stronę szałas!

Nogi zaplątały mu się w śpiwór i nie mógł się uwolnić. Wijąc się jak gąsienica, wydostał się przez otwór wejściowy. Zdołał wstać, podskoczył i upadł, o włos omijając ognisko, po czym runął na bok, w paprocie. Dokładnie w chwili, gdy upadające drzewo rozniosło jego szałas w drzazgi.

Iskry strzeliły w niebo. Ciemne gałęzie zafalowały i znieruchomiały.

Torak leżał wśród paproci z łomoczącym sercem, zlany zimnym potem od stóp do głów. Upewnił się przecież, że w okolicy nie ma żadnych osłabionych burzą drzew, pamiętał o tym. Poza tym przez całą noc prawie nie było wiatru.

Ten śmiech. Upiorny, a zarazem tak przerażająco... dziecięcy. Nie przyśnił mu się.

Nie ważąc się ruszyć, czekał. Kiedy się wreszcie upewnił, że nic więcej się na niego nie zawali, poszedł obejrzeć resztki szałas.

Młody jesion spadł prosto na niego, uśmiercając trzy drzewka bukowe i zagradzając dostęp do rzeczy w środku. Jeśli Torak będzie miał szczęście, uda mu się je wydobyć. W świetle ogniska wyglądały przynajmniej na nienaruszone. Ale gdyby sam nie obudził się w porę, z pewnością byłby już martwy.

Tylko jeśli to coś, co za nim szło, Dręczyciel – jak chłopiec zdążył już nazwać go w duchu – chciał jego śmierci, czemu ostrzegł go śmiechem? Zupełnie jakby się z nim bawił, umyślnie dręczył. Narażał na niebezpieczeństwo, żeby się przekonać, co robi Torak.

Ogień wciąż się palił. Z płonąca gałęzią w jednej ręce i nożem w drugiej Torak przyjrzał się zwalonemu jesionowi. Zobaczył ślady topora. Ślady małych, niedbałych uderzeń. Ale skutecznych.

Było to jednak dość dziwne. Nie widział na ziemi odcisków stóp. Żadnych śladów, które pozostawia ktoś, kto zamierza się toporem na drzewo.

Raz jeszcze przyjrzał się ziemi w świetle ogniska. Znowu nic. Możliwe, że coś przeoczył, choć szanse były minimalne. Jeżeli znał się na czymś naprawdę dobrze, to na tropieniu.

Dotknął palcem krwi drzewa na pniu. Zaczynała już tężeć. A więc pień został podcięty jakiś czas temu. Wystarczyło zatem, że ktoś pchnął drzewo, gdy Torak spał.

Zmarszczył brwi. Nie da się zrząbać drzewa w całkowitej ciszy. Dlaczego nic nie usłyszał?

Po chwili już wiedział. Nappełniał bukłak przy rzece – jej szum zagłuszył inne dźwięki.

Kiedy tak stał pośród spowitych mrokiem, umierających drzew, znów zatęsknił za towarzystwem Wilka. Jemu nic by nie umknęło. Miał tak czułe uszy, że słyszał, jak niebem przepływają chmury. Węch dość dobry, by zwietrzyć oddech ryby.

Ale jego tu nie ma, powiedział sobie Torak surowo. Jest daleko stąd, na Górze Ducha.

Po raz pierwszy od sześciu miesięcy nie będzie mógł wyc za swoim utraconym przyjacielem. Wolał nawet nie myśleć kto – lub co – mogłoby odpowiedzieć na jego wołanie.

Zanim zdołał wydobyć swoje rzeczy i zbudować nowy szałas, zdążyła już minąć północ, a on był odrętwiały i zmęczony. Niezbyt też było mu przyjemnie z myślą, że przyczynił się do śmierci młodych drzewek. Wyczuwał ich dusze, unoszące się w powietrzu wokół niego: pełne goryczy i smutku, niezdolne zrozumieć, dlaczego odebrano im szansę, by stały się dorosłymi drzewami.

To twoja wina, zdawały się szeptać starsze drzewa. Przywlokłeś zło ze sobą...

Tym razem nie chciał ryzykować i nie wszedł do śpiwora. Zamiast tego dorzucił do ogniska, aby się bardziej przebudziło, i usiadł w nowym szałasie z toporkiem na kolanach, zarzucając na ramiona skórę renifera. Nie miał zamiaru się kłaść. Lepiej poczekać na świt...

Gwałtownie się przebudził. Znów pojawiło się uczucie, jakby ktoś go obserwował – tym razem jednak było nieco innego rodzaju. W powietrzu unosił się zapach: gorący, silny i znajomy, trochę jak woń musztardy, ale jego przyćmiony snem umysł nie był w stanie go rozpoznać. Po drugiej stronie ogniska zabłyśły oczy. Ręka chłopca zacisnęła się na toporku.

–Kto tam? – zapytał chrapliwie. Stworzenie warknęło.

–Kim jesteś? – powtórzył Torak. Istota weszła w krąg światła. Wszystkie mięśnie Toraka napięły się.

Dzik. Ogromny samiec, mierzący dwa pełne kroki od ryja do ogona, cięższy od trzech dorosłych mężczyzn. Wielkie, owłosione uszy brązowego koloru sterczały do góry, a małe chytre oczka spotkały się z oczami Toraka.

Torak zmusił się, by zachować spokój. Dziki nie mają w zwyczaju atakować, jeśli nie są ranne albo nie bronią młodych; z drugiej strony rozżłoszczony dzik potrafi

biec szybko jak jeleni i jest niepokonany.

–Nie zrobię ci nic złego – powiedział chłopiec, zdając sobie sprawę, że zwierzę nie zrozumie. Miał jednak nadzieję, że samym tonem głosu zdoła przekazać znaczenie słów.

Duże uszy drgnęły. Blask ognia zatańczył na żółtych kłach. Po chwili dzik warknął z irytacją, opuścił potężny łeb i zaczął ryć wśród szczątków szałas.

Najwyraźniej szukał pożywienia. Lato to chudy okres dla dzików, po późnych jesiennych jagodach i żołądźkach nie ma już śladu. Trudno się dziwić, że szukał korzonków, żuków i robaków, gdzie tylko mógł.

Dzik przestał zwracać uwagę na Toraka, który po chwili wszedł do śpiwora i zwinął się w kłębek, wsłuchując się w uspokajające chrząkanie. Jego nowy towarzysz był mrukliwy i niezbyt uprzejmy, niemniej był towarzyszem. Zmysły dzika są bardzo czułe. Jeśli zostanie przy nim, żaden szaleniec ani Dręczyciel nie będą mogli się zbliżyć.

Niestety, z pewnością wkrótce odejdzie.

Torak patrzył w czerwone serce żaru, zastanawiając się, czy Fin-Kedinn nie miał racji; czy ktoś go nie skłonił podstępem do opuszczenia Kruków. Być może ten ktoś, kto go obserwował, uzyskał dokładnie to, czego chciał: Torak znalazł się w Lesie sam.

Ktokolwiek to był, przez resztę nocy miał inne sprawy na głowie. Gdy Torak wyczołgał się z szałas, padało. Dzik zniknął, ogień zupełnie wygasł. Ktoś poprzesuwał kamienie i wygładził popiół. Wziął też strzały Toraka – wpełzł do szałas, gdy chłopiec spał, wyjął strzały z kołczana, który leżał tuż obok jego głowy, i ułożył w popiele w jakiś znak.

Torak rozpoznał go natychmiast. Trójzęb Pożeraczy Dusz.

Przykląkł na jedno kolano i podniósł strzałę.

–No dobra – powiedział na głos, wstając. – Wiem, że jesteś sprytny i potrafisz się do mnie podkraść. Ale będziesz tchórzem, jeśli nie pokażesz się teraz i nie spojrzysz mi w twarz.

Nikt najwyraźniej nie zamierzał wyjść z ociekającego wodą podszycia.– Tchórz! – krzyknął Torak. Las czekał.

Głos chłopca rozlegał się echem wśród drzew.

–Czego chcesz? Wyjdź i pokaż się! Czego ode mnie chcesz?

Deszcz szemrał cicho wśród liści i spływał bezgłośnie po twarzy chłopca. W odpowiedzi Torak usłyszał jedynie dalekie postukiwanie dzięcioła.

Minął poranek, ale nie przestało padać. Torak lubił deszcz: przynosił przyjemny chłód i przepędzał komary. Pokonawszy dwie kolejne doliny, nabrał nieco ducha. Uczucie, że jest obserwowany, zelżało trochę. Nie słyszał więcej opętańczych skowytów.

Może to dlatego, że dzik dotrzymywał mu towarzystwa? Torak nie widział go, ale wciąż natykał się na ślady obecności zwierzęcia. Wielkie połacie rozoranej ziemi, gdzie dzik

rył w poszukiwaniu korzeni. Kałuża rozchłapanego błota obok solidnie otartego pnia dębu, gdzie zażywał kąpieli i drapał się zapamiętałe.

Torak czuł się dzięki niemu bezpieczniej. Miał nowego przyjaciela. Zastanawiał się, ile lat może mieć dzik i czy jest ojcem warchlaków, na które chłopiec natknął się poprzedniego dnia.

Było już popołudnie, a ich ścieżki wciąż się krzyżowały. Pili z tego samego potoku, odpoczywali na tej samej polanie. Raz nawet obaj szukali grzybów drzewnych, a dzik warknął ostrzegawczo na Toraka i pogonił za nim kawałek, po czym rozdeptał racicą grzyb, który chłopiec miał zamiar zjeść. Kiedy Torak wrócił, i przyjrzał się bliżej, zrozumiał dlaczego. Nie był to wcale drzewny grzyb, tylko trujący, bardzo przypominający z zewnątrz te, które rosną na drzewach, jednakże o czerwonym mięszu. Na swój gburowaty sposób dzik kazał mu bardziej uważać.

Następnego ranka ciągle jeszcze padało, Las drzemał pod przykryciem chmur. Lecz brnąc dalej na wschód, Torak zorientował się, że nie tylko z powodu chmur robiło się coraz ciemniej. Las stawał się coraz bardziej mroczny.

Torak przywykł do otwartego Lasu, w którym drzewa rosną w znacznej odległości od siebie i przepuszczają mnóstwo światła, podszycie zaś na ogół nie jest gęste. Teraz jednak dotarł już do pagórków wznoszących się na skraju Puszczy. Ogromne dęby rozstawiały przed nim potężne kończyny, nie chcąc, by szedł dalej. Podszycie było wyższe niż on: gęsto rosły cisy i trujące pędy pietrasznika. Niebo niknęło za nieprzejrzystym baldachimem z liści.

Przez cały dzień nie natknął się na ślady dzika i trochę mu go brakowało. Zaczynał się bać także i tego, co miał przed sobą, nie tylko tego, co za nim podążało.

Przypomniał sobie jedną z opowieści ojca. W Puszczy wszystko wygląda inaczej, Torak. Drzewa przypatrują się baczniej, a klany są bardziej podejrzliwe. Jeżeli kiedyś się tam znajdziesz, bądź ostrożny. Pamiętaj też że w lecie dolinami odciętych od świata przechadza się Duch Świata pod postacią wysokiego mężczyzny z rogami jelenia...

Późnym popołudniem, w strugach deszczu, Torak przystanął niedaleko strumienia, żeby odpocząć. Zawiesił swój ekwipunek na roslym ostrokrzewie i poszedł napęłnić bukłak.

W błocie zobaczył świeże ślady. Dzik był tu przed nim, i to niedawno: odciski były wyraźne, kształt tylnych części racic zaznaczony głębiej. Dobrze było wiedzieć, że jego przyjaciel znowu się pojawił. Kiedy ukląkł, by napęłnić bukłak, poczuł znajomy musztardowy zapach i uśmiechnął się.

–Zastanawiałem się właśnie, gdzie się podziewasz.

Po drugiej stronie strumienia paprocie się rozstąpiły – i wyszedł dzik.

Coś było z nim nie w porządku. Sztywna, brązowa sierść zwierzęcia ociekała potem. Ślepia były zamglone, zaczerwienione po brzegach. Torak upuścił bukłak i zaczął się cofać. Dzik wydał z siebie wściekły kwik.

I zaatakował.

Torak skoczył w stronę najbliższego drzewa, uciekając przed szarżującym dzikiem. Paniczny strach dodał mu sił. Chwycił gałąź, podciągnął się i rozhuścił nogi,

aż znalazły się poza zasięgiem zwierzęcia. Kły gruchnęły w pień w miejscu, gdzie przed chwilą była stopa chłopca.

Drzewo zadrżało. Torak wczepił się paznokciami w korę. Przełożył nogę przez gałąź i dźwignął się na rozgałęzienie konarów. Znajdował się zaledwie dwa kroki nad dzikiem, ale wyżej wspiąć się nie dało, drzewo było zbyt giętkie. Spadły mu buty, stopy ślizgały się od błota. Musiał się trzymać z całej siły, żeby nie spaść. Jedna z gałęzi pękła z trzaskiem. Dzik zadarł łeb i spojrzał na niego z wściekłością.

Brązowe oczy, dotąd tak spokojne i mądre, były teraz nabiegłe krwią i płonęły furją. Coś się musiało wydarzyć: dzik zmienił się w potwora. Torak ze zgrozą przypomniał sobie Oslaka.

–Jestem twoim przyjacielem – wyszeptał.

Dzik ryknął przeciągle i jak piorun pomknął w Las.

Przez jakiś czas nie wracał i w końcu Torak odetchnął z wysiłkiem. Wiedział jednak, że jest za wcześnie, by zejść na dół. Dziki to przebiegłe zwierzęta, wiedzą, jak się skutecznie zaczaić. Ten mógł być wszędzie.

Nogi miał odrętwiałe, a kiedy zmieniał pozycję, prawą łydkę przeszył silny ból. Spojrzał w dół i zauważył z przestrawieniem, że to nie z powodu błota się ślizgał, lecz krwi.

Dzik musiał ugodzić go kłębem w łydkę i jedynie szok wywołany atakiem sprawił, że chłopiec nic nie poczuł. W tej chwili jednak nie mógł nic na to poradzić.

Deszcz zelżał i pokazało się słońce. Wokół pięły się do nieba dęby i ostrokrzewy, a pod nimi jak okiem sięgnąć rozlewało się morze paproci, pokryte spienionymi falami tawułu. Było bardzo spokojnie.

W powietrzu unosił się musztardowy zapach dzika. Zwierzę mogło być pięć kroków od niego, a Torak i tak by się nie zorientował. Dopóki nie będzie za późno.

Na kępie łopianu pod drzewem usiadła pleszka, strząsając z siebie krople wilgoci. Nie zjawiałaby się chyba, gdyby dzik był w pobliżu.

Torak wyjął nóż i, przeprosiwszy pospiesznie ducha wierzby, odciął małą gałąź i upuścił ją, aby się upewnić.

Pleszka odleciała. Eksplodowały paprocie.

Torak przywarł do drzewa i patrzył, jak dzik rozdziera na strzępy gałązkę, którą przed chwilą rzucił, jak w jednej chwili zamienia ją kłębami i racicami w bezkształtną masę paździerzy. Spotkałoby go to samo, gdyby zszedł z drzewa.

Dzik odrzucił resztki patyka w paprocie, odwrócił się i opuścił łeb. A potem popędził prosto w stronę wierzby.

Potężny bark uderzył w pień jak kamień o ziemię. Wierzbowe listki posypały się deszczem. Torak rozpaczliwie trzymał się gałęzi.

Zwierzę zaatakowało ponownie.

I jeszcze raz.

I znowu.

Ku swemu przerażeniu Torak zorientował się, że dzik chce złamać drzewo.

Co więcej, był w stanie to zrobić – Torak zauważył ze zgrozą, że schronił się na nieodpowiednim drzewie. Zamiast wspiąć się na mocny dąb lub ostrokrzew, który

przetrwałby szarżę dzika, wybrał gibką wierzbę, o pniu niewiele grubszym niż on sam.

Och, bardzo sprytnie, Torak, zadrwił z siebie w duchu.

Kolejne uderzenie. Tym razem przy akompaniamencie głośnego trzasku. W korze na pniu poniżej pojawiła się rana. Chłopiec zobaczył różowo-brązowe drewno i połyskliwą krew drzewa...

Zrób coś. Prędko!

Być może zdoła dosięgnąć najbliższego dębu, jeśli uda mu się przesunąć po tej gałęzi...

Cofnął się gwałtownie. Nie próbuj nawet. Gałąź wygląda może na mocną, ale nie ma sposobu, by utrzymała twój ciężar. Drzewo, na którym utkwiał, było kruchą wierzbą, o niezwykle łamliwym drewnie. Wybrał nie tylko najmniejsze, ale i najsłabsze.

Raptem dzik zaprzestał ataków. Cisza przeraziła Toraka jeszcze bardziej niż jego szarżę.

Wiedział już, że czeka go walka na śmierć i życie – i że prawdopodobnie ją przegra. Jego toporek, łuk i strzały wisiały na ostrokrzewie, o dwa kroki za daleko, by po nie sięgnąć.

Nadzieja odpływała z jego serca jak woda wsiąkająca w piasek. Nie ma ucieczki. Czeką go śmierć.

Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co robi, przyłożył dłonie do ust i zawył. Wilku! Gdzie jesteś? Pomocy!

Wiatr nie przyniósł ze sobą żadnej odpowiedzi. Wilk był daleko, na Górze Ducha.

W dodatku ta część Lasu wyglądała na bezludną. Nikt nie usłyszy jego krzyków i nie przyjdzie na odsiecz.

Wycie sprawiło, że poczuł się bardziej bezbronny, choć zarazem w dziwny sposób dodało mu sił. Należysz do klanu Wilka, powiedział sobie. Nie możesz umrzeć jak tchórzliwa wiewiórka na drzewie.

Prędko, by nie zostawić miejsca wątpliwościom, odciął wierzbową gałąź nieco dłuższą niż własna ręka i ociosał ją z bocznych gałązek. Urzynał w poprzek jej koniec, po czym rozdzielił go, otrzymując sztywny, sprężysty widelec. Broń wisi dwa kroki od niego. Być może – być może – uda się tym rozwidlonym kijem zahaczyć o rzemień przy rękojeści toporka i przenieść go z ostrokrzewu na wierzbę.

Pod drzewem dzik śledził każdy jego ruch. Z poczerniałej od potu skóry buchała para.

Szczęśliwie się złożyło, że gałąź wierzby sięgająca w stronę ostrokrzewu była najmocniejsza. Torak wczółgał się na nią najdalej, jak mógł, i wyciągnął kij o rozwidlonym końcu.

Nie dość daleko.

Wrócił na rozwidlenie konarów. Zdjął pas z niewyprawionej skóry, okręcił go wokół pnia wierzby, zawiązał i chwycił luźny koniec. Teraz będzie się mógł wychylić nieco dalej.

Tym razem – tak! Zdołał zaczepić rozwidlonym końcem patyka o rzemień przy

rękojeści toporka i powoli unieść go z gałęzi ostrokrzewu.

Topór był ciężki. Kij Toraka zgiął się – i chłopiec mógł tylko bezradnie patrzeć, jak broń ześlizguje się i spada w błoto.

Dzik kwiknął, wsunął kły pod ostrze i cisnął toporek w paprocie.

Torak miał zbyt mało czasu, by sobie pozwolić na utratę resztek nadziei. Wciąż wychylony, sięgnął patykiem po łuk. Delikatnie, bardzo delikatnie zahaczył o cięciwę. Łuk był znacznie lżejszy – zaledwie jedna cisowa gałązka i cięciwa ze ścięgna. Bez trudu podniósł go z gałęzi. Kiedy zawiesił go sobie na ramieniu, odzyskał nieco pewności siebie.

–Widziałeś? – krzyknął do dzika. – Myślałeś, że mi się nie uda, co?

Teraz strzały. Nie wypuszczając pasa z dłoni, Torak sięgnął znowu. Udało się! Wypleciony z trawy kołczan również był lekki, lecz kiedy chłopiec przyciągał go do siebie, zachybotał się, i strzały poleciały w błoto. Gwałtownie pociągnął go w swoją stronę – w samą porę, by pochwycić ostatnie trzy.

Przez chwilę czuł absurdalne zadowolenie.

–Trzy strzały! – wrzasnął.

Trzy strzały. Żeby zabić dorosłego dzika. To będzie mniej więcej tak samo łatwe, jak powalić dorosłego łosia bukietem kwiatów.

Dzik parsknął i podjął przerwaną szarżę. Wierzbie nie zostało już wiele czasu.

Torak skulił się na roztrzęzionym drzewie i usiłował wymierzyć. Gałęzie tłukły o jego prawy łokieć – nie było sposobu, aby oddać pewny strzał.

Wypuścił strzałę. Trafiła w bark. Dzik ryknął, ale nie zaprzestał ataku. Strzała wyrządziła mu mniej więcej tyle szkody, co ugryzienie komara.

Torak zacisnął zęby i wypuścił kolejną. Ześlizgnęła się po grubej czaszce zwierzęcia.

Pomyśl, Torak. Mierząc w głowę czy w bark, nie wyrządzisz mu wiele szkody. Celuj za bark, a może uda ci się trafić w serce.

Rozległ się kolejny trzask – i wierzba zakołysała się rozpaczliwie. Jeszcze chwila i dzik go dopadnie.

Zwierzę odwróciło się do kolejnego ataku. Sekundę przed tym Torak dostrzegł jaśniejszy skrawek sierści za przednią nogą. Wymierzył – i puścił cięciwę.

Strzała wbiła się głęboko w ciało zwierzęcia. Dzik kwiknął – i runął na bok.

Cisza.

Torak słyszał tylko swój spazmatyczny oddech i szmer deszczu wśród paproci. Dzik leżał nieruchomo.

Chłopiec czekał, póki starczyło mu cierpliwości. Dzik wciąż leżał bez ruchu, więc w końcu opuścił się z drzewa na ziemię.

Stanął na zrytej polance, a wierzba konała za nim. Czuł się rozpaczliwie widoczny. Nie miał już strzał ani toporka, jedynie nóż.

Dzik musiał być martwy. Pokryte pianą boki nie poruszały się.

Ale Torak nie zamierzał ryzykować. Ścierwo leżało trzy kroki od niego. Musi się lepiej uzbroić, zanim do niego podejdzie.

Skradając się, podszedł do wierzby i zaczął szukać toporka wśród paproci.

Za jego plecami dzik dźwignął się chwiejnie na nogi.

Torak zaczął desperacko rozgarniać paprocie. Toporek musi gdzieś tu być...

Dzik rzucił się do ataku.

Chłopiec zobaczył topór – skoczył po niego – odwrócił się, i zatopił broń w masywnym karku. Dzik padł martwy.

Torak stał na trzęsących się nogach i oddychał ciężko, obiema rękami ściskając topór.

Deszcz płynął po policzkach chłopca jak łzy i kapał melancholijnie na liście. Torak poczuł, że robi mu się niedobrze. Po raz pierwszy w życiu zabił zwierzę, którego nie zamierzał zjeść. Po raz pierwszy zabił przyjaciela.

Wyszarpnął toporek, ukląkł i położył drżącą dłoń na gorącej, błyszczącej sierści.

–Wybacz mi, przyjacielu – odezwał się do dzika. – Musiałem to zrobić. Niech twoje dusze... odejdą w pokoju.

Szklane oko patrzyło na niego niewidząco. Dusze opuściły już dzika. Torak wyczuwał je w pobliżu. Bardzo blisko. Bardzo źle.

–Potraktuję cię z szacunkiem – powiedział, gładząc przesiąknięty potem bok. – Przynajmniej.

Jego ręka błądząca pośród gęstej szczeciny natrafiła na coś twardego.

Rozsunął włosie – i zaparło mu dech. Zobaczył dziwną strzałkę, tkwiła głęboko pomiędzy żebrami zwierzęcia.

Wydobył ją nożem i umył w strumyku. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widział. W kształcie podobna do liścia, złowieszczo najeżona kolcami, zrobiona z drewna utwardzonego ogniem.

W Lesie za jego plecami rozległ się śmiech. Chłopiec odwrócił się. Śmiech ucichł, rozplynął się wśród drzew.

Powoli docierało do niego znaczenie znaleziska. To z tego powodu dzik go zaatakował. Nie zmienił się w potwora. Został zraniony. Ktoś był tak okrutny i zły, że ugodziwszy go tą strzałką, nie podążył za nim, aby go dobić, jak nakazują święte prawa polowania, lecz pozwolił oszalałemu z bólu zwierzęciu uciec i atakować każdego, kto mu stanie na drodze.

A ponieważ Torak był jedynym stworzeniem w tej części Lasu, ten, kto ugodził dzika strzałką, musiał liczyć na to, że chłopiec będzie pierwszą ofiarą.

Torak zawiązał kawałek wątroby dzika w liście łopianu i nadział na rozdwojoną nakońcu gałąź dębu. – Dzięki niech będą opiekunowi klanu za to mięso – wymruczał, jak to robił wcześniej niezliczoną ilość razy.

Po raz pierwszy w życiu nie czuł wdzięczności. Mógł myśleć tylko o mądrym, starym dziku, wężącym w ściółce, dotrzymującym mu towarzystwa całą noc. O tłustych, puszystych warchlakach, które straciły ojca.

Pokuśtykał z powrotem do padłego zwierzęcia. Było ogromne. Z wielkim wysiłkiem zdołał je odwrócić, aby rozciąć brzuch i dostać się do wnętrza, lecz po tym zupełnie opadł z sił.

Jak dotąd największym upolowanym przezeń zwierzęciem był młody koziołek, a i tak oprawienie go zajęło Torakowi dwa wyczerpujące dni. Dzik był wielokrotnie

większy. Będzie przy nim roboty na pół miesiąca.

Nie miał tyle czasu. Musiał się dostać do Puszczy i zdobyć lekarstwo.

Ale nie było wyboru. Najstarsze ze wszystkich praw brzmiało, że jeśli zabiłeś, musisz potraktować upolowane zwierzę z szacunkiem i wykorzystać każdą jego część. Był to Pakt, który w zamierzonych czasach zawarły klany z Duchem Świata. Torak musiał się z niego wywiązać, gdyż inaczej naraziłby się na niewyobrażalne nieszczęścia.

Trzeba było zająć się też raną na łydce. Piekiła bardzo. Nawet deszcz nie był w stanie jej schłodzić.

Odnalazł przy strumieniu kępę mydlnicy. Roztarł kilka mokrych liści, uzyskując śliską papkę, którą umył nogę. Bolało tak bardzo, że oczy zaszyły mu łzami.

Teraz należało zszyć ranę. Wyciągnął kilka kościanych igieł z plecaka – który wciąż wisiał nietknięty na ostrokrzewie – i wybrał najcieńszą, oraz kawałek nici ze ścięgna jelenia. Nić, którą zrobił sam po upolowaniu koziołka, była gruba i gruzłowata. Kiedy zobaczyła ją

Venda, nie powiedziała ani słowa, tylko dała mu kłębek własnego wyrobu. Jej nić była cienka jak pajęczyna, a on dziękował kobiecie bez tchu.

Pierwsze nakłucie igłą było nie do zniesienia. Przeciągając nić pod skórą, zaczął jęczeć i musiał skakać w kółko na jednej nodze z igłą sterczącą z łydki, nim zdobył się na odwagę, by wbić ją ponownie. Kiedy wreszcie skończył, łzy płynęły mu strumieniami po twarzy.

Teraz opatrunek. Wykorzystał trochę przeżutej wierzbowej kory – tej miał przynajmniej pod dostatkiem – choć kiedy smarował nią ranę, piekiło nie do wytrzymania. Następnie przyłożył do łydki miękki środek huby i wszystko obwiązał brzoźowym łykiem, by się trzymało.

Gdy skończył, cały się trząsł. Rana wciąż bolała, ale nie tak bardzo, jak przedtem.

Odszukał swoje buty – zabłocone, ale nieuszkodzone – i wciągnął je na nogi. Na szczęście były to buty letnie, z podeszwą z niewyprawionej skóry i miękkie na górze, więc nie będą obcierać łydki. Upchnął resztę huby w plecaku. Przyda się na wymianę opatrunku za kilka dni.

Za kilka dni...

Wciąż będzie tutaj, uprawiając zabitego dzika. O ile Dręczyciel nie dopadnie go wcześniej.

Deszcz ustał. Strzaskana wierzba ociekała wodą, wilgoć połyskiwała na ciele martwego zwierzęcia. W pobliżu wylądowały dwa kruki, łypiąc z nadzieją oczyma. Torak odegnał je.

Czarne plamy zatańczyły mu przed oczyma i uświadomił sobie, że jest słaby z głodu. Oprawianie dzika będzie musiało poczekać. Musiał coś zjeść.

Skończył zapasy, które wziął ze sobą z obozu Kruków. Miał teraz tyle mięsa, że nie musiał się obawiać, iż mu go zabraknie. Choć nigdy nie miał mniejszej ochoty na mięso.

Pod baczny spojrzeniem ptaków wmusił w siebie resztę wątroby. Wypicie krwi przyszło z jeszcze większym trudem. Większość i tak wsiąkała w błoto – tego błędu

nie był już w stanie naprawić. Było to niezgodne z Paktem i mogło ściągnąć nieszczęście. Aby przebłagać Ducha, wyjął z plecaka kubek z brzoźowego drewna i zebrał resztę krwi, która pozostała w jamie ciała. Starał się nie myśleć o Oslaku, który wystrugał ten kubek pewnej długiej zimowej nocy; ani też o tym, że właśnie pije krew przyjaciela.

Aby stłumić przykry smak, schrupał kilka młodych łądyg łopianu. I dopiero wtedy zabrał się do oprawiania dzika.

Obdarcie zwierzęcia ze skóry było morderczym zadaniem. Kiedy skończył, był już niemal zmierzch, bolały go plecy, ręce miał osłabłe z wysiłku i cały się trząsał ze zmęczenia. Skóra zwierzęcia leżała ubłocona, śmierdząca i brudna. Nie zdążył jej umyć ani nawet nie zaczął zeskrobywać resztek mięsa i tłuszczu. A gdy się z tym upora, będzie musiał całymi dniami nacierać ją popiołem drzewnym i roztartym mózgiem, a także suszyć mięso i kroić kości na haczyki i grotty do strzał.

Nie wspomniawszy nawet o tym, że musi jeszcze zbudować szałas i rozpalić ogień, zanim się całkiem ściemni...

–Samo się nie robi – rozległo się za nim.

Torak podskoczył.

Nie widział nikogo. Paprocie wyrastały w tym miejscu na wysokość dorosłego mężczyzny, pomiędzy nimi był tylko mrok.– Kto tam? – zapytał.

Zrobił krok naprzód i zdał sobie sprawę, że zostawił całą broń przy zabitym zwierzęciu.

Zobaczył w paprociach twarz, wpatrującą się w niego natarczywie.

Twarz z liści.

Istota o liściastej twarzy nie była sama. Tuż obok pojawiła się jeszcze jedna. Potem kolejna. I jeszcze. Torak był otoczony.

W miarę jak kolejne tajemnicze postacie wyłaniały się z za drzew, Torak zdawał sobie sprawę, że chociaż ich twarze przypominają Dręczyciela, należą jednak do dorosłych kobiet i mężczyzn – u ich rąk nie zauważył szponów.

Mieli brązowe, długie włosy przeplecione nitkami włosia z ogonów leśnych koni. Brody mężczyzn były ubarwione na zielono, na podobieństwo mchu zwieszającego się ze świerkowych gałęzi. Na ustach wszystkich widać było ciemnozielone plamy, jednak

najbardziej niepokojące wrażenie robiły liście na twarzach. Torak zorientował się, że są to zielono-brązowe tatuaże: liście dębu u kobiet, ostrokrzewu u mężczyzn. To właśnie te tatuaże sprawiały, że spoglądając na nich, miało się nieznośne uczucie, jakby ci ludzie patrzyli spomiędzy drzew – nawet teraz, kiedy stali na otwartej przestrzeni.

Byli boso, ubrani w spodnie do kolan i bezrękawniki wyplatane z kory w sposób, z którym Torak nigdy się dotąd nie zetknął. Wszyscy mieli doskonałe, dobrze naoliwione łuki oraz strzały o grotach z zielonego łupka i brzechwach z piór dzięcioła. Wszyscy mierzyli do niego.

Torak pospiesznie przyłożył ręce do serca na znak przyjaźni.

Strzały nie opadły.

–Jesteście... z Puszczy? – zapytał chrapliwym głosem.

Zgadywał. Niemniej była pewna różnica pomiędzy tymi ludźmi a Dręczycielem.

Wyczuwał dzikość i niebezpieczeństwo – ale nie zło.

–A ty – przemówiła kobieta, która pierwsza odezwała się do niego – dotarłeś do granic Puszczy i musisz zawrócić.

–Myślałem, że Puszcza zaczyna się dalej na wschodzie...

–Byłeś w błędzie – ucięła kobieta głosem lodowatym jak leśny staw nocą.

Miała wydłużoną, nieufną twarz z osadzonymi zbyt blisko siebie oczyma i wyglądała na starszą od pozostałych. Torak zastanawiał się, czy jest Przywódczynią.

–Dotarłeś do Prawdziwego Lasu – powiedziała. – Nie wolno ci iść dalej.

Prawdziwy Las? Mimo wszystko Torak poczuł gniew. Co się porobiło z tym Lasem od czasu, kiedy był dzieckiem?

–Przychodzę jako przyjaciel – mówił, starając się nadać swemu głosowi przyjazny ton,

co nie za bardzo się udało. – Mam na imię Torak. Mam w Puszczy krewnych klanowych. Z

klanu Dębu i Płowego Jelenia, po matce. Do jakiego należycie klanu?

Kobieta wyprostowała się.

–Konia Leśnego – odrzekła wyniośle. – O czym doskonale byś wiedział, gdybyś mówił prawdę.

–Mówię prawdę – powiedział Torak.

–Udowodnij.

Twarz Toraka spłonęła rumieńcem. Chłopiec podszedł do plecaka i przyniósł róg na lekarstwa swojej matki. Róg zrobiony był z wydrążonej końcówki rogu jelenia, zaopatrzony w podstawę i korek z czarnego drewna dębowego. Fin-Kedinn polecił go trzymać w ukryciu, ale Torakowi nic innego nie przychodziło do głowy.

–Oto dowód – powiedział, podając im róg. Przywódczyni cofnęła się gwałtownie, jakby naraził ją na jakieś niebezpieczeństwo.

–Połóż to na ziemi! – krzyknęła. – Nie dotykamy obcych! Możesz być upiorem albo demonem!

–Przepraszam – powiedział pospiesznie Torak. – Kładę... kładę to tutaj.

Położył róg na ziemi, a kobieta podeszła, aby mu się przyjrzeć. Torakowi przyszło na myśl, że Konie Leśne mają o wiele więcej wspólnego ze swym zwierzęciem klanowym niż tylko końskie włosie w czuprynach.

–To róg wyrobu klanu Płowego Jelenia – oceniła kobieta.

Wśród pozostałych rozległ się szmer niedowierzania. Kobieta zbliżyła się do Toraka o krok i spojrzała mu w twarz.

–Jest w tobie coś z Prawdziwego Lasu, pomimo zła, które tu wyrządziłeś. Nie znamy twoich tatuaży klanowych. Nie przejdziesz.

–Co takiego? – zawołał Torak. – Ale ja muszę!

–Nie wejdiesz do Prawdziwego Lasu! – odezwał się jeden z mężczyzn. – Popatrz tylko, jak potraktowałeś dzika!

–A wierzbę? – włączył się kolejny. – Leży w błocie! Umiera i nic nie jest w stanie

uśmierzyć jej bólu!

–A jak niby uśmierzacie ból drzew? – zapytał Torak z oburzeniem.

Siedem par orzechowych oczu spojrzało na niego groźnie zza wytatuowanych liści.

–Potraktowałeś naszego brata i siostrę w bardzo zły, chory sposób – oznajmiła Przywódczyni. – Nie możesz temu zaprzeczyć.

Torak zerknął na strzaskane drzewo i umazane błotem ciało zwierzęcia.

–Weźcie ich – powiedział.

–Co takiego? – spytała kobieta, a jej oczy zwęziły się.

–Weźcie dzika i wierzbę – powtórzył Torak. – Jest was siedmioro, a ja jestem sam.

Zajmiecie się nimi lepiej niż ja. W ten sposób unikniemy złego losu.

Kobieta zawahała się, jakby spodziewała się, że to jakaś sztuczka. Potem odwróciła się do swoich ludzi. Ku zdziwieniu Toraka nie odezwała się, lecz wykonała szereg nieznacznych, subtelnych gestów dłonią.

Czterech mężczyzn natychmiast wystąpiło naprzód, wydobyło wąskie noże z zielonego łupka i zajęło się martwym zwierzęciem. Ze zdumiewającą prędkością, zwinnie poćwiartowali je, zapakowali skórę i wnętrzności w wyjęte z plecaków siatki z kory i zarzucili je sobie na ramiona.

–Wrócimy po naszą siostrę – powiedział jeden z nich, wskazując głową na wierzbę

i zerkając z pogardą na Toraka. – Złożymy ją na odpoczynek. – I już go nie było, rozpląnął się

w Lesie wraz z trójką swych towarzyszy.

Po dziku nie został żaden ślad, nie licząc kłów, które mężczyzna z klanu Konia Leśnego położył przed Tomkiem.

–Musisz je zatrzymać – powiedziała doń surowo kobieta – na znak wielkiego zła, które

wyrządziłeś zwierzęciu. Gdybyś pochodził z Prawdziwego Lasu, do końca życia musiałbyś je

nosić w ramach pokuty.

Torak zwrócił się do Przywódczyni.

–Wiem, że postąpiłem źle, ale nie chciałem tego.

–To nie ma znaczenia.

Chłopiec zaczerpnął tchu i spróbował jeszcze raz.– Przeszedłem tu, bo potrzebuję waszej pomocy. W Lesie panuje choroba...

–Wiemy o tym – przerwała mu Przywódczyni.

–Naprawdę? Czy tutaj też? Przywódczyni zadarła głowę.

–W Prawdziwym Lesie nie ma chorób. Dobrze strzeżemy naszych granic. Ale drzewa mówią nam wiele rzeczy. Opowiedziały nam o złu nękającym ich siostry na zachodzie. Szepczą o nim, od kiedy się zjawilo.

Torak zastanowił się nad jej słowami.

–Mówi się, że jeden z waszych Czarowników zna lekarstwo.

–Nie mamy żadnego lekarstwa – odpowiedziała. Torak zaniemówił.

–Wiem, że was rozgniewałem – zaczął ostrożnie. – Proszę o wybaczenie. Jeśli wasz klan nie ma lekarstwa, to może jakiś inny...

–Nie mamy lekarstwa – powtórzyła Przywódczyni z naciskiem. – W Puszczy nie znajdziesz żadnego leku! Ludzie z klanu Wydry za dużo gadają! Zachowują się zbyt lekkomyślnie, podobnie jak ich zwierzę klanowe!

–Naprawdę nie możecie mi pomóc? – spytał z niedowierzaniem Torak. – Ani wy, ani nikt z Puszczy? Umierają ludzie.

–Bardzo nad tym boleję – powiedziała Przywódczyni głosem, który nie świadczył ani trochę o współczuciu. – Ale nie zmienię prawdy. To, czego szukasz, znajduje się nad Morzem.

Torak wlepił w nią wzrok.

–Nad Morzem?

–Musisz iść na zachód. Tak mówią drzewa. Idź na zachód najdalej, jak się da. Tam znajdziesz to, czego szukasz.

–Dlaczego miałbym wam wierzyć? – spytał Torak.

–Próbujecie się tylko mnie pozbyć. Twarz kobiety stała się nieprzenikniona.

–Drzewa nigdy nie kłamią. Gdyby była w twych duszach choć odrobina Prawdziwego Lasu, wiedziałbyś o tym. Ale tak nie jest, bo inaczej nie wyrządziłbyś tego całego zła!

–Wcale nie chciałem zabijać tego dzika – powiedział Torak. – Musiałem to zrobić. Zaatakował mnie. Ktoś go zranił i tak zostawił.

Pozostałe Konie Leśne krzyknęły ze zgrozą.

–Cóż za niewyobrażalne zło! – zawołała Przywódczyni.

–Co masz na dowód swych słów? Jak to możliwe, że nic o tym nie wiemy, skoro nawet trzask pękającej gałązki nie może nam umknąć w Lesie?

Torak schylił się i podniósł strzałkę, którą wydobył z boku dzika. Przypomniawszy sobie, że Konie Leśne niechętnie dotykają obcych, położył ją przed kobietą na ziemi.

Ich reakcja zupełnie go zaskoczyła. Przywódczyni parsknęła, unosząc brunatnozielone wargi i odsłaniając olśniewająco białe zęby.

–Masz czelność nas oskarżać?

–Oczywiście, że nie! – zaprzeczył Torak. Dopiero teraz dostrzegł to, co wcześniej mu umknęło: wiązkę strzałek z ciemnego drewna – dokładnie takich, jak ta, którą znalazł w boku dzika – przytroczonych do pasa kobiety.

–Więc kogo? – zapytała gwałtownie Przywódczyni. – Inne klany Puszczy? Mów prędko, albo zginiesz.

–Nie wiem! – krzyknął Torak. – To znaczy, widziałem to, ale nie wiem, co to jest. Znalazłem po prostu tę strzałkę w boku dzika!

Ku jego uldze Konie Leśne opuściły łuki.

–Nazywam to Dręczycielem – powiedział. – Ma twarz taką jak wy... nie, nie, mam tylko na myśli, że jest wytatuowana jak wasze, w liście. Ale jest małe, jak dziecko,

ze szponami u rąk i nóg.

Przywódczyni cofnęła się. Jej zielone usta ściągnęły się, a twarz pod tatuażem

pobielala.

–Musisz natychmiast stąd odejść – wydyszała. – Jeżeli zrobisz choć jeden krok w stronę Puszczy, przysięgam na wszystkie drzewa, które dały mi życie, że nie pożyjesz dość

długo, by zrobić kolejny!

Torak spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich trwogę.

–Wiesz, o czym mówię, prawda? – powiedział. – Wiesz, czym jest Dręczyciel.

Przywódczyni nie odpowiedziała. Zrobiła kolejny znak dłonią do swoich ludzi, a oni odwrócili się i rozplynęli wśród drzew.

–Nie! – zawołał Torak, biegnąc za nimi. – Powiedz mi, co to jest! Przynajmniej to mi

powiedz!

Tuż obok jego twarzy zafurkotała strzala.

–Powiedzcie mi, co to jest! – wrzasnęła.

Sekundę przed zniknięciem Przywódczyni odwróciła się.

–Tokorog... – wyszeptała.

–Co to znaczy? – spytał Torak.

–Tokorog...

Zielona twarz znikła wśród liści. Jeszcze długo po jej zniknięciu słowo unosiło się w powietrzu jak zła wróżba. Tokorog...

T okorog? – spytała Renn, przyciskając obandażowaną dłoń do piersi. – Co to takiego? – Nie tutaj – syknęła Saeunn.

Bez słowa ruszyła przez obóz. Zgarbiona niczym stare, sterane burzami drzewo, poruszała się jednak z zadziwiającą chyżością, torując sobie drogę laską. Minęła ludzi pracujących przy wędzarni, Skalę Opiekuna i zagłębiła się w cień wąwozu. Nie oglądała się. Po prostu uznała, że Renn pójdzie za nią.

Dziewczyna zrobiła to, tłumiąc irytację. Ludzie obrzucali ją pełnym szacunku spojrzeniem, zupełnie jakby już była Czarownicą. Zdaje się, że było dla nich oczywiste, iż Renn jest uczennicą Saeunn. Dziewczyna nie mogła tego znieść.

Od uderzenia choroby upłynęły trzy dni, i zachorowały cztery następne osoby. Aby nie zrobiły krzywdy sobie czy innym, Fin-Kedinn musiał podjąć drastyczne działania: zamknął je w jaskini po drugiej stronie rzeki, rozkazując strzec ich dzień i noc.

Renn wyczuwała strach w powietrzu. Widziała go w oczach ludzi. Czy będę następny? Czy będziesz następna?

Bała się okropnie, że przez to ugryzienie na nią przyjdzie kolej. Musiała się komuś zwierzyć; chciała usłyszeć, że się myli. Ale Saeunn zabroniła jej o tym mówić.

W przeszłości jej zakaz nie powstrzymałby Renn, która przez całe życie sprzeciwiała się Saeunn i nie miała powodu, by usłuchać jej teraz. Tylko że wszyscy, którym zazwyczaj się zwierzała, zniknęli. Oslak nie żył. Venda wróciła do klanu Wierzby, w którym przyszła na świat. Torak zniknął.

Torak... Nie było go od dwóch dni i każda myśl o nim przepelniała ją wściekłością. Nie był jej przyjacielem. Przyjaciele nie odchodzą bez słowa, zostawiając po sobie

jedynie kamyk, pomalowany kamyk.

Polowała każdego dnia, aby rozładować emocje, a ponieważ była dobrym myśliwym, Fin-Kedinn pozwalał jej na to. Właśnie podczas polowania została ugryziona. W jakimś sensie więc również i temu winny był Torak.

Zdarzyło się to rankiem. Wstała o świcie i wyruszyła w zasnutą mgłą Las, do leszczynowej gęstwiny na południowym wschodzie doliny, gdzie wcześniej zastawiła kilka pułapek.

Kiedy dotarła na miejsce, uznała, że w okolicy nie ma żywego ducha. Zaraz potem usłyszała w głębi gęstwiny szelest liści.

Tak się złożyło, że wyleciała jej wówczas z pamięci jedna z pierwszych reguł polowania, które wpoił jej Fin-Kedinn, i wetknęła rękę w liście, nie przyjrawszy im się najpierw uważnie.

Ból był przeszywający. Jej krzyk wstrząsnął lasem i posłał w powietrze chmury turkawek.

Krzycząc, starała się wyrwać dłoń z morderczego uścisku – lecz cokolwiek ją ugryzło, mocno zacisnęło zęby. Nic nie widziała, gdyż liście były zbyt gęste, a ona bała się je odgarnąć. Wyjęła nóż, dźgnęła – i ze zgrozą cofnęła uzbrojoną dłoń. To nie żmija ją ugryzła. Ani łasica. To było dziecko. Przez mgnienie oka widziała błysk oczu pod sklejonymi od brudu włosami i ostre, brązowe zęby tkwiące głęboko w jej dłoni.

Podniosła nóż, by je odstraszyć. Stworzenie rzuciło jej spojrzenie pełne najczystszej nienawiści, puściło dłoń i zasyczało – zasyczało jak rozzłoszczony rosomak. Potem uciekło.

Chwilę później nadbiegli Thull i Fin-Kedinn z toporami w dłoniach.

Z powodów, których sama nie rozumiała, Renn nie opowiedziała im o zajściu, lecz schowała dłoń za plecami, starając się ukryć roztrzęsienie pod maską zakłopotania.

–Ależ ja jestem głupia, że najpierw nie popatrzyłam. Całe szczęście, że to tylko łasica.

Thull odetchnął z ulgą, zadowolony, że nie było to nic gorszego, i wrócił do obozu.

Fin-Kedinn obrzucił ją badawczym spojrzeniem, na które odpowiedziała milczeniem.

–Co to było? – spytała ponownie, kiedy Czarownica Kruków przystanęła po przejściu

dwudziestu kroków w głąb wąwozu. Renn rozejrzała się z niepokojem. Nie lubiła wąwozu i

zapuszczała się tutaj jedynie wtedy, kiedy naprawdę musiała.

Stały w głęboko ocienionym miejscu, choć był środek dnia. Wąwóz jak zawsze spowijał cień, majaczące po obu stronach ściany odsłaniały na górze tylko niewielki skrawek nieba. Szeroka Woda też nie przepadała za tym miejscem. Ze złością huczała pośród chaotycznie rozrzuconych głazów.

Renn zadrżała. W takim miejscu tokorog mógłby się do niej podkraść, a ona nawet by go nie usłyszała...

–Tokorog – mruknęła Saeunn, sprawiając, że dziewczyna podskoczyła.

–Ale co to znaczy?

Saeunn nie odpowiedziała. Kucnęła na twardej, czerwonej ziemi tuż przy krawędzi rzeki. Podniosła tunikę, odsłaniając kościste kolana. Była boso. Jej paznokcie u stóp były brązowe i zakrzywione.

Któregoś razu Torak powiedział Renn, że Saeunn przypomina mu kruka. „Bardzo starego kruka, który dawno stracił wszystkie uczucia”. Renn miała wrażenie, że Czarownica podobna jest bardziej do spieczonej ziemi: wyschniętej na wiór i bardzo, bardzo twardej. Ale jeśli idzie o uczucia, Torak się nie mylił. Renn znała Saeunn od urodzenia i nie pamiętała ani jednego jej uśmiechu.

–Dlaczego miałabym ci powiedzieć, czym jest tokorog? – zaskrzeczała chrapliwie Saeunn. – Chcesz wiedzieć, ale magii uczyć się nie chcesz.

–Bo magia mi się nie podoba – odpaliła Renn.

–Ale jesteś w niej dobra. Potrafisz przewidzieć to, co się dopiero ma zdarzyć.

–Jestem też dobra w polowaniu, ale ty...

–Zatracasz się w polowaniu – przerwała Saeunn – aby uciec przed swoim przeznaczeniem. Aby uciec przed życiem Czarownicy.

Renn odetchnęła głęboko i powściągnęła swą zapalczywość. Spieranie się z Saeunn przypominało próby przecinania krzemienia piórkiem. Co gorsza, w słowach kobiety mogło być nieco prawdy.

Postanowiła okazać cierpliwość, dopóki nie dowie się tego, czego chciała.

–Opowiedz mi o tokorogu – poprosiła.

–Tokorog – zaczęła Saeunn – jest dzieckiem, które rośnie w ciemności, by stać się siedliskiem demona.

Kiedy mówiła, mrok zgęstniał i zaczął siąpić deszcz, skrapiając czerwoną ziemię.

–Tokorog – ciągnęła – nie zna dobra ani zła. Nie wie, co słuszne, a co nie. Nie zna litości, gdyż nauczono go nienawidzić świata. Nie słucha nikogo oprócz swego twórcy.

Czarownica wpatrzyła się w czarną, pędzącą wodę.

–To jedna z najbardziej przerażających istot Lasu. Nie spodziewałam się usłyszeć

o

nim za życia.

Renn opuściła wzrok na zranioną dłoń. Rana bolała mocno pod opatrunkiem, który Saeunn wykonała z podbiału i pajęczyn.

–Mówiłaś o jego „twórcy”. Co to znaczy? Szponiasta dłoń Saeunn zacisnęła się na lasce.

–To ktoś, kto uprowadził dziecko. A potem przywołał demona i uwięził go w jego ciele.

Renn potrząsnęła głową.

–Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie słyszałam?

–Bardzo niewielu ludzi wie, czym jest tokorog – wyjaśniła Saeunn. – A jeszcze mniej o nim mówi. Poza tym – dodała z wymówką w głosie – ty nie chcesz nic wiedzieć o magii. Czy może zmieniłaś zdanie?

Renn zaczerwieniła się. – W jaki sposób powstaje tokorog? Ku jej zaskoczeniu kąciki bezwargich ust kobiety opadły odrobinę w grymasie uznania.

–Sięgasz do sedna rzeczy, to dobrze. Tak właśnie robi Czarownica.

Renn nie odezwała się.

Saeunn narysowała na ziemi znak, którego dziewczyna nie mogła widzieć.–

Mroczna sztuka, dzięki której powstaje tokorog – podjęła – odeszła w zapomnienie dawno temu. A przynajmniej tak nam się zdawało. Wygląda na to, że ktoś ją ożywił. – Podniosła dłoń, odsłaniając trójzęb Pożeraczy Dusz, który narysowała na ziemi.

Renn spodziewała się trochę, co zobaczy, jednakże zaskoczyło ją to, że jej podejrzenia się potwierdziły.

–Ale w jaki sposób powstaje? – spytała. Jej głos był ledwie słyszalny wśród ryku Szerokiej Wody.

Saeunn oparła brodę na kolanach i wpatrzyła się w rzekę. Renn podążyła za jej spojrzeniem – w dół, w dół, aż do ciemnego dna.

–Najpierw porywa się dziecko – powiedziała Czarownica. – Znika ono na przykład, kiedy pilnujący je krewny odwróci się na chwilę. Szukają go później, myślą, że odeszło

kawałek i zabłądziło w lesie. A potem chodzą w żałobie, uznawszy, że zaginęło na dobre albo

że zjadł je ryś lub niedźwiedź.

Renn pokiwała głową. Znała ludzi, którzy stracili w ten sposób dzieci – każdy znał kogoś takiego – i zawsze było jej ich żal. Sama straciła kogoś bliskiego. Przez pięć miesięcy nie było wiadomo, gdzie jest jej ojciec, póki nie odnaleziono ciała. Miała wtedy siedem lat. Dobrze pamiętała, jakie okropne cierpienie sprawiała jej ta niepewność.

–Byłoby lepiej dla dziecka – powiedziała posępnie Saeunn – gdyby faktycznie porwał

je niedźwiedź lub ryś. Lepiej, niż gdyby miało się zmienić w tokoroga.

Renn zmarszczyła brwi.

–Dlaczego? Tak przynajmniej żyje.

–Żyje?! – Koścista dłoń znowu się zacisnęła. – Całymi miesiącami w ciemności? Żadnego ciepła, tylko to, co niezbędne, aby utrzymać dziecko przy życiu? Żadnego jedzenia oprócz gnijącego mięsa nietoperzy, które musi wygrzebywać z własnych nieczystości? I co najgorsze, żadnych ludzi. Dopóki nie zapomni dotyku matczynej dłoni, nie zapomni własnego imienia.

Renn poczuła, jak dreszcz zła przenika ją do szpiku kości.

–A potem – ciągnęła Saeunn – kiedy nie zostaje z niego nic prócz pustej skorupy, dopiero wtedy twórca wzywa demona i umieszcza go w ciele nosiciela.

–Masz na myśli... dziecko – mruknęła Renn. – To przecież wciąż jest dziecko.

–To jest nosiciel, siedlisko demona – powiedziała Saeunn bezbarwnym głosem. – Dusze dziecka zostają uwięzione na zawsze.

–Ale...

–Dlaczego wciąż temu przeczysz? – spytała Saeunn.

–Bo to ciągle jest dziecko. Może dałoby się jeszcze je uratować...

–Głupia! Nigdy nie pozwól, by dobroć zmałała ci umysł! A teraz powiedz, czym jest demon? Szybko! Mów!

Przyszedł czas na sprzeciw.

–Každy to wie. Dlaczego mam ci to teraz mówić?

–Nie spieraj się ze mną, dziewczyno. Rób, co mówię! Renn wyrzuciła z siebie potok słów.– Demon zaczyna istnieć, kiedy jakaś istota umiera, a jej dusze się rozpraszają i ginie dusza klanu. Mając tylko duszę imienia i duszę świata, nie żywi żadnych uczuć klanowych, więc nie zna dobra i zła. Nienawidzi wszystkiego, co żyje... – Urwała, przypomniawszy sobie

tę chwilę zeszłej jesieni, kiedy sama zajrzała w oczy demona i zobaczyła tylko gorejącą, nieskończoną nienawiść. – Istnieje tylko po to, by niszczyć wszystko, co żywe – zająknęła się. – Tylko po to, by niszczyć.

Czarownica uderzyła laską o ziemię i zakrakała, co niemal przypominało śmiech.

–Dobrze! Dobrze! – Zbliżyła twarz do Renn, która mogła teraz widzieć żyłkę pulsującą na skroni kobiety. – Właśnie opisałaś, czym jest tokorog. Może i wygląda jak

dziecko, ale nie daj się zwieść! To tylko ciało. Demon zwyciężył. Dusze dziecka zostały

pogrzebane zbyt głęboko i nigdy nie zdołają uciec.

Renn chwyciła się za ramiona.

–Jak ktoś mógłby zrobić dziecku coś takiego? Saeunn wzruszyła ramionami, jak gdyby istnienie zła było tak oczywiste, że nie wymagało komentarza.

–A po co jest ten tokorog? – spytała Renn. – Po co ktoś chciałby stworzyć coś takiego?

–Żeby spełniał jego wolę. Wślizgiwał się do szalasów. Kradł. Okaleczał. Przerazał. Jak ci się zdaje, dlaczego Fin-Kedinn wystawia straż każdej nocy?

Renn sapnęła z wrażenia.

–Twierdzisz... że on o nim wie?

–Od kiedy zjawiała się choroba. Nie wie tylko, dlaczego. Renn zastanowiła się przez chwilę.

–A więc... a więc sądzicie, że tokorog odpowiada za chorobę?

–Tokorog spełnia wolę swoich twórców.

–Pożeraczy Dusz. Saeunn skinęła głową.

–Tokorog wywołuje chorobę na rozkaz swych panów, w sposób, którego nie rozumiemy.

Renn ponownie umilkła. Odezwała się dopiero po chwili.

–Wydaje mi się, że Torak go widział. Próbował mnie ostrzec, zanim odszedł. Tylko... tylko że on nie wiedział, co to jest. – Raptem uderzyła ją nowa myśl. – Może być więcej niż jeden?

–Och, myślę, że na pewno jest ich więcej.

Renn wzbraniała się, żeby przyjąć to do wiadomości.

–Czyli jeden może być tutaj, a drugi podążać za nim? Saeunn rozłożyła ręce. W

jednej chwili Las wydał się dziewczynie pełen grozy.

–Tylko dlaczego one wywołują chorobę? Czego chcą?

–Nie wiem – odparła Saeunn.

Jej ostatnie słowa wystraszyły Renn bardziej niż wszystko inne. Saeunn była Czarownicą. Powinna wiedzieć.

Dziewczyna drżała, wpatrując się w huczącą wodę. Myślała o Toraku, który zdąża na wschód – tropiony przez coś gorszego, niż potrafi sobie nawet wyobrazić...- Nie możesz iść za nim, żeby go ostrzec – odezwała się Saeunn surowo. – Jest za późno. Nie zdołałabyś go odnaleźć.

–Wiem – odpowiedziała Renn, nie odwracając głowy.

Ale i tak muszę spróbować, dodała w duchu.

Wilk nie mógł znaleźć Wysokiego Bezogona, ale nie zamierzał rezygnować. Razwyczuł jego zapach wśród drzewek bukowych, gdzie jego brat ze stada urządził sobie Legowisko, ale zaraz znowu stracił trop. Zapach Bezogona mieszał się z wonią dzika, a także ze smrodem zła, które nawiedziło Las – i jeszcze jednym, zatrważającym zapachem: zapachem demona. Wilk nauczył się rozpoznawać ten zapach, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Wspomnienie było okropne.

Znowu szukał, ale na próżno. A strach wciąż chwycił go za tylne łapy. Grzmiący był zły, że Wilk opuścił jego Górę. Wilk czuł to w swoim futrze, w mrowieniu poduszczonek łap. Grzmiący wyruszył za nim w pościg. Wkrótce zaatakuje.

W Górze zrobiło się bardzo ciemno, oddech Grzmiącego miotał gałęziami drzew.

Dźwięki stały się głośniejsze, zapachy bardziej wyraźne, jak to się zawsze dzieje, gdy Grzmiący zaczyna warczeć.

W końcu Wilk trafił z powrotem na trop brata ze stada. Z radości chciało mu się wyć. Pełen nowej nadziei, biegł dalej, a zwierzyna pędziła wraz z nim, uciekając przed Grzmiącym i czując, że Wilk na nią nie poluje. Bóbr ześlizgnął się z brzegu do wody i popłynął do swojej nory. Łania płowego jelenia wraz z młodym schroniła się w gęstwinie.

Niespodziewanie Grzmiący dał upust swej furii. Wilgoć wybuchła nad lasem, rozgniatając paprocie o ziemię i zginając drzewa jak źdźbła trawy. Ogluszający huk – i z góry spłynęła Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco, omijając Wilka o jeden skok i zamiast w niego, uderzając w sosnę. Drzewo krzyknęło. Jasna-Bestia połknęła je w całości. Wilk odskoczył, a jedno ze szceniąt Jasnej-Bestii upadło na ziemię tuż przed nim i ugryzło go w przednią łapę. Podskoczył wysoko, zaskomlił – i pomknął przed siebie, unosząc w nozdrzach smród konającego drzewa.

Bał się jak szczeniaki. Tęsknił do matki wilczycy. Tęsknił do Wysokiego Bezogona. Był sam i bardzo, bardzo się bał.

Renn była sama w Lesie i zaczynała się bać. Wymknęła się z obozowiska dwa dni wcześniej i nadal nie znalazła Toraka. Dwukrotnie uderzył ją w uszy opętańczy, odbijający się echem pośród drzew skowyt, a raz coś gwałtownie zaszleściło w paprociach. W każdej kępie trawy, każdym drzewie zdawał «ię kryć tokorog.

Teraz zbierało się na burzę. Duch Świata wpadł w gniew.

Pomiędzy gałęziami Renn widziała skrawek nieba pokrytego ciężką warstwą

wilczoszarych chmur. Dobiegł ją huk grzmotu. Znajdowała się w zasięgu burzy. Musiała znaleźć kryjówkę.

Po wschodniej stronie doliny, którą wędrowała, wznosiły się ostre występy skalne. Dostrzegła wśród nich kilka obiecujących kropek czerni, które mogły się okazać jaskiniami. Pobiegnęła w ich stronę, chwytając po drodze drewno na ognisko.

Burza rozpętała się z zatrważającą gwałtownością. Duch Świata uderzył w chmury, rozdarł je, wypuścił z nich deszcz i zasypał Las gradem oślepiających błyskawic. Renn zobaczyła, jak w oddali drzewo staje w płomieniach. Będzie następna, jeśli nie zachowa ostrożności.

W końcu znalazła jaskinię – ale nie weszła do środka, mimo że zdążyła już przemoknąć do suchej nitki. Jaskinia mogła okazać się schronieniem albo śmiertelną pułapką. Renn rozejrzała się najpierw za śladami obecności niedźwiedzia lub dzika oraz sprawdziła, czy sklepienie jest wystarczająco wysoko, gdyż inaczej błyskawica mogłaby przecisnąć się przez pęknięcie w skale i w nią trafić. Gdy tylko była pewna, że jest bezpieczna, zanurkowała do wnętrza.

Trzęsła się z zimna i bardzo chciała rozpalić ognisko, ale najpierw zajęła się swoim łukiem. Wyjęła go z kawałka skóry łososa i powiesiła na korzeniu drzewa sterczącym ze ściany jaskini. Następnie rozłożyła strzały do wyschnięcia, by się nie powyginały. Dopiero wtedy rozpałała ogień.

W Lesie na zewnątrz szalała burza. Renn zastanawiała się, gdzie się podziewa Torak. Czy znalazł schronienie?

Nie było łatwo iść jego tropem z obozu Kruków, często musiała zgadywać, którędy poszedł. Uznała, że będzie trzymał się z dala od utartych ścieżek klanowych, co wciąż pozostawiało szereg możliwości. Niedźwiedzie oraz inni myśliwi mają w zwyczaju trzymać się blisko rzek, gdzie zwierzęta przychodzą do wodopoju. Oznaczało to, że na ścieżki łosi i jeleni będzie się można natknąć nieco wyżej na zboczach. Renn przypuszczała, że po wydarzeniach ostatniej jesieni Torak będzie się starał unikać niedźwiedzi, a więc prawdopodobnie wybierze ścieżki zwierzyny.

Okazało się, że się nie – myliła, gdyż wkrótce trafiła na jego szalę. Doznała jednak szoku, widząc, że leży w kawałkach, przygnieciony zwałonym jesionem. Ku swej ogromnej uldze wewnątrz nie znalazła ciała; szybko też odkryła resztki drugiego szalęsu niedaleko pierwszego. Była pewna, że zbudował go Torak, gdyż chłopiec układał zawsze drewno na ognisko w kształt gwiazdy, czego Kruki nie miały w zwyczaju.

Następnego ranka ponownie zgubiła trop. Ślady stóp Toraka zostały zatarte przez dzika.

Zraniona dłoń bolała. Renn przysunęła się bliżej ognia, przypominając sobie ostre brązowe zęby tokoroga i słysząc niemal jego złowieszczy syk...

–Czas coś zjeść – powiedziała, aby odegnać myśli.

W plecaku miała suszone mięso łosia, wędzonego łososa i łososiowe ciastka – choć przez pomyłkę nie zabrała świeżych. Postanowiła dla psoty splądrować osobiste zapasy Saeunn, zabierając zgrabną paczuszkę ciastek owiniętych w ususzony żołądek tura.

Wyjęła jedno, odłamała kawałek dla opiekuna klanu i zjadła resztę. Ciastka zrobiono po zeszłorocznych połowach, ale wciąż były dobre. Klan stanął jej żywo przed oczyma.

Obok Renn leżał kołczan wpleciony z wikliny. Roboty koszykarskiej nauczył ją Oslak. Na dwóch palcach lewej ręki nosiła skórzane ochraniacze uszyte przez Vende. Na prawym przedramieniu tkwił ochraniacz nadgarstkowy z wypolerowanego zielonego łupka. Zrobił go dla niej Fin-Kedinn, kiedy uczył ją strzelać z łuku. Rzadko go zdejmowała i jej brat często wyśmiewał się z niej z tego powodu. Jej brat... zginął zeszłej zimy. Nie mogła myśleć o nim bez bólu.

Aby się rozweselić, wyjęła mały gwizdek z kości głuszca, który dostała od Toraka poprzedniej jesieni. Gwizdek nie wydawał dźwięków słyszalnych dla jej ucha, ale zawsze nosiła go przy sobie. Wilk słyszał go doskonale – raz przywołała go tym sposobem i uratował jej życie.

Nabrała powietrza do płuc i dmuchnęła w gwizdek.

Nic się nie stało.

Nie oczekiwała rzecz jasna, że będzie inaczej. Wilk był daleko, na Górze Ducha.

Poczuła się bardzo samotna. Rozwinęła śpiwór i skuliła się w nim przy ognisku.

Obudziła się z nieznośnym uczuciem, że nie jest sama. Burza minęła, lecz deszcz wciąż zalewał strugami Las, bulgocząc w ukrytych szczelinach ścian jaskini. Ognisko ledwie się żarzyło i dymiło mocno. A za nim – w mroku przy wejściu do jaskini – coś jej się przypatrywało.

Usiadła i po omacku odszukała toporek.

Istota przy wejściu była bardzo duża: większa niż tokorog. Ryś? Niedźwiedź?

Gdyby to był niedźwiedź, usłyszałyby jego oddech. Poza tym nie czekałby na zewnątrz.

Ta myśl jakoś jej nie uspokoiła.

–Kto tam? – spytała.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała, że stworzenie wchodzi do środka. Czymkolwiek było, poruszało się ciszej niż oddech.

Spojrzały na nią błyszczące oczy.

Krzyknęła.

Zwierzę cofnęło się, a po chwili ponownie zbliżyło do ogniska.

Renn z trudem złapała oddech.

To był wilk. Duży. Jego gęste, szare futro było ciężkie od wody. Opuścił głowę, by pochwycić w nozdrza jej zapach. Nie wyglądał groźnie i nie bał się. Był... ostrożny.

Renn dostrzegła pas czarnego futra na karku zwierzęcia. Zwierzęcia, które miało wielkie, bursztynowe oczy.

Te oczy...

Niemożliwe!

Delikatnie odłożyła toporek.

–Wilku... To ty?

Wilku? – powtórzyła Renn. Wilk trzymał ogon w dole, machał nim lekko. Uszy sterczały mu do przodu. Przypatrywał jej się z napięciem, nie patrząc w oczy – i

drżał, choć nie wiedziała, czy z zimna, strachu, czy radości. Skoczyła na równe nogi.

–Wilku! To ja, Renn. Och, Wilku, to ty, prawda?

Wilk cofnął się, widząc jej gwałtowne zachowanie, powarkując i skomlać, jakby go uraziła.

Nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób Torak mówił „cześć!” w wilczej mowie, więc opadła na czworaka i usiłowała spojrzeć wilkowi w oczy.

Najwyraźniej znów zrobiła coś nie tak. Wilk odwrócił łeb i cofnął się jeszcze bardziej.

Ale czy to naprawdę był on? Zapamiętała go jako szczenię – tak bardzo urósł od tamtego czasu! Od nosa do ogona był niemal tak długi jak ona wysoka; a gdyby stanęli obok siebie, sięgałby jej do pasa.

Kiedy był mały, miał puszyste i jasne futerko, przetykane ciemniejszymi pasemkami na karku. Teraz jego futro było bardzo gęste, miało szarą barwę z subtelnie zaznaczonymi odcieniami czerni, bieli, srebra i koloru rudego jak u lisa. Jednakże czarny kołnierz nie zniknął, a oczy wilka wciąż miały ów niezwykły, bursztynowy odcień.

Nad jaskinią przetoczył się grzmot.

Renn skuliła się.

Wilk zaskomlił i pomknął w głąb jaskini. Położył uszy po sobie, trzęsąc się gwałtownie.

Kimkolwiek jest, pomyślała Renn, nie jest jeszcze dorosły, pomimo że tak wygląda. W środku to jeszcze szczeniak.

–Wszystko w porządku. Tutaj jesteś bezpieczny – powiedziała łagodnie.

Uszy wilka uniosły się lekko.

–Czy to naprawdę ty, Wilku? Przekrzywił łeb na bok.

Renn wpadła na pewien pomysł. Wytrząsnęła z torby na dłoń garść suszonych borówek brusznicy. Kiedy Wilk był mały, uwielbiał borówki.

Wilk zbliżał się pomału do jej wyciągniętej dłoni, jego czarny nos drgnął. Po chwili delikatnie wciągnął owoce do pyska.

–Och, Wilku! – krzyknęła Renn. – To ty!

Jak strzała pomknął z powrotem w cień. Wystraszyła go.

Wytrząsnęła nieco więcej owoców na dłoń i starała się go zachęcić, wydając uspokajające dźwięki. Wreszcie podszedł i zjadł, skubiąc przy okazji ochraniacze na palcach Renn. Aby odwrócić jego uwagę, położyła na ziemi łososiowe ciastko. Wilk pacnął je łapą w sposób, który pamiętała – i połknął, nie trudziwszy się nawet gryzieniem.

Cztery kolejne ciastka zniknęły w ten sam sposób i Renn była już pewna. Wilk, którego знаła, uwielbiał łososiowe ciastka.

Zbliżyła się do niego na czworaka.

–To ja – powiedziała, wyciągając dłoń i drapiąc go w jasnym miejscu pod brodą.

Wilk skoczył w górę i popędził do wejścia do jaskini, a tam zaczął biegać w kółko, popiskując. Zrobiła coś nie tak. Znowu.

Zniechęcona wróciła do ogniska i usiadła.

–Czemu tu jesteś, Wilku? – spytała, choć wiedziała, że jej nie zrozumie. – Też szukasz

Toraka?

Wilk zlizął okruchy ciastka z wąsów i potruchtał do tylnej ściany jaskini, gdzie położył się z pyskiem między łapami.

Grzmoty na zewnątrz dobiegały z coraz większej odległości, z północy. Duch Świata wracał na swoją Górę. Jaskinia wypełniła się bulgotem deszczu i intensywnym zapachem mokrego wilka.

Renn chciała powiedzieć Wilkowi, jak bardzo się cieszy, że go widzi i zapytać, czy znalazł Toraka, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Nigdy nie przyglądała się uważnie, kiedy Torak używał wilczej mowy. Niepokoiło ją to – wydawało jej się w takich chwilach, że tak naprawdę go nie zna. Teraz starała się odszukać jakąś wskazówkę w pamięci.

Wilki, powiedział jej raz Torak, nie rozmawiają tylko głosem, tak jak my, ale również łapami i ogonami, uszami i futrem, i – uhm – całym ciałem.

Ale ty nie masz ogona, wytknęła mu wtedy Renn. Ani futra. I nie potrafisz ruszać uszami. Więc jak ci się to udaje?

Opuszczam to i owo. To niełatwe, ale jakoś dochodzimy do porozumienia. Jeśli nawet Torak miał z tym trudności, jak ona miała sobie poradzić? Jak Wilk może jej pomóc odnaleźć Toraka, skoro nawet nie mogą ze sobą porozmawiać?

Wilk nie do końca zrozumiał samicę bezogona. Skomlała i popiskiwała w sposób, który pozwolił się zorientować, że jest nastawiona przyjaźnie, ale prócz tego mówiła wszystko na raz i w pomieszaniu: raz mu groziła, raz przepraszała, innym razem była po prostu niepewna. Najpierw najwyraźniej ucieszyła się, że go widzi, choć Wilk wyczuł także wiele nieufności. Potem wpatrywała się w niego niegrzecznie i jeszcze pogorszyła sprawę, stając na tylnych łapach. Potem z kolei starała się go przeprosić. Następnie poczęstowała go borówkami i dała mu kilka płaskich, pozbawionych oczu ryb, które pachną jałowcem. Potem znów przeprosiła, drapiąc go pod brodą. Wilk był tak zdezorientowany, że musiał biegać w kółko.

Teraz Mrok dobiegł końca i Wilk nudził się, nie mogąc się doczekać, aż ona wreszcie wstanie. W końcu skoczył na nią, zapraszając do zabawy.

Odepchnęła go, mówiąc w mowie bezogonów coś, co brzmiało jak: „Dejdź! Dejdź!” Wilk przypomniał sobie, że tak samo robił Wysoki Bezogon. Było to, zdaje się, warknięcie.

Pozostawił więc samicę bezogona w spokoju, by obudziła się i wyszła na Światło, sam zaś wyruszył na obchód Legowiska. Wkrótce kopał z zapalem jamę, ciesząc się siłą swych łap i dotykiem ziemi na miękkich poduszkach.

Usłyszał, jak podziemnym tunelem ucieka mysz. Przydeptał i chwycił stworzonko w szczęki, po czym podrzucił i schrupał. Zjadł również kilka żuków i gąsienicę. Gdy skończył, potruchtał na poszukiwanie samicy.

Gorące Jasne Oko świeciło już w Górze i Wilk wyczuł, że Grzmiący się oddalił. Poczuł ogromną ulgę i rzucił się pędem przez paprocie, uradowany wilgocią, którą strząsał na swoje futro. Usłyszał, jak gdzieś świeżo opierzona sroka bada swoje

gniazdo, w sąsiedniej dolinie koń leśny ocierał się brzuchem o zwalony świerk. Od Prędkiej Wilgoci dobiegł go zapach samicy. Odnalazł ją. Stała na brzegu z Długim Latającym Szponem w przednich łapach i mierzyła do kaczek.

Straszenie kaczek było jedną z ulubionych zabaw Wilka. Właśnie w ten sposób nauczył się pływać: wskoczył któregoś razu do wody, która wyglądała jak płytka, pokryta liśćmi Wilgoć, i zapadł się w nią cały. Miał straszną ochotę, żeby teraz zanurzyć się w

Wilgoci i patrzeć, jak kaczki wzbijają się w popłochu w Górę. Tak dla zabawy, gdyż nie chciał na nie polować.

Najpierw jednakże trzeba zapytać o to samicę.

Czekał bardzo grzecznie na odpowiedź, poruszając uszami pytał, czy poluje na kaczki.

Nie zwróciła na niego uwagi.

Wilk poczekał jeszcze trochę, pamiętając, że bezogony mają tak słaby węch i słuch, że można stać tuż przed nimi, a i tak niczego nie zauważą.

W końcu uznał, że wszystko jest w porządku, i zaczął się skradać przez paprocie w stronę miejsca, w którym taplały się niczego nieświadome kaczki.

Jak strzała pomknął w ich kierunku. Kaczki wystrzeły w niebo wśród satysfakcjonujących krzyków oburzenia.

Ku zdumieniu Wilka samica warknęła na niego ze złością, wymachując Długim Latającym Szponem. Wilk podreptał na bok, obrażony. Mogła mu powiedzieć, że poluje. Pytał przecież.

Nie obraził się jednak na długo. Biegając na obchód okolicy, zdał sobie w jakiś dziwny sposób sprawę, że będzie potrzebował samicy, by odnaleźć Wysokiego Bezogona.

Wilk nie rozumiał, skąd to wie; była to ta sama pewność, która niekiedy do niego przychodziła. Tym razem coś mu mówiło, że powinien się trzymać blisko samicy.

Gorące Jasne Oko było już wysoko w Górze, kiedy ruszyli w końcu jelenią ścieżką na poszukiwanie Wysokiego Bezogona. Ponieważ samica była przewodniczką, Wilk trzymał się nieco z tyłu – co było niemałym wysiłkiem, zważywszy, że poruszała się wolno jak nowo narodzone szczenię.

Po jakimś czasie zatrzymali się przy niewielkiej Wilgoci i samica podzieliła się z nim kilkoma jałowcowymi rybami. Lecz kiedy Wilk polizał ją po pysku i zaskomlił o jeszcze, roześmiała się i odepchnęła go.

Wciąż się zastanawiał, czemu się roześmiała, gdy nagle zmienił się wiatr i nowy zapach z całą siłą uderzył go w nozdrza.

Zatrzymał się. Podniósł pysk i solidnie zaciągnął się wonią. Tak! Najwspanialszy zapach w Lesie! Zapach Wysokiego Bezogona!

Wilk zawrócił i ruszył nowym tropem aż do sosny, na której kilka Świateł temu Wysoki Bezogon oparł swą przednią łapę. Wilk podniósł łeb i węszył, chcąc się przekonać, dokąd wiedzie trop.

Tam! Idą w niewłaściwym kierunku! Wysoki Bezogon nie wszedł w gęsty, ciemny Las – zawrócił w tym miejscu i ruszył tam, gdzie Gorące Jasne Oko kładzie się spać!

Samica zdążyła już zniknąć Wilkowi z oczu, słyszał jednakże, jak przedziera się przez paprocie – w niewłaściwym kierunku.

Szczeknął na nią. Nie tam! Wracaj! Wracaj! Wracaj!

Nie mógł wprost ustać w miejscu, chciał od razu podążyć za swym bratem ze stada, choć czuł przez futro, że Wysoki Bezogon jest wiele skoków od niego. Ale samica wciąż nie chciała go zrozumieć.

Zawiedziony Wilk pobiegł, popiskując, by ją przywołać.

Spojrzała na niego.

Skoczył, zwalając ją z nóg, oparł łapy na jej piersi i zaszczekał.

Przestraszyła się. I chyba trudno jej było oddychać. Więc ją puścił.

A potem odwrócił się na jednej łapie i popędził szukać Wysokiego Bezogona.

Renn wstała i otrzepała się, z trudem łapiąc oddech. Las wydał się przerażająco pusty po zniknięciu Wilka, ale była zbyt dumna, by go przywołać gwizdkiem z kości głuszca. Zostawił ją. Taka była prawda.

W przygnębieniu doszła do miejsca, w którym ścieżki rozchodziły się w różne strony, i tu stanęła. Zaczęła rozglądać się za jakimś znakiem, który powiedziałby jej, w którą stronę poszedł Torak. Nic. Tylko gęstwa ostrokrzewów i paprocie ociekające wodą.

Wilk był bardzo podniecony. I pobiegł na zachód... Na zachód? Dlaczego Torak miałby zawrócić u progu Puszczy i ruszyć w stronę Morza?

Niespodziewanie na ścieżce przed nią pojawił się Wilk.

Poczuła wielką radość – ale stłumiła okrzyk powitania. Wcześniej zrobiła sporo błędów. Nie miała zamiaru ich powtarzać.

Usiadła na piętach i cichym głosem oznajmiła mu, jak bardzo się cieszy, że go widzi: odwróciła wzrok i tylko chwilami zerknęła w wielkie, bursztynowe oczy.

Wilk przydreptał do niej, wymachując ogonem. Szturchnął ją nosem w policzek i skubnął ją pieśczośliwie, a następnie polizał.

Delikatnie podrapała go za uszami, a on polizał ją w rękę, tym razem powstrzymując się od szarpania ochraniaczy na palcach.

A potem odwrócił się i ruszył na zachód.

–Na zachód? – zapytała. – Jesteś pewien?

Wilk zerknął za siebie. W jego bursztynowych oczach zobaczyła niezłomne przekonanie.

Torak wyczuł w powietrzu sól i zatrzymał się. Zapach przywołał odległe wspomnienia. Był już kiedyś na wybrzeżu, pięć lat wcześniej. Raz było aż nadto.

Sosny nad jego głową kołysały się na wietrze. Pomiędzy nimi, na północy, Szeroka Woda pędziła wśród kamieni, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do Morza. Torak nie podzielał jej chęci. Przywódczyni Leśnych Koni powiedziała mu, że to, czego szuka, znajduje się nad Morzem. Zastanawiał się, czy głupio zrobił, że jej uwierzył. Z goryczą zdał sobie sprawę, że od czasu opuszczenia Kruków nie przybliżył się do znalezienia lekarstwa nawet o krok. Najpierw szedł na wschód, a teraz na zachód. Zupełnie jakby ktoś się nim bawił, rzucając w różne strony, niczym kością na kamieniu rytualnym.

Od kiedy zawrócił na skraju Puszczy, minęły dwa dni. Dwa dni i dwie noce spędzone w strachu przed Dręczycielem. Niemniej, choć Torak wyczuwał jego obecność, Dręczyciel przestał się pokazywać albo może szykował po prostu kolejną śmiertelną sztuczkę.

Ostatniej nocy sprawy gwałtownie przybrały zły obrót – jednakże z powodów, które nie miały nic wspólnego z Dręczycielem.

Torak siedział przy ognisku, usiłując nie zasnąć. Przysłuchiwał się burzy, która rozszalała się nad wzgórzami na wschodzie. Dwa razy wiatr przyniósł ze sobą okrutny śmiech. Dwukrotnie Torak wybiegał z szałasów, aby nie zastać na zewnątrz niczego prócz pomiatanych przez wiatr gałązek i migoczących gwiazd na niebie.

Potem – w wielkiej oddali – usłyszał skowyt wilka.

Stał z łomoczącym sercem, starając się pojąć jego znaczenie. Wilk jednak znajdował się za daleko, a sosny szumiały zbyt głośno. Torak nie był w stanie nic zrozumieć...

W desperacji przypadł do ziemi, usiłując wychwycić nieznaczne wibracje, które wilcze skowyty niekiedy wzbudzają w ziemi.

Nic.

Czy naprawdę usłyszał skowyt? A może usłyszał tylko to, co chciał usłyszeć?

Przez większość nocy został na nogach, ale nie usłyszał już wycia. Zupełnie jakby mu się przyśniło. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Krzyk mewy przywołał go do rzeczywistości.

Drzewa po prawej przerzedzały się, Torak ruszył w tamtym kierunku na zwiad – i prawie się zsunął z urwiska. Nie było co prawda wysokie, lecz bardzo strome. Jego oczom ukazała się krucha ziemia i korzenie drzew; do uszu dobiegło pokrzykiwanie mew. Ziemia opadała tutaj gwałtownie i kawałek dalej nie rosły już drzewa. Słońce oślepiło Toraka. Dotarł na skraj Lasu.

Szeroka Woda rozlewała się przed nim w bardzo długie i wąskie jezioro, które nie miało końca. W oddali na zachodzie majaczyły porośnięte sosnami wyspy. Być może były to właśnie Wyspy Focze, gdzie przyszła na świat matka jego ojca. Za nimi połyskiwało w słońcu zamglone, otwarte Morze.

Gdy tylko je zobaczył, zalała go fala wspomnień.

Miał pięć lat i nie mógł usiedzieć w miejscu z podniecenia. Tata trzymał go dotąd z dala od ludzi, wtedy jednakże wybierali się na wielkie zgromadzenie klanów. Ojciec nie powiedział Torakowi, dlaczego tam idą ani czemu muszą się ukrywać, malując twarze sokiem mącznicy. Zrobił z tego zabawę, mówiąc, że najlepiej będzie, jeśli nikt nie będzie wiedział, jak się nazywają.

Torakowi wydało się to uciészne. W swej nieświadomości sądził, że ludzie na zgromadzeniu klanowym będą myśleć tak samo.

Gdy dotarli na miejsce, zobaczyli wybrzeże u ujścia Szerokiej Wody upstrzone oszalałymi liczbą szałasów. Torak pierwszy raz w życiu widział tyle ich różnych rodzajów: szałas z drewna i kory, torfu i skór. Po raz pierwszy widział też tylu ludzi...

Podeksytowanie nie trwało długo. Inne dzieci wyczuły obcego i zbliżyły się z

zamiarem ataku...

Pierwszy kamień rzuciła jakaś dziewczynka z klanu Żmii, z policzkami okrągłymi jak u wiewiórki:

–Twój Tata jest szalony! – zadrwiła. – Jest szalony i żyje z dala od klanów, bo połknął oddech upiora! – Po chwili przyłączyły się do niej dzieci z klanu Wierzby i klanu Łososia. – Szaleniec! Szaleniec! – naigrawały się. – Malowane twarze! Zgniłe dusze!

Gdyby Torak był starszy, zrozumiałby, że nie ma sensu walczyć przeciwko tak wielu, i wycofałby się. A tymczasem wzrok zaszedł mu czerwoną mgłą. Nikt nie będzie obrażał jego ojca!

Chwycił w garść kilka kamieni i już się zamierzał, kiedy pojawił się Tata i go odciągnął. Ku zdumieniu Toraka, ojciec nie przejmował się wcale obelgami. Uniósł syna wysoko w górę i ze śmiechem ruszył w stronę Lasu.

Śmiał się również w noc śmierci. Torak powiedział wówczas coś zabawnego, podczas rozbijania obozu. Zaraz potem zjawił się niedźwiedź.

Od śmierci Taty upłynęło już dziewięć miesięcy, a wciąż się zdarzało, że Torak nie wierzył, iż Tata naprawdę odszedł. Czasami budził się o poranku i, leżąc w śpiworze, myślał, ile musi ojcu opowiedzieć. O Wilku, o Renn i Fin-Kedinnie...

A potem na powrót uderzała go straszna prawda. Nigdy już niczego Tacie nie opowie.

Nie myśl o tym, powiedział sobie.

Ale tak jak nie działało to w przeszłości, nie podziałało i teraz.

Wyszedł spomiędzy drzew i znalazł się na wąskiej, krętej plaży szarego piasku. Sterty purpurowych wodorostów pod jego stopami cuchnęły słonawo. Po lewej leżały w nieładzie wielkie kamienne płyty, jak roztrzaskane gigantycznym młotem. Z prawej strony do szemrzącego Morza wpadała Szeroka Woda.

Torak zląkł się. Nie znalazł tego świata. Mewy pokrzykiwały nad jego głową w sposób odmienny od melodyjnego śpiewu ptaków Lasu. Zobaczył na piasku ślady, których nie rozpoznawał: głęboką bruzdę otoczoną odciskami z pięcioma szponiastymi wypustkami w kształcie półksiężyców. Odgadł, że pozostawiło je jakieś wielkie, ciężkie stworzenie, pełną w stronę wody. Nie wiedział, czy było myśliwym, czy zwierzyną.

Wdrapał się na skalę, a maleńkie białe muszelki pękały z chrzęstem pod jego stopami. Należały chyba do jakiegoś rodzaju ślimaka. Torak nie wiedział, jak się nazywają, podobnie jak nie znał nazwy mięsistych roślin, porastających szczeliny skał. Ich żółte kwiaty drżały w powiewach bryzy.

Kilka kroków dalej biało-czarny ptak podobny do sroki, lecz z długim czerwonym dziobem, dobierał się do muszli przyczepionej do kamienia. Uderzył raz, gwałtownie i mocno, otwierając ją, po czym wyjadł wnętrze. Zaraz odleciał, z głośnym, piskliwym zaśpiewem.

Torak śledził jego lot. Potem ukląkł na skraju wody i obserwował dziwny, rozmyty świat. Zobaczył złotobrazowe liście i przypominające sznury zielone wodorosty. Włożył rękę do wody, aby ich dotknąć. Były śliskie jak mokra koźła skóra i

przylepiały się do jego palców

jak włosy. Stworzenie z guzowatym, pomarańczowym pancerzem wyczuło jego cień i wślizgnęło się pod kamień.

Sól w powietrzu sprawiła, że rozboleła go głowa, blask słońca był nieprzyjemny dla oczu. Opanowała go potężna pokusa, by wrócić do Lasu, zaszyć się w nim i więcej nie wychodzić...

Pomyślał o zmagających się z chorobą klanach. Jeśli nie zdobędzie lekarstwa...

Zmusił się, żeby zostać tam, gdzie był – i zaczął się rozglądać za jakimś jedzeniem.

Nie wiedział, co na wybrzeżu nadaje się do jedzenia, ale z ulgą zauważył kępę komosy piżmowej na skraju Lasu i zebrał kilka soczystych pędów. Pozbierał nieco drewna wyrzuconego na plażę przez przyływ i rozpałił ognisko, w którym rozgrzał kilka dużych kamieni. Napełnił do połowy morską wodą skórę do gotowania, powiesił ją na trójnogu z gałęzi i rozwidlonym patykiem wrzucił do środka rozpalone kamienie oraz pędy komosy i resztkę zająca, który zeszłego dnia złapał się w sidła. Wkrótce miał smaczny, acz bardzo słony wywar.

Czuł zmęczenie, choć był zbyt zdenerwowany, by spać. Zamiast tego zdjął ubranie i poszedł się umyć. Wyszedł z Morza czysty, chociaż skóra lepiała mu się trochę od morskiej wody. Wciągnął spodnie, a buty i kaftan zostawił na kamieniu, aby się przewietrzyły.

Na dnies plecaka zobaczył kły dzika.

Może Przywódczyni Leśnych Koni miała rację? Może powinien zrobić z nich amulet, na pamiątkę przyjaciela, którego musiał zabić?

Zaniósł je do sadzawki skalnej i oczyścił, oskrobując z mięsa patykiem. A potem pozostawił na kamieniu do wyschnięcia.

Następnie rozciągnął linkę z haczykami z jeżynowych cierni w zatoczce, gdzie – na jego oko – mogły przyływać ryby na codzienny posiłek wśród wodorostów. Jako przynęty użył mięsa zeskrobanego z kłów dzika. Potrzebował jeszcze kamieni obciążających, aby haczyki zostały pod wodą.

Na plaży leżało ich mnóstwo, ale Torak nie miał już ani jednego zwoju sznura z surowej skóry, i nie miał ich czym przywiązać do linki z haczykami. Niespecjalnie podobał mu się pomysł, żeby wykorzystać w tym celu kilka obślizgłych, brązowych wodorostów. W wodzie mogli kryć się Przyczajeni; może te wodorosty były ich własnością.

Kilka korzonków sosnowych powinno się nadać. Co oznaczało, że musi wrócić do Lasu.

Poczuł się bezpieczniej wśród drzew i szukał pretekstu, żeby zostać dłużej. Być może będzie potrzebował trochę więcej sosnowych korzeni; zresztą zawsze dobrze mieć kilka

zapasowych. A zatem trzeba wejść głębiej w Las, gdyż nie wolno odciąć więcej niż dwóch korzeni od jednego drzewa.

Kiedy powrócił na plażę, słońce było już nisko. Jego ekwipunek leżał na kamieniach -tak, jak go pozostawił. Prawie.

Ktokolwiek myszkował w jego rzeczach, starał się pozostawić je w tych samych miejscach, ale Torak natychmiast się zorientował, że ktoś je ruszał. Kępka żółtych kwiatków przy plecaku była odrobinę zgnieciona: bo właśnie tam na początku leżał plecak. Kły dzika także leżały nieco inaczej: plama wilgoci wskazywała na ich pierwotne położenie.

Bezgłośnie wycofał się w Las i skulił, życząc sobie, aby podszycie było wyższe. Na plaży, trzydzieści kroków od niego, rozległy się głosy. Dwóch chłopców wyszło zza skał. Szli wolno, szukając śladów.

Byli więksi od Toraka, starsi od niego zapewne o jakiś rok. Mieli opalone twarze i długie, płowe włosy przyozdobione muszlami. Na oczach nosili opaski z szarej skóry, które nadawały ich twarzom wygląd masek.

Torak nie musiał widzieć oczu, aby wiedzieć, że nie są do niego przyjaźnie nastawieni. Ich broń mówiła sama za siebie: ostre harpuny z grotami z kości najeżonymi od kolców i noże z niebieskiego łupka. Niższy chłopiec miał procę zatknętą za pas.

Byli boso, ubrani w spodnie do kolan, uszyte z szarej, elastycznej skóry, i bezrękawniki, odsłaniające faliste, błękitne tatuaże klanowe, ciągnące się przez całą długość rąk. Zauważył paski skóry zwierzęcia klanowego: błyszczące i szare, ze wzorem drobnych, ciemniejszych krążków. Klan Wieloryba? Foki? Torak nie był w stanie ocenić.

Najdziwniejsze jednak było to, że w ogóle mógł zobaczyć ich tatuaże i paski skóry zwierzęcia klanowego, choć obaj chłopcy mieli na sobie długie peleryny z rękawami z bardzo cienkiej, żółtawej skóry: tak cienkiej, że aż przezroczyściej. Zastanawiał się, co za zwierzę może nosić skórę, przez którą wszystko widać.

–Nie mógł odejść daleko – powiedział ten niższy, jego głos rozlegał się donośnie w wieczornym powietrzu.

–Pewnie wpełzł z powrotem do Lasu – odezwał się drugi. – Tak jak te, jak je nazywasz? Konie?

Jego towarzysz zachichotał.

–Nie wydaje mi się, żeby konie pełzały, Detlan.

–Skąd wiesz, Asrif? – powiedział Detlan. – Przecież ty nigdy nie widziałeś konia.

–Słyszałem o nich – powiedział Asrif. – Chodź, idziemy. Chyba nie wróci.

–Lepiej dla niego – powiedział Detlan. – Tak skazać Morze tymi śmierdzącymi rzeczami z Lasu...

Torak wstrzymał oddech i patrzył, jak znikają za skałami.

Spod nawisu skalnego wyciągnęli dwie długie, smukłe łódki ze skóry. Zupełnie inne niż te, do których przyzwyczajony był Torak: bardzo płytkie, obciążone od dziobu do rufy mocno napiętą skórą. Musiały też być niezwykle lekkie, gdyż obaj chłopcy dźwignęli je bez wysiłku nad głowy i zanieśli do wody.

Torak patrzył, jak kładą łódki na płyciźnie, wskakują na pokład i zaczynają wiosłować wąskimi wiosłami o dwóch piórach. Wkrótce nie było ich widać, bezgłośnie usunęli się z pola widzenia.

Wiedział, że jeszcze za wcześnie na ulgę. Wyczuwał pułapkę. Musi ich

przeczekać. Ponieważ był myśliwym, wiedział, jak się to robi.

Lekki dotąd wietrzyk ustał zupełnie, powierzchnia wody zrobiła się gładka jak wypolerowany łupek. Jedynym dźwiękiem był szum i plusk drobnych, pieszczotliwych fal oraz odgłosy wydawane przez kaczkę, podskubującą wodorosty na płyciźnie.

Słońce było coraz niżej. Kaczka rozłożyła skrzydła i odleciała. Nastął zmierzch – co prawda był sam środek Miesiąca Bez Mroku, więc noc miała być jedynie krótkim okresem szarówki.

Torak ciągle czekał.

Był już prawie świt, kiedy uznał, że może bezpiecznie wyjść. Zesztywniały od długiego przebywania w niewygodnej pozycji, wstał i ruszył w stronę skał.

Plecak był wilgotny od rosy. Torak sprawdził zawartość i stwierdził z ulgą, że niczego nie brakuje.

Zgłodniały, poszedł sprawdzić haczyki. Schylając się po linkę, odgarnął na bok sterty przyniesionych wiatrem wodorostów.

Tylko że wiatru nie było. Więc skąd się wzięły wodorosty?

Odskoczył, ale w tej samej chwili na jego kostce zacisnął się sznur i zwałił go z nóg.

T orak upadł, rozcinając sobie głowę o kamień. Ciemna postać przesłoniła słońce. Spoglądała na niego złowroga, ciemna twarz, spowita płomieniem jasnych włosów; postać trzymała w jednej ręce nóż, a w drugiej ścisnęła linę, której koniec owinięty był ciasną pętlą wokół jego kostki.

–Mam go – rzucił napastnik do kogoś, kogo Torak nie mógł widzieć. Potem ponownie

spojrzał na niego. – Ruszaj się i nie krzycz, bo stanie ci się krzywda. – W jego słowach nie

było nienawiści, choć Torak nie wątpił w prawdziwość groźby.

Nie miał jednak zamiaru się podporządkować. Nie znał zbyt wielu przydatnych w walce sztuczek, ale coś niecoś potrafił. Kiedy napastnik pochylił się nad nim, chcąc mu skrępować dłonie, Torak chwycił nóż. Napastnik gwałtownie odwrócił głowę, śledząc wzrokiem ruch ostrza, a wtedy Torak kopnął go wolną stopą w goleń, najmocniej jak potrafił. Chłopak z wrzaskiem upadł na kamienie.

Torak przeciął linę na kostce i pobiegł do Lasu. Trzymał głowę nisko, biegnąc zygzakiem przez kępy wierzbowki, by nie być łatwym celem.

–Nie uciekniesz nam, Leśny Chłopczyku! – rozległ się głos za jego plecami.

Rozpoznał jego właściciela. To był niższy z chłopców, Asrif. Ten z procą.

Przebiegłszy jakieś sześćdziesiąt kroków w głąb Lasu, Torak skoczył za zwałoną sosnę i przygryzł wargi, aby nie wydał go własny oddech. W Lesie panowała śmiertelna cisza. Napastnicy musieli usłyszeć, w którą stronę uciekł.

–Jesteś otoczony – wrzasnął inny chłopiec gdzieś z prawej strony. To był ten wyższy, Detlan.

–Lepiej wyłaź – groził trzeci, ten, który zjawił się na skałach.

Przekonaj mnie, powiedział sobie w duchu Torak. Kamień stuknął w pień drzewa

nad jego głową.

–Masz duże kłopoty, Leśny Chłopczyku! – szydził Asrif.

Sądząc po odgłosach, nie zadawał sobie nawet trudu, eby się skradać.

–Jak mogłeś to zrobić? – krzyknął Detlan.

–Dlaczego to zrobiłeś? – wołał ten wysoki. Co ja takiego zrobiłem, zastanawiał się

Torak. Po chwili zdał sobie sprawę, co robią napastnicy: próbują gadaniem odwrócić jego uwagę i zbliżyć się niepostrzeżenie.

Pospiesznie rozejrzył się wokół. Ziemia przed nim opadała gwałtownie w dół, otwierając się w długie, podmokłe parów. Wokół niego rosły olszyny i wierzby; wszędzie był mech i puszysta modra trzęślica. Bagno! A napastnicy nie znali Lasu zbyt dobrze, sądząc z tego, co mówili o koniach.

Nie podnosząc głowy, Torak zaczął pełznąć w stronę krawędzi parowu. Był spory -długi na dwadzieścia, a szeroki na piętnaście kroków – i sądząc po zapachu, głęboki. Nie sposób było go obejść. Musiał przekraść się przezeń bez jednego dźwięku. Dopiero gdy znajdzie się po drugiej stronie, będzie mógł ich tu zwabić.

Moe się udać. Jeeli sam nie wpadnie.

Cicho wspiał się na wierzbę, której gałęzie zwieszały się nad rowem bagiennym - upewniwszy się najpierw, e nie jest to wierzba krucha. Następnie zaczął się posuwać wzdłu gałęzi. Po drugiej stronie rosła olcha. Jeśli uda się jej dosięgnąć...

Skoczył i chwycił gałąź, a jego stopy zapadły się w zimne, cuchnące błoto. Kiedy podciągał się w górę, trzasnęła gałązka; bezgłośnie przeprosił drzewo.

Za nim rozległy się krzyki.

–Tam jest!

Rzucili się w jego stronę, robiąc więcej hałasu ni stado turów, a on zaczął się wspinać po zboczu. Jałowce orały mu łydki.

Za jego plecami rozległy się rozwścieczone krzyki prześladowców. Świetnie. Wpakowali się do rowu.

–Zgniłe leśne sztuczki! – wrzasnął jeden.

–Nie ujdzie ci to na sucho! – odgrał się drugi. Wyglądało na to, e dało się nabrać tylko dwóch. Gdzie był trzeci, ten ze skał?

Nie było czasu, eby się zastanawiać. Torak zdołał się wdrapać na górę i omal nie spadł z urwiska. Ocaliło go drzewko, którego w samą porę się chwycił.

Stłumił jęk zawodu. Nie udało mu się uciec tak daleko, jak sądził.

Bagno nie zatrzyma prześladowców na długo; a gdyby nawet udało mu się zejść z urwiska, rzeka była zbyt szeroka, by ją przepłynąć. Poza tym dogoniliby go bez trudu w

swoich łódkach. Trzeba będzie uciekać w górę Szerokiej Wody i mieć nadzieję, że uda się ich zgubić w Lesie. Co oznaczało, że jego rzeczy zostaną na skałach.

Przynajmniej miał nóż...

Nóż...

Torak trzymał w dłoni nóż, który zrobił dlań Fin-Kedinn, a nóż ojca – najcenniejszy przedmiot, jaki posiadał – został w plecaku.

Usłyszał nad sobą ogłuszający hałas – podniósł wzrok i zobaczył konar pędzący

mu na spotkanie. Uskoczył na bok – ale nie dość daleko. Gałąź uderzyła go boleśnie w łokieć i zmusiła do krzyku.

–Tam jest! – zakrzyknęli prześladowcy.

Usłyszał śmiech i, spojrzawszy w górę, zobaczył twarz z liści, znikającą wśród drzew. Kamień grzmotnął go w kość policzkową i Torak upadł na krzak.

–Mamy go – rozległ się głos w pobliżu.

Świat rozmył się z bólu, Torak widział niewyraźnie wysokiego chłopca ze skał, idącego spokojnie między sosnami w jego kierunku.

–Asrif – odezwał się do swego towarzysza. – Tyle razy ci mówiłem. Nie w głowę! Mogłeś go zabić.

Asrif zatknął procę za pas i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–I nie byłoby czego żałować.

Wrócili na skały: Torak z rękoma związanymi na plecach; jego prześladowcy szli po obu stronach. Zdjęli opaski ze skóry, choć nie poprawiło to ich wyglądu. Torak zobaczył przemoc w ich oczach; zaciskali palce na rękojeściach noży. Dziwnych noży, zrobionych z materiału, którego nie znał. Nie było to drewno, łupek ani kość. Wysoki chłopiec, który pochwycił go pierwszym razem przy skałach, podszedł bliżej.

–Nie powinieneś był uciekać – odezwał się cicho. – Tak robią tchórze.

–Nie jestem tchórzem – powiedział Torak, patrząc mu w oczy. Policzek bolał bardzo, stopy i łydki piekły od zadrapań.

Asrif roześmiał się, rozradowany.

–Masz poważne kłopoty, Leśny Chłopczyku! – Z wyglądu przypominał łasicę, wciąż

odstaniał zęby w złośliwym uśmiechu. – Mam rację, co, Bale? – zwrócił się do wysokiego.

Chłopiec, którego nazwano Bale, nie odpowiedział.

–Nie pojmuję – rzekł Detlan, potrząsając głową. – Jak mogłeś skazać Morze Lasem! Po

co? – Jego gęste brwi łączyły się powyżej nasady nosa.

Torak odgadł, że chłopiec nie jest zbyt bystry, za to w wykonywaniu poleceń nie ma sobie równych.

Torak odwrócił się do Bale'a, którego uznał za lidera.

–Wiem, o co mnie oskarżacie, ale ja nigdy...

–Jelenie skóry – wyrzucił z siebie Bale, przechadzając się tam i z powrotem.

– Skóry renifera! Drzewo z Lasu. Nie masz szacunku?

–Dla czego? – spytał Torak.

Detlan zaniemówił. Asrif postukał się w czoło.

–Jest obłąkany. Nie może być inaczej.

Oczy Bale'a zwężyły się.

–Nie. Dobrze wiedział, co robi – odwrócił się do Toraka. – Przywlokłeś nieczyste,

leśne skóry na wybrzeże! Zastawiłeś tchórzliwe pułapki, żeby zniszczyć nasze łodzie ze

skóry. I to w Morzu.– Łowiłem ryby – sprzeciwił się Torak.

–Złamałeś prawo – ryknął Bale. – Skaziłeś naszą Matkę Lasem!

Torak zaczerpnął tchu.

–Mam na imię Torak – powiedział. – Należę do klanu Wilka. Z jakiego klanu jesteście?

–Foki, rzecz jasna – Bale stuknął w skrawek szarej skóry na piersi. – Nie wiesz, jak wygląda skóra foki?

Torak potrząsnął głową.

–Widzę ją pierwszy raz.

–Nigdy przedtem nie widziałeś foki? – zapytał Detlan w osłupieniu. Asrif zagwizdał.

–Mówiłem, że to szaleniec. Torak poczuł gorąco na twarzy.

–Należę do klanu Wilka – powtórzył. – Ale prócz tego...

–To jest to? – zadrwił Asrif, dźgając kawałkiem drewna pasek wilczej skóry wszyty w kaftan Toraka.

Bale wykrzywił usta w kpiącym grymasie.

–Więc to jest wilcza skóra. Te wilki to jakieś żalosne stworzenia, sądząc po tym.

–Nie mówiłbyś tak, gdybyś zobaczył wilka – zapewnił Torak gorąco, a potem odwrócił się do Asrifa. – Przestań! – krzyknął.

Ów kawałek skóry przygotował dla niego Tata poprzedniej wiosny, ze skóry padłego wilka, na którego się natknęli w jaskini. W zimie został wycięty i wszyty w kurtkę zimową, a teraz w letni bezrękawnik. Torak obawiał się chwili, kiedy zostaną zeń strzępy.

Bale rzucił Asrifowi spojrzenie i niższy chłopiec odrzucił kawałek drewna, wzruszając ramionami.

–Należę do klanu Wilka – Torak zwrócił się ponownie do Bale'a. – Ale matka

mojego

ojca była Foką. Więc czy się wam podoba, czy nie, jesteśmy krewnymi klanowymi.

–Kłamstwo! – wybuchnął Bale. – Znałbyś prawo Morza, gdybyś był naszym krewniakiem.

–Bale – przerwał Detlan. – Powinniśmy już wracać. Robi się niespokojna.

Bale spojrział w stronę Morza. Nieskończona powierzchnia zrobiła się trochę pofałdowana.

–To twoja wina – powiedział do Toraka. – Rozgniewałeś naszą Matkę.

Zbrukąłeś jej

wody Lasem.

Asrif prychnął gniewnie.

–Och, Leśny Chłopczyku, znajdzie się Kamień dla ciebie!

–Kamień? – powtórzył Torak, nie rozumiejąc. Asrif uśmiechnął się szeroko.

–Skalista wysepka w pobliżu naszej wyspy. Wiesz, o czym mówię?

–To skała, która wyrasta z Morza – wtrącił Detlan, który uznał najwyraźniej, że ignorancja Toraka jest nieskończona.

–Dadzą ci bukłak z wodą – powiedział Asrif – ale żadnego jedzenia, i zostawią na Kamieniu przez cały miesiąc. Czasami nasza Matka pozwala takim przeżyć; czasami zmywa ich falami. – Uśmiech zamarł mu na twarzy, a w jego jasnych, niebieskich oczach pojawił się strach. – Zmywa ich – powtórzył – prosto w paszcze Myśliwych.

–Dość tego, Asrif – powiedział Bale. – Musimy go zabrać ze sobą. Wódz zdecyduje.

–Nie! – sprzeciwił się Torak. Bale nie słuchał.

–Asrif, bierz jego rzeczy. Detlan, potrzebujemy ogniska, żeby się oczyścić. A przede wszystkim jego. Ja biorę się do naprawiania łodzi. – Z tymi słowy zeskoczył ze skały na plażę.

Detlan wyglądał na zadowolonego, że ma coś do zrobienia, i zaczął znosić naręcza suchych glonów i drewna wyrzuconego przez przyływ. Wkrótce zapłonęło wielkie ognisko, dmuchając obłokami gęstego, szarego dymu.

–Co chcecie ze mną zrobić? – spytał Torak.

–Damy ci posmakować Morza – powiedział Asrif ze złośliwym uśmiechem.

–Nie możesz się nawet zbliżyć do naszych łodzi ze skóry, dopóki tak cuchniesz Lasem – powiedział Detlan, jakby to było oczywiste i nie potrzebowało wyjaśniania.

Nim Torak zdążył zaprotestować, Detlan rozebrał go do naga i pchnął w ognisko.

Torak zdołał przeskoczyć nad ogniem – ale po drugiej stronie czekał już na niego Asrif i zmusił harpunem do powrotu – prosto w żrący, dławiący dym.

Popychali go wzajemnie, aż łzy pociekły mu strumieniami, a gardło zaczęło piec jak poparzone. Wtedy wrzucili go do Morza.

Zimno uderzyło Toraka w klatkę piersiową jak pięść, zachłysnął się słoną wodą. Kopiając nogami z całych sił, zdołał wydostać się na powierzchnię, lecz nie był w stanie zerwać więzów krępujących mu nadgarstki.

Chwyciły go szorstkie dłonie i wyciągnęły, kaszłającego, na skały. Chłopcy przecięli mu więzy i ubrali w kaftan i spodnie z szarej skóry, które Asrif przyniósł ze swej łodzi. Torak czuł się nagi bez swego noża i skóry zwierzęcia klanowego, poza tym nie cierpiał nosić nie swoich ubrań.

–Oddajcie... moje... rzeczy – wyrzucił z siebie.

–Masz szczęście, że klan Łososia nie miał ochoty na handel – parsknął Asrif. – Inaczej nie miałbyś czego na siebie włożyć.

–Jaki on wychudzony – zdziwił się Detlan, stawiając Toraka na nogi. – Za mało macie zwierzyny w tym swoim Lesie?

Ciągnąc i pchając jednocześnie, powiedli go przez plażę. Asrif zręcznie załadował swoją łódkę od dziobu po rufę kanciastymi pakunkami owiniętymi w skórę. Kawalek dalej Bale klęczał przy swojej, smarując płamę na burcie czymś podobnym do łoju, który wyjmował z małego woreczka ze skóry. Jego ręce pracowały delikatnie, ale kiedy zobaczył Toraka, w jego oczach pojawiła się wściekłość.

–Weź go ze sobą, Detlan – warknął. – Niech się nawet nie zbliża do mojej łódki.– Do

środka – warknął Detlan, popychając Toraka w stronę swojej. Podobnie jak Asrif miał na

pokładzie jakieś pakunki, w tym ekwipunek Toraka, ale tylko na dziobie.

Torak zawahał się.

–Ten twój przyjaciel, Bale. Dlaczego jest na mnie taki zły?

Odpowiedział Asrif.

–Jeden z twoich haczyków na ryby zadrasnął jego łódkę. Byłoby lepiej dla ciebie, żeby udało mu się ją naprawić. Torak był zaskoczony.

–Przecież to tylko łódź.

Asrif i Detlan spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

–Łódź ze skóry to nie jest tylko łódź – powiedział Detlan. – To towarzysz polowania!

Oby cię Bale nie usłyszał!

Torak przełknął ślinę.

–Nie miałem zamiaru...

–Lepiej już wąż – mruknął Detlan. – Siadaj na rufie, a nogi trzymaj na poprzecznej belce, i nie waż się ruszyć. Jeżeli przebijesz stopą skórę, obaj pójdziemy na dno.

Łódka ze skóry była bardzo płytka i kołysała się dziko z każdym ruchem Toraka. Chłopiec musiał chwycić się obu burt, żeby nie wypaść. Detlan, choć znacznie cięższy, wskoczył na pokład, nie powodując najmniejszego ruchu. Torak zauważył, że zaparł się udami o burty, aby utrzymać równowagę.

Pierwszy płynął Bale, pomykając na grzbietach fal ze zdumiewającą prędkością. Wiatr wiał im w plecy, więc mknęli po wodzie jak mewy. Torak odwrócił głowę i zobaczył zrozpaczonego, jak prędko Las niknie im z oczu.

Wkrótce znaleźli się obok widocznych z brzegu wysp, lecz – ku jego przerażeniu – płynęli dalej.

–Myślałem, że płyniemy na wyspy.

–Ależ tak – uśmiechnął się Asrif.

–Więc dlaczego je minęliśmy?

Detlan odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem.

–Nie na te! O wiele dalej! Będziemy wiosłować cały dzień.

–Co takiego? – krzyknął Torak.

Pozostawili za sobą ostatnią wyspę i nagle okazało się, że po obu stronach nie ma już lądu, lecz tylko Morze. Torak ścisnął burty i spojrzał w ciemną wodę.

–Nie widzę dna – powiedział.

–Oczywiście, że nie – powiedział Detlan. – To jest Morze!

Torak odwrócił się, by zobaczyć, jak Las znika za falami – a wraz z nim wszelkie nadzieje na zdobycie leku.

Niespodziewanie powiał wiatr i przyniósł ze sobą wilczy skowyt. Nie był to skowyt jakiegoś obcego wilka. To był Wilk!

Gdzie jesteś? Jestem tutaj! Gdzie jesteś?

Torak zaczął się gwałtownie podnosić.

–Wilku!

–Siadaj – ryknął Detlan. – Za późno, żeby zawrócić – zakpił. – A o skakaniu do wody lepiej nawet nie myśl, bo będziemy musieli cię ustrzelić...

Za późno...

Torak za późno usłyszał, jak Wilk za nim wyje. Las zniknął już, całkiem przestłonięty przez Morze.

–Wilku! – wrzasnął.

Wilk usłyszał jego prośby – narażając się na gniew Ducha Świata, wyruszył na poszukiwania brata ze stada, do którego w tej chwili nie mógł już dotrzeć.

T trzy łódki ze skóry mknęły po falach, słońce chyliło się w stronę Morza, a nadzieja zamierała w sercu Toraka. Wyobrażał sobie, jak Wilk biegnie tam i z powrotem po brzegu: wyje, niezdolny zrozumieć, dlaczego brat ze stada go zawiódł.

Torak nie mógł tego znieść. Gdyby tylko mógł odpowiedzieć! Ale był wtedy zbyt oszołomiony. A kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, odплыnęli już zbyt daleko; po skowytach Wilka pozostało jedynie wspomnienie.

Wyrzucał sobie gorzko, że złamał prawo Morza. Gdyby była z nim Renn, nigdy by do tego nie doszło; Foki nie rozgniewałyby się na niego, a on i Wilk byłiby teraz razem. Powiał wiatr, obryzgując go wodą, która piekła w oczy i pobudzała ból w zranionej łydce. Torak zatrzęsł się i prawie wypadł z łodzi.

–Siedź nieruchomo! – krzyknął przez ramię Detlan. – Nie mam zamiaru cię wyciągać, jeśli wpadniesz do wody.

–Słyszałeś, Leśny Chłopczyku? – krzyknął Asrif ze swej łódki.

Torak chwycił się łodzi zdrętwiałymi palcami. W którąkolwiek stronę się odwrócił, nic, tylko fale. Morze połknęło wszystko inne. Las, Górę, Kruki, Wilka. Na wilgotnej skórze tego gigantycznego, wiecznie dyszącego zwierzęcia był niczym nic nieznaczący pyłek.

Wyjrzał za burtę i wpatrzył się w nieprzeniknioną ciemność wody. Kiedy sięgnąłby dna, gdyby wypadł? A może zapadałby się w nieskończoność?

Obok przeleciał ptak. Zrazu wydało się Torakowi, że to gęś, ale potem zauważył, że ptak jest czarny i szybuje tak nisko, że koniuszki jego skrzydeł niemal muskają powierzchnię Morza.

Jakiś czas później mijali gromadę małych, okrągłych ptaszków unoszących się na wodzie. Rozmawiały ze sobą tajemniczymi skrzeknięciami, nieprzypominającymi ptasich. Miały czarne grzbiety i białe brzuszki oraz bardzo jasne, trójkątne dzioby w kolorach czerwieni i żółci.

Detlan spostrzegł, że Torak się im przygląda.

–Maskonury – odezwał się szorstko. – To maskonury. Nie macie maskonurów w

Lesie?

Torak potrząsnął głową.

–Są myśliwymi czy zwierzyną?

–Jednym i drugim – wyjaśnił Detlan. – Ale my nigdy na nie nie polujemy. Maskonury to święte ptaki Czarowników. – Umilkł, niechętny rozmowie, ale niezdolny tolerować ignorancji Toraka. – To nie są zwykłe ptaki – powiedział wreszcie. – To stworzenia, które potrafią nie tylko latać, ale również nurkować w Morzu i zakopywać się w ziemi. Dlatego są święte. Bo odwiedzają duchy.

Asrif podpłynął do nich bliżej.

–Założę się, że w Lesie nie macie nic takiego – zadrwił. Była to prawda, ale Torak nie

zamierzał tego przyznawać. Spojrzał na Asrifa wrogo.

Wieczór wciąż trwał, a słońce wisało nisko na niebie. Zbliżało się Przesilenie, czas białych nocy, kiedy słońce w ogóle nie udaje się na odpoczynek.

Torak oddałby wiele za to, by się przespać. Bolały go wszystkie mięśnie. Głowa wciąż opadała mu na bok, ale po chwili budził się gwałtownie.

Niespodziewanie gdzieś z oddali dobiegł go śpiew.

Jak na zawołanie, cała trójka przestała wiosłować.

Bale zdjął opaskę z oczu i zlustrował fale. Asrif odstłonił zęby. Detlan mruknął coś do siebie i ścisnął w garści amulet, który nosił na piersi.

Torak przechylił się na bok i nasłuchiwał.

Po falach napływała z oddali samotna pieśń. Przeciągłe zawodzenia przejęły go dreszczem. Tęskne, odbijające się echem nawoływania, bezdenne jak największa głębia. Jak gdyby samo Morze podniosło lament.– Myśliwi – szepnął Detlan.

–Tam – rzekł cicho Asrif, wskazując na północny zachód. Bale odwrócił się we wskazanym kierunku i skinął głową.

–Płyną za capelinami. Musimy bardzo uważać, żeby im nie przeszkodzić.

Torak zmrużył oczy przed słońcem, ale nic nie zobaczył. Potem jednak – dziesięć kroków dalej – dostrzegł wielką plamę spokojnej wody. Przypominała mu tę gładkość, która tworzy się na powierzchni rzeki przepływającej nad kamieniem.

–Co to jest? – szepnął.

–Ławica capelinów – mruknął przez ramię Detlan. – Chowają się na głębinach, a Myśliwi gnają je ku powierzchni. Dlatego tyle tu mew.

Jakby znikąd pojawiło się morskie ptactwo, pokrzykując z podnieceniem. Zgodnie ze słowami Detlana, Myśliwi mieli polować pod powierzchnią wody. Torak wyobraził sobie przerażenie ryb, tłoczących się w poszukiwaniu bezpieczeństwa, choć ucieczka przed nadciągającymi z ciemności Myśliwymi nie była możliwa...

Ale co to za Myśliwi?

–Patrz na wodę – szepnął Detlan. Torak ocienił oczy dłonią.

Morze zaczęło kipieć. Na powierzchni pojawiało się coraz więcej baniek powietrza. Woda zrobiła się jasnozielona.

–Capeliny idą w górę – syknął Detlan. – Myśliwi są pod nimi i wszędzie wokół.

Ryby

mogą uciekać tylko do góry...

Nadleciały kolejne mewy. Niebo rozbrzmiewało ich wrzaskiem. Torak zobaczył masę ryb unoszących się ku powierzchni – smukłe, zwinne ciała stłoczone tak ciasno, że posrebrzyły powierzchnię Morza i doprowadziły wodę do wrzenia. Niektóre z nich w panice wyskakiwały ponad fale, nie mając gdzie uciec. Ale mewy już na nie czekały.

Tuż obok Toraka z wody wyskoczyła ryba: srebrna strzałka nie większa od dłoni. Potężny ptak o skrzydłach, których rozpiętość przekraczała rozmiarami długość łódki, zanurkował, pochwyił ją w łapę zbrojną w ostre szpony i pomknął w niebo. Torak wykręcił za nim głowę i rozpoznał szerokie lotki orła.

Za ptakiem pofrunęła mewa, chcąc wykraść mu zdobycz. Orzeł morski machnął tylko pogardliwie popielatym ogonem i odleciał.

Wśród mew rozgorzała walka o ryby. Torak zobaczył, jak jedna usiłuje odlecieć z na wpół połkniętym capelinem, sterczącym jej z dzioba, ścigana przez jeszcze dwie, szarpiące rybę za ogon.

Wtedy zobaczył coś, co kazało mu zapomnieć o ptakach.

Na powierzchni wody pojawiła się czarna płetwa. Zapało mu dech.

Płetwa o wysokości dorosłego mężczyzny poruszała się szybciej niż ich łódka.

–Oto i Myśliwi – wydyszał Detlan.

Torak przyjrzał się chłopcom z klanu Foki. Wszyscy przypatrywali się z czią, a Bale – również z podziwem.

Jeszcze jedna ogromna płetwa pojawiła się na powierzchni. I kolejna – ta miała wygryziony kawałek na samej górze. Pruły wodę z ogromną prędkością, okrążając ławicę capelinów.

Więc to są Myśliwi, pomyślał Torak. Ojciec rysował mu na piasku postaci wielkich zwierząt morskich, ale Torak nie zdawał sobie sprawy, że są tak ogromne. Dreszcz go przeszedł, kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest bezbronny, podskakując na falach w łódce ze skóry kruchej niczym skorupka jajka...

Raptem usłyszał plusk i odwróciwszy się, zobaczył strzelającą wysoko w powietrze fontannę wody. Potem przeogromny, czarny ogon wzniósł się ponad powierzchnię i opadł na powrót. Kolejne fontanny wody. Powierzchnia Morza zamieniła się w chaos lecącej na wszystkie strony piany i poszarpanych słonecznych promieni. Tym razem, kiedy Myśliwy z nadgryzioną płetwą robił kolejne koło, Torak zauważył młode pływające obok niego – mała płetwa ledwo nadażała za dużą.

Myśliwi krążyli i krążyli – nurkowali – i wynurzalili się na powierzchnię, wypełniając trzewia rybami. Potem gwałtownie zniknęli.

Torak wstrzymał oddech i rozejrzał się po powierzchni Morza. Mogli być wszędzie. Mogli być dokładnie pod łódką.

Za jego plecami rozległo się gardłowe „kchrrrszsz!!!” i chmura wodnej mgły zmoczyła łódkę od dziobu po rufę. I zaraz zjawił się ten z uszkodzoną płetwą. Był tak blisko, że Torak mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jego ogromnej, płaskonosej głowy – czarnej na górze i białej pod spodem, z owalnymi plamami bieli wokół oczu. Na jedną chwilę ogromne szczęki się rozwarły i Torak zobaczył ostre zęby dłuższe niż jego środkowy palec. Przez jedną chwilę ciemne, błyszczące oko spozierało na niego. Potem Myśliwy wygiął w łuk swój lśniący grzbiet i zanurkował.

Torak trwożnie oczekiwał na jego powrót, ten jednak nie nastąpił. Po polowaniu zostały tylko mewy sprzeczące się o resztki i połyskliwy dywan rybich łusek, unoszący się na zielonej wodzie.

Bale skłonił się w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą byli Myśliwi, ujął wiosło i ruszył w drogę. Pozostali w milczeniu poszli za jego przykładem.

Dopiero gdy znaleźli się poza terenem łowieckim, Detlan odwrócił się do Toraka.

–Więc już ich widziałeś – mruknął. Torak milczał przez chwilę.

–Polują w stadach – zauważył. – Jak wilki. Detlan jęknął.

–Myśliwi nie są podobni do żadnego leśnego stworzenia. To najszybsze morskie

zwierzęta. Najmądrzejsze. I najbardziej niebezpieczne. – Przełknął ślinę. –

Samotny Myśliwy

może wywołać wir, który zatopi największą łódź ze skóry. Jednym uderzeniem ogona jest w

stanie złamać kark dorosłego mężczyzny tak łatwo jak kręgosłup capelina.

Torak zerknął przez ramię.

–Czy oni polują na ludzi?

–Nie. Chyba że ludzie polują na nich.

–A wy na nich polujecie?

Detlan spojrział na niego z wściekłością.

–Oczywiście, że nie! Myśliwi to święte dzieci naszej Matki. Poza tym – dodał

–

zawsze odpłacają za wyrządzoną im krzywdę. – Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

–Dawno temu, jeszcze przed Wielką Falą, pewien chłopiec z klanu

Kormorana zabił młodego

Myśliwego. Nie chciał tego zrobić, to był wypadek. Myśliwy zaplątał się w jego sieć i

chłopiec wbił w niego harpun, nim zobaczył, kogo atakuje. – Potrząsnął głową. – Był tak

przeżony, że nigdy więcej nie wszedł na pokład łódki ze skóry. Przez całe życie, całe długie

życie, nie ruszał się z brzegu, zostawał razem z kobietami. Wiele lat później, kiedy był już

bardzo starym człowiekiem, opanowała go pokusa, by raz jeszcze wyruszyć na Morze. Nie

mógł się jej oprzeć. Poprosił syna, żeby go zabrał na Morze w swojej łodzi – Detlan oblizał

wargi. – Myśliwi czekali na nich. Nigdy więcej ich nie zobaczono.

Torak zastanowił się przez chwilę.

–Ale... on przecież nie chciał zabić młodego Myśliwego. Nie ma sposobu, żeby ich

przebłagać?

Detlan ponownie potrząsnął głową i nie odzywał się przez dłuższy czas. Wiatr ustał, a oni zagłębili się w mgłę. Bale i Asrif zniknęli z pola widzenia.

Wiosło Detłana bezgłośnie rozcinało powierzchnię wody.

Na prawo od Toraka zamajaczyła naga skała. Na jej szczycie przycupnęła mewa.

–Patrz – powiedział Detlan, wskazując głową. – To Kamień. Gdzieś we mgle rozległ się kpiący głos Asrifa.

–Niedługo ty tam będziesz, Leśny Chłopczyku.

Torak zacisnął zęby, zdecydowany nie dawać im satysfakcji i nie pokazywać, że się wzdrygnął; w rzeczywistości przestraszył się bardzo. Kamień był niewiele większy od łódki i w najwyższym punkcie nieznacznie tylko wyższy od niego. Pojedyncza, większa fala z łatwością zmyłaby go do Morza. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak przetrwać w takim miejscu choćby jeden dzień, nie mówiąc o całym miesiącu.

Ciągle płynęli przez mgłę. Torak czuł, jak wilgoć osiada mu na skórze, przyozdabiając jego dziwne, nowe ubranie perełkami wilgoci.

Kawałek przed nimi coś podskoczyło w wodzie.

Torak zamrugał.

Zniknęło.

Nie – zjawilo się znowu, tuż przed nimi. Łeb stworzenia przypominał głowę

psa -wielkiego, szarego psa o płaskim, wąsatym pysku z wielkimi, ciekawskimi oczyma.

Detlan zobaczył stworzenie i uśmiech rozjaśnił mu twarz.– Bale! Asrif! – zawołał. – Opiekun przypląnął, żeby nas zaprowadzić do domu.

Foka przewróciła się na grzbiet, odstawiając jasny, nakrapiany brzuch. Potem odwróciła się znowu, podrapała pysk płetwą przypominającą dłoń, zacisnęła mocno nozdrza i zniknęła pod powierzchnią wody, by towarzyszyć łodziom podczas podróży.

Więc tak wygląda foka, pomyślał Torak. W jego oczach stworzenie stanowiło dziwaczne połączenie nieporadności i smukłego piękna.

Opiekun prowadził ich nieomylnie, mgła rozwiła się tak samo nagle, jak się pojawiła. W jednej chwili znaleźli się znów w pełnym słońcu.

–Jesteśmy w domu – powiedział Detlan. Roześmiał się i podniósł wiosło wysoko ponad głowę, rozsiewając kropelki wilgoci.

Torak poczuł, że dech mu zapiera. Przed jego oczyma rozciągała się wyspa, jakiej w życiu jeszcze nie widział.

Trzy poskręcane szczyty strzelały z Morza w niebo. Nie było ani śladu Lasu. Tylko góry i Morze. Góry niemal całkowicie nagie; na posępnych skalnych ścianach siedziały ptaki. Kaskady wody spływały z lodowych czap pokrywających zbocza. Jedynie u podnóży Torak dostrzegł skrawek zieleni, a pod nim – szeroką, krętą zatokę wraz z pasem piaszczystej plaży, mieniącej się różowo w zachodzącym słońcu.

Nad grupką szarych, garbatych szałasów unosił się dym ognisk. Przed każdym szałasem stała rama, na której leżało kilka łodzi ze skóry. Bliżej Morza, na plaży, zasadzono dwa drzewka, łącząc je na górze w formę łuku. Drzewka miały szkarłatną barwę. Torak zastanawiał się z niepokojem, do czego służą.

Ponad powierzchnią wody dotarł do niego szmer głosów i zgiełk ptaków. Zauważył w zdumieniu, że skalne urwiska żyją: tysiące, tysiące ptaków morskich tłoczyło się na półkach skalnych. Szalasy Fok również wyglądały na zatłoczone i bardzo nietrwałe. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak ludzie mogą mieszkać w takich warunkach: uwięzieni na wąskim pasku lądu pomiędzy górami a Morzem.

–Wyspy Focze – powiedział Bale, zrównując się z łodzią Detlana. W jego głosie

zabrzmiała niekłamana duma.

–A ile jest tych wysp? – spytał Torak. Widział tylko jedną.

Bale popatrzył na niego podejrziwie.

–Jest ta i jeszcze dwie mniejsze na północy. Mieszkają na nich klany Kormorana i

Brunatnicy, ale ta jest domem Fok. Jest największa, dlatego cały archipelag nosi jej nazwę.

Największa i najlepsza.

Oczywiście, pomyślał Torak kwaśno. Jak wszystko, co robią Foki.

Lecz w miarę, jak się zbliżali, szybko o tym zapomniał. Wydawało się, że z zatoką, do której wpływali, coś jest bardzo nie w porządku. Jej wody zabarwione były na karmazynowo, wcale nie z powodu zachodzącego słońca.

Uderzył go w nozdrza znajomy, słodko-słony zapach, niezwykle silny w bezwietrznym powietrzu. Niemożliwe... A jednak...

Zatoka Fok była pełna krwi.

fc©Zi)ZI/H 18

Zgiełk mew dzwonił Torakowi w uszach, a woń krwi ścisnęła za gardło.

Zobaczył

dzieci taplające się na pokrytej czerwoną pianą płyciźnie, kobiety płukały skóry w karmazynowej wodzie. Mężczyźni snuli się jak cienie wokół trzaskającego ogniska, układając olbrzymie kawały mięsa na stercie przed łukiem z drzewek. Nogi, ręce, twarze: wszystko było poplamione czerwienią, jak w koszmarnym śnie.

–Komuś udało się wielkie polowanie – orzekł Asrif.

–Pierwsze tego lata – powiedział Bale. – A nas ominęło – dodał z wyrzutem, jakby to była wina Toraka.

Nagle Torak zrozumiał, że całe mięso pochodzi od jednego upolowanego zwierzęcia. Zobaczył płetwę ogonową dłuższą od łodzi. To, co początkowo wziął za drzewka, było kośćmi szczęki wieloryba.

W każdym razie sądził, że to wieloryb, gdyż nie mógł to być Myśliwy. W jego szczękach nie było zębów, lecz długie falbany ostrych czarnych włosów. Mężczyzna z klanu Foki odcinał je nożem, ścinając również własne włosy. Leżały u jego stóp wraz ze szczecinią wieloryba.

Idąc chwiejnie po śliskich czerwonych kamykach, Torak zauważył, że w obozie panuje wielka radość. Cały klan świętował. Upolowanie zwierzęcia o takich rozmiarach oznaczało dostatek pożywienia na wiele dni.

Bale wyskoczył ze swojej łodzi i kazał Torakowi zostać w miejscu.

–Po uczcie Islinn postanowi, co z tobą zrobić.

Torak został sam na kamienistej plaży, boleśnie świadom nieprzyjaznych spojrzeń członków klanu Foki. Wśród Kruków był podrzutkiem, ale tu było jeszcze gorzej. A przecież ci ludzie byli jego krewnymi klanowymi.

Przypatrywał się, jak Bale odwiązuje swoje pakunki i rzuca je ogorzałemu mężczyźnie, który wyszedł mu na spotkanie. Z wyraźnego podobieństwa między

nimi Torak odgadł, że są ojcem i synem.

Zobaczył, jak Detlan odkłada swoją łódkę na ramę przed szałasem, obok którego stała promieniejąca kobieta i mała dziewczynka, bez wątpienia siostra. Dziewczynka podskakiwała radośnie, natarczywie domagając się jego uwagi. Detlan wydawał się nieco zakłopotany, ale cieszył się, że ją widzi.

Asrif ciągle stał na płyciźnie, łajany przez jędzowatą kobietę, jeszcze niższą od niego.

–Miałeś przywieźć dwa tobołki skóry łososa! – wyrzekła, dźgając go palcem w pierś. – Jak mogłeś o jednym zapomnieć?

–Nie mam pojęcia – mruknął Asrif. – Zapakowałem oba, jestem tego pewien. Nie wiem, dlaczego jednego brakuje.

Bale rozmawiał z ojcem, wskazując na Toraka. Po chwili pobiegł plażą w stronę ogniska, aby pomówić z siedzącym przy nim mężczyzną.

Zapał zmierzch i Foki zaczęły przygotowania do wieczornej uczyty, a Torak ciągle czekał. Bolał go policzek i konał z głodu.

Zrozumiał, dlaczego nikt nie zawracał sobie głowy wiązaniem go. Nie było gdzie uciekać: góry piętrzyły się ponad zatoką niczym mur. Na ich południowym krańcu z półki skalnej spływał wodospad. Na północy spostrzegł ścieżkę, która wspinała się stromo pod

górze, ku sterczącemu nad Morzem nawisowi o kształcie gigantycznej łodzi. Bez pomocy Fok nie był w stanie wydostać się z wyspy. Znalazł się w pułapce, z dala od Lasu, w którym umierały klany dotknięte chorobą...

Niebo zmieniło kolor na granatowy. Zapach jedzenia dotarł do chłopca. Zobaczył skóry do gotowania na trójnogach, najwyraźniej zrobionych z kości wieloryba. Długowłose kobiety gawędziły ze sobą, mieszając w skórkach.

W odróżnieniu od mężczyzn miały faliste, błękitne linie tautazy klanowych na łydkach, a nie na ramionach.

Niedaleko od nich grupka rozchichotanych dziewczynek doglądała parującego dołu w ziemi, z którego dobywał się smakowity zapach pieczonego mięsa. Torak dowiedział się u Kruków o tym sposobie przyrządzania posiłku, ale nigdy dotąd nie widział, by ktoś go stosował. Kawały mięsa tak duże, jak on sam, owinięto w wodorosty i włożono do dołu wypełnionego rozgrzanymi kamieniami, po czym przykryto jeszcze jedną warstwą wodorostów i piaskiem.

Kobiety zaczęły nakładać jedzenie do misek. Torak zauważył, że tylko one zajmują się gotowaniem, mężczyźni zaś sami sprawiają mięso. Wydało mu się to bardzo dziwaczne. Czyżby dziewczęta z klanu Foki nie polowały? Bardzo był ciekaw, co by na to powiedziała Renn.

Patrzył wygłodniały, jak klan zbiera się przy ognisku, otaczając je kręgiem.

Nikt nie przychodził, by go zawołać.

Rozległ się szmer głosów przypominający westchnienia morskich fal i cały klan uniósł ramiona. Z kręgu wystąpiła jakaś postać. Torak rozpoznał mężczyznę, który ścinał sobie włosy podczas oprawiania zwierzęcia. Mężczyzna podszedł do łuku z kości wieloryba, trzymając w dłoniach kosz pełen capelinów. Złożył podarunek na brzegu. Torak odgadł, że w ten sposób dziękuje wielorybowi za to, iż oddał swe życie dla klanu. Myśliwy nie wrócił jednak na ucztę, lecz pokuśtykał w mrok, w stronę jaskini ciemniejącej u stóp nawisu skalnego.

Kiedy Torak już niemal stracił nadzieję, zjawił się Detlan i zaprowadził go w miejsce oddalone nieco od ogniska, gdzie zasiedli też Asrif i Bale.

Jakaś dziewczyna podała Torakowi miskę. Naczynie było tak ciężkie, że niemal je upuścił. Ku swemu najwyższemu zdumieniu odkrył, że zrobione było z kamienia. Dlaczego, w imię Lasu, ktokolwiek miałby używać kamiennych naczyń? Jak to brać ze sobą, kiedy szuka się nowego miejsca na obozowisko?

Niepokojąca myśl przyszła mu do głowy: możliwe, że Foki nigdy nie przenoszą obozu.

–Jedz – powiedział Detlan, rzucając mu łyżkę.

Torak zerknął na zawartość swojej miski. W środku znajdował się duży kawał ciemnoróżowego mięsa, z grubą warstwą szarawego tłuszczu z wierzchu, i mniejszy, fioletowawy kawałek. Wszystko pływało w mulistym wywarze, który cuchnął Morzem. W misce znajdowała się jeszcze połówka capelina i dwa długie, jasne kawałki czegoś, co wyglądało jak palce.

–Co jest? – spytał Bale. – To nie dość dobre dla ciebie? Masz szczęście, że w ogóle dajemy ci jeść.

–Nigdy nie jadłeś krewetek? – zdziwił się Asrif.

–Co to jest? – spytał Torak.

–Czerwone to mięso wieloryba – powiedział Detlan. – Z tranem na wierzchu. – Nożem rozdzielił na dwoje swój purpurowy kawałek. – A to jego serce. Wielki przysmak. Wszyscy dostajemy po kawałku, daje nam siłę i odwagę. – Włożył sobie kawałek do ust i zaczął żuć. – Założę się, że w Lesie nie macie nic tak dobrego – powiedział Asrif.

Torak zignorował go i zaczął jeść. Mięso wieloryba było dość łykowate, tran oleisty i mdły, a krewetki w ogóle nie miały smaku. Ale capelin był dobry.

–Naprawdę nigdy wcześniej nie widziałeś foki? – spytał Detlan.

–Detlan, po co sobie zawracać głowę? – wtrącił się Bale. Najwyraźniej jednak Detlan uznał niewiedzę Toraka za osobistą zniewagę.

–Foki dają nam wszystko – powiedział z namaszczeniem. – Ubrania,

szwały, łodzie ze skóry. Jedzenie, harpuny, lampy... – Urwał, bez wątpienia zastanawiając się, czy czegoś nie pominął.

–A peleryny? – zapytał Torak, nie mogąc opanować ciekawości. – Ta przezroczyta skóra nie może chyba pochodzić od fok.

–A i owszem – powiedział Asrif. – To skóra z ich wnętrzości.

–Mówiłem ci – rzekł Detlan. – Foki dają nam wszystko. Jesteśmy ludźmi fok. Torak zmarszczył brwi.

–Ale przecież nikomu nie wolno polować na zwierzę klanowe. Więc czemu to robicie?

–Nigdy byśmy tego nie zrobili! – krzyknął Detlan, wskazując ze złością kawałek nakrapianego futra na piersi. – To jest nasze zwierzę klanowe! Foka obrączkowana. Polujemy i zjadamy jedynie foki szare.

Torak nigdy nie słyshał o takim rozróźnieniu; wydało mu się ono śliskie i nieprawdziwe. Coś z tych uczuć musiało się odbić na jego twarzy, gdyż brwi Detlana opadły złowieszczo.

–Mówiłem ci, że to strata czasu – odezwał się Bale, wstając. A potem odwrócił się do

Toraka. – Idziemy. Czas się stawić przed Wódzem.

Wódz klanu Foki, Islinn, był człowiekiem starym i skurczonym. Wydawało się, że coś wysysa z niego życie.

Na cienkich siwych włosach i brodzie miał maleńkie koraliki z niebieskiego łupka, a w uszach kolczyki ze spiralnych, przypominających włócznie muszli, których ciężar rozciągnął jego małżowiny aż do ramion.

Bale pchnął Toraka na kolana. Wymienił jego imię i opowiedział, w jaki sposób złamał prawo.

Słyszając to, wielu ludzi zakrzyknęło z przestraczem i pobiegło położyć dłonie na szczękach wieloryba. Wódz pogładził swą brodę drżącą dłonią, ale się nie odezwał. Jego kaprawe oczy poruszały się bezustannie. Torak nie był pewien, czy kryją inteligencję, czy jej brak.

Wreszcie Islinn przemówił.

–Twierdzisz, że jesteś naszym krewnym – wymruczał głosem tak słabym, jakby

ledwie starczało mu sił, by go wydobyć z piersi.

–Matka mojego ojca była Foką – przyznał Torak.

–Jak brzmi jego imię?

–Nie mogę powiedzieć. Umarł zeszłej jesieni. Wódz rozważył jego słowa, po czym

mruknął coś do mężczyzny za swoimi plecami. Twarz tego drugiego zasnuta

była unoszącym

się w powietrzu dymem, ale widząc gęste włosy koloru piasku i umięśnione kończyny, Torak

zdał sobie sprawę, że nieznajomy jest młodszy od Islinna. Nosił gładki kaftan, spodnie i

wspaniały pas, wykonany ze skórzanej plecionki, szeroki na dwie dłonie, przyozdobiony

czerwonymi i żółtymi dziobami maskonurów.

Maskonury, pomyślał Torak. To musi być Czarownik.

–Jak brzmiało imię matki twego ojca? – zapytał Wódz.

Torak odpowiedział.

Wąskie usta Wodza ściągnęły się. Ktoś zakaszał.

–Znałem tę kobietę – wycharczał. – Żyła z mężczyzną z Lasu. Nie miałem pojęcia, że mieli syna.

–Skąd możemy wiedzieć, że mieli? – odezwał się Czarownik, nie odwracając głowy. – Skąd mamy pewność, że chłopak jest tym, za kogo się podaje? – Mówił cicho, ale wszystkie Foki przysunęły się bliżej, by go słuchać.

Ton jego głosu był godny uwagi: miękki, gładki i niski, choć zarazem, gdzieś pod spodem, brzmiała w nim wielka siła, przywodząca na myśl Morze. Takiego głosu każdy chciał słuchać. Przez jedną chwilę Torak nawet nie pamiętał, że mężczyzna nazwał go kłamcą.

Wódz pokiwał głową. – Ja też tak sędzę, Tenris.

Dym rozwiął się i Torak po raz pierwszy zobaczył twarz Czarownika – a przynajmniej jej profil, gdyż Tenris ciągle stał bokiem. Był przystojnym mężczyzną, z ostro zarysowanymi kośćmi twarzy, prostym nosem i szerokimi ustami otoczonymi zmarszczkami od śmiechu, ciemnozłotą brodą przyciętą krótko przy szczęcie.

Torak wyczuł, że to właśnie ten mężczyzna sprawuje władzę wśród Fok i że to on zdecyduje o jego losie. Przez chwilę przypominał mu Fin-Kedinna.

–Mówię prawdę – powiedział. – Jestem waszym krewnym klanowym.

–Potrzeba nam czegoś więcej niż słów – odezwał się Czarownik.

Odwrócił się do światła i wtedy Torak zobaczył, że lewa połowa jego twarzy nosi ślady potwornych oparzeń. Z pozbawionego rzęs oczodołu spoglądało na niego szare oko. Głowa po lewej stronie była różowa, z czerwonymi plamami. Tylko usta pozostały nienaruszone. Uśmiechnął się kwaśno do Toraka, jakby chciał go sprowokować i sprawdzić, czy się wzdrygnie.

Torak przyłożył złożone dłonie do piersi i skłonił się.

–Przyznaję, złamałem wasze prawo – powiedział. – Ale tylko dlatego, że go

nie

znałem. Ojciec nigdy nie uczył mnie o życiu na Morzu.

Czarownik Fok, Tenris, potrząsnął okaleczoną głową.

–Więc co robiłeś na wybrzeżu?– Przywódczyni Leśnych Koni powiedziała mi, że znajdę nad Morzem to, czego szukam.

–A czego szukasz?

–Lekarstwa.

–Na co? Jesteś chory?

Torak potrząsnął głową i opowiedział Tenrisowi o chorobie. Jego opowieść wywołała trwogę wśród Fok.

Wódz wyrzucił w górę trzęsące się dłonie.

Mężczyźni i kobiety krzyknęli z przerażenia.

Bale skoczył na równe nogi i rzucił Torakowi piorunujące spojrzenie.

–Czemu nas nie ostrzegłeś? – krzyknął. – A jeśli przywlokłeś ją tu znowu?

Torak popatrzył mu w oczy.

–Wiecie o chorobie? Zetknęliście się z nią wcześniej? Ale Bale już się odwrócił, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

–Przyszła trzy lata temu – powiedział posępnie Wódz. – Pierwszy umarł jego młodszy brat. Potem jeszcze troje ludzi. Wśród nich był mój syn.

–Ale jak wam się udało od niej uwolnić? – spytał Torak, tłumiąc podekscytowanie. – Odkryliście lekarstwo?

–Dla Fok – warknął Bale. – Nie dla ciebie!

–Musicie mi je dać! – krzyknął Torak. Bale odwrócił się w jego stronę.

–Musimy? Pogwałciłeś nasze prawo, rozgniewałeś Morze, naszą Matkę, a teraz śmiesz mówić, że musimy?

–Nie zdajecie sobie sprawy, co się dzieje w Lesie! – powiedział Torak. – Chorują Kruki. Chorują Knury, Wydry i Wierzby. Niedługo nie będzie miał kto polować...

–Czemu mielibyśmy się tym przejmować? – spytał Wódz. Wśród Fok rozległ się potakujący pomruk.

–Tylko dlatego – wtrącił Tenris – że, jak twierdzisz, jesteś naszym krewnym?

–Jestem waszym krewnym! – nie ustępował Torak. – Mogę tego dowieść!

Gdzie mój
plecak?

Tenris rzucił Asrifowi spojrzenie, a ten pobiegł do szałasów i po chwili wrócił z plecakiem Toraka.

Chłopiec niecierpliwie rozwiązał tobołek, w którym spoczywał nóż jego ojca.

–Proszę – powiedział, podając go Czarownikowi. – Ostrze zrobiły Foki.

Ojciec dostał

je od matki i sam zrobił rękojeść.

Tenris nie odzywał się ani słowem, oglądając nóż. Jego lewa ręka była zniszczona ogniem, skręcona w groteskowy szpon, prawa natomiast nienaruszona. Długie brązowe palce drżały, dotykając ostrza.

Torak czekał z bijącym sercem, aż mężczyzna przemówi.

Wódz również patrzył na nóż. Najwyraźniej nie podobało mu się to, co widzi.

–Tenris – wysapał. – Jak to możliwe?

–Wiem – mruknął Tenris. – Rękojeść jest z rogu płowego jelenia, a ostrze z błękitnego,

morskiego łupka. – Podniósł głowę i obrzucił Toraka lodowatym spojrzeniem.

–Twierdzisz, że zrobił go twój ojciec. Dlaczego odważył się wymieszać Las z Morzem? – Torak nie odpowiedział.

–Zgaduję – ciągnął Tenris – że twój ojciec był Czarownikiem.

Po niewczynie Torak przypomniał sobie ostrzeżenie Fin-Kedinna i potrząsnął głową. Ku jego zaskoczeniu kącik ust Tenrisa drgnął.

–Nie potrafisz zbyt dobrze kłamać, Torak. Chłopiec zawahał się.

–Fin-Kedinn zabronił mi mówić o ojcu.

–Fin-Kedinn – powtórzył Tenris. – Znam to imię. Czy on też jest Czarownikiem?

–Nie – odpowiedział Torak.

–Ale Kruki mają jakiegoś Czarownika?

–Tak. Czarownicę Saeunn.

–Czy ona uczy cię Magii?

–Nie – odrzekł Torak. – Jestem myśliwym, jak ojciec. Uczył mnie polowania i tropienia, nie Magii.

Tenris ponownie spojrzął mu w oczy – tym razem Torak odczuł pełną moc jego inteligencji; przeszła jego myśli niczym promienie letniego słońca chmury. Raptem twarz Czarownika złagodniała. Zwrócił się do Wodza.

–Chłopak mówi prawdę. Jest naszym krewnym. Wódz przyglądał się Torakowi,

mrużąc oczy. Bale potrząsnął głową z niedowierzaniem.

–Czy teraz mi pomożecie? – spytał Torak. – Dostanę lekarstwo? Tenris zdał się na Islinna:

–Ty zdecyduj, Wodzu. – Jednakże nachylił się i zaczął szeptać starcowi do ucha. Wódz wstał, wspierając się na ramionach Tenrisa i Bale'a.

–Skoro jesteś naszym krewnym – wysapał – potraktujemy cię tak, jakbyś był jednym z

nas. – Urwał, by złapać oddech. – Gdyby któryś z nas złamał prawo, musiałby przebłagać

naszą Matkę. Ciebie też to dotyczy. Jutro zostaniesz zabrany na Kamień i pozostawiony tam na cały miesiąc.

Znowu jest na skraju Lasu. Świeci słońce, powierzchnia Morza Iśni oszałamiającym błękitem, a on ze śmiechu nie może złapać tchu, tarzając się w piasku wraz z Wilkiem.

Porywa go ekstaza młócenia rękami i machania ogonem, niezrównanych skoków z obrotem, wysoko w górę! Wilk ląduje całym ciężarem na piersi chłopca, zwała go z nóg i z zapalem skubie po twarzy w radosnym amoku wilczego powitania. Torak chwyta go za kark i liże po pysku; żarliwym, niskim skomleniem zapewnia Wilka, jak bardzo za nim tęsknił.

Wilk urósł tak bardzo! Jego boki i uda prężą się od mięśni, a kiedy staje na zadnich łapach, wspierając się przednimi na piersi Toraka, dorównuje chłopcu wzrostem. Ale to wciąż ten sam Wilk. Te same jasne, bursztynowe oczy, ukochany zapach słodkiej trawy i ciepłe, czyste futro. To samo połączenie szczenięcego rozradowania z tajemniczą mądrością.

Wilk liże go szorstkim językiem po policzku i rzuca się pędem po piasku; za chwilę jest z powrotem, potrząsając wstążką wodorostu, która zwisa mu z pyska, i prowokuje Toraka, aby ją chwycił...

... wstążka staje się raptem rozkołysanym lasem w głębinach lodowatego Morza, obaj walczą o życie z żywiołem. Wilk panicznie boi się głębi. Potrząsa głową ponad falami, jego uszy leżą płasko na łbie, oczy ma pociemniałe ze zgrozy. Torak próbuje podплыnąć bliżej, aby mu dodać otuchy, lecz jego członki ogarnia senne odrętwienie i woda unosi go w przeciwnym kierunku.

Za Wilkiem ukazuje się płetwa Myśliwego.

Wilk jeszcze go nie spostrzegł, lecz jest bliżej, Myśliwy pożre go w pierwszej kolejności.

Torak usiłuje krzyknąć, ale głos więźnie mu w krtani. Nie ma ucieczki. Żadnego lądu w zasięgu wzroku. Jedynie bezlitosne Morze i Myśliwy, który za chwilę zabije.

Torak nie pozwoli mu pochwycić Wilka. To pewne jak lodowate, policzkujące go fale, pewne jak jego własne imię. Nie waha się. Wie, co musi zrobić.

Bierze głęboki oddech i nurkuje. Porusza się nieznośnie wolno, lecz wreszcie udaje mu się przepłynąć pod Wilkiem i wynurzyć pomiędzy Myśliwym a bratem ze stada.

Teraz Myśliwy ma bliżej do niego. Teraz Wilk będzie miał szansę.

Dystans pomiędzy Torakiem a potężną czarną płetwą gwałtownie maleje. Widać już srebrzystą, wirującą falę wokół niej. Ogromny, płaski łeb pędzi ku chłopcu przez zieloną wodę. Serce podchodzi Torakowi do gardła z przerażenia.

Szczęki Myśliwego rozwierają się szeroko, za chwilę go połknie...

Torak obudził się z dreszczem.

Leżał w szałasie Fok, wokół niego drzemali ludzie. Policzki miał zwilgotniałe od łez, które strząsnął. Pragnął znów zapaść w sen, być razem z Wilkiem. Wilk był tak daleko. A przeznaczeniem Toraka był Kamień.

Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się w mrok. Powyżej majaczyły wygięte w łuk żebra wieloryba, stanowiące rusztowanie szałasu; przykrywająca je focza skóra falowała łagodnie w rytm miarowego oddechu wiatru. Najwyraźniej Torak został jednak połknięty.

Podniósł się bezszelestnie i ruszył pomiędzy śpiącymi. Bał odwrócić się w jego stronę i obrzucił uważnym spojrzeniem, jednakże pozwolił przejść. Obaj wiedzieli, dlaczego. Gdzie niby miał uciec?

Gdy znalazł się na zewnątrz, otoczyła go szarawa poświata. Z górskich szczytów sięgających nieba w dół klifów spływały dywany chmur. Obóz Fok pogrążony był w całkowitym bezruchu, nie drgnął żaden pies.

Torak poczuł pragnienie i ruszył brzegiem zatoki do miejsca, gdzie z klifów spływał wodospad, pędząc swe wody kamiennym łóżyskiem w stronę Morza. Wbrew temu, co się Torakowi wczoraj wydawało, Zatoka Fok obfitowała w tym miejscu w roślinność. Trawa upstrzona była jaskrami i fioletowymi kwiatami bodziszka, niższe partie górskich zboczy porosły brzoza i jarzębiną.

Wydało mu się okrucieństwem ze strony Fok, że pozwolono mu cieszyć się tym wszystkim. Czuł się jak ryba schwytana w sieć, która jest w stanie jeszcze pływać, choć wie, że nie ma ucieczki.

Ukląkł przy strumieniu i nabrał zimnej wody w dłoń.

Z drugiej strony strumienia przyglądał mu się Dręczyciel przykucnięty na głazie.

Torak zamarł. Lodowata woda wyciekła mu pomiędzy palców.

–Czego chcesz? – zapytał chrapliwie.

Stworzenie nie poruszyło się. Ze splecionej grzywy włosów wзираły jedynie szpony i błyszczące oczy.

–Dlaczego za mną chodzisz? – krzyknął Torak. – Czego ode mnie chcesz?

Jakiś cień przemknął po kamieniu w jego kierunku. Torak podniósł wzrok i zobaczył nurkującą mewę. Gdy go na powrót opuścił, Dręczyciel zniknął.

Z krzykiem przebiegł na drugi brzeg potoku, ale istota zniknęła już wśród głazów i karłowatych jałowców.

Trudno było sobie wyobrazić, że Dręczyciel mógł się tak szybko przemieszczać. Torak pochylił się, aby obejrzeć głaz, na którym zobaczył stworzenie. Wśród porostów dostrzegł ślady zadrapań.

Jego myśli pędziły jak oszalałe. Dręczyciel podążył za nim przez Morze...

–Z kim rozmawiałeś? – rozległ się głos za jego plecami. Torak odwrócił się i zobaczył

Bale'a, przypatrującego mu się podejrzliwie. – Rozmawiałeś z kimś! Kto to był?

–Nikt – mruknął Torak. – Mówiłem... mówiłem do siebie.

Dlaczego ta istota podążyła za nim? W jaki sposób pokonała Morze?

Przypomniał sobie zaginiony tobołek łososiowych skór z łodzi Asrifa. Tak.

Dręczyciel

opróżnił tobołek i ukrył się w środku, podczas gdy chłopcy z klanu Foki byli zajęci jeńcem. Torak z przerażeniem pomyślał o tej bliskości, o złowrogiej istocie zwiniętej w kłębek na dnie łodzi...

–Nie wierzę ci – powiedział Bale. – Dlaczego wyglądasz na winnego, skoro mówiłeś

do siebie?

Torak milczał. Wyglądał na winnego, gdyż był winny. A jeśli przywlokłeś to z powrotem – powiedział Bale poprzedniego wieczora. Miał na myśli chorobę, nie Dręczyciela. Ale czy była między nimi jakaś różnica?

Torak wstał i chwiejnym krokiem przeszedł na drugi brzeg.

–Gdzie Tenris? – spytał niecierpliwie. – Muszę z nim pomówić. Błękitne oczy Bale'a zwięzły się.

–Niby dlaczego? On nie ma zamiaru ci pomóc.

Torak nie zwracał na niego uwagi. Miał pomysł. Niebezpieczny – zadawanie się z Czarownikami zawsze wiązało się z niebezpieczeństwem – lecz jeśli się uda, uniknie Kamienia.

–Gdzie on jest? – powtórzył.

Bale ruchem głowy wskazał nawis skalny, sterczący na północy ponad wodami zatoki.

–Na Grani. Ale nie myśl, że będzie chciał z tobą rozmawiać.

–Będzie chciał – rzucił Torak.

>=>

Ścieżka wiała się stromo w górę zbocza i miejscami Torak zmuszony był brnąć na czworaka.

Zdyszany, zatrzymał się na szczycie – i okazało się, że stoi na wąskiej kładce skalnej, rozszerzającej się w płaski cypel o kształcie łodzi, sterczący nad

Morzem. Zobaczył pośrodku płaską płytę granitu, której nadano kształt zbliżony do ryby. Tuż obok, mrużąc pod nosem, kucał Czarownik Fok.

–Czarowniku – wysapał Torak. – Musimy porozmawiać!

–Nie tak głośno – ostrzegł Tenris, nie odwracając wzroku. – Postaraj się nie nadepnąć na linie.

Torak opuścił wzrok i zobaczył błyszczące srebrzyste smugi, pokrywające całą powierzchnię Grani. Nie wyżłobiono ich w skale, wypolerowano ją do takiej gładkości, że ani porosty, ani pogoda nie były w stanie ich zatrzeć. Torak zobaczył Myśliwych i ryby, orły i foki: ścigały się, nakładały na siebie, jakby się pożerając; istoty pogrążone w niekończącym się tańcu myśliwych i zwierzyny.

Czarownik Fok podniósł się, trzymając w poskręcanej dłoni trzy jaja Morza. Po chwili zaczął je rozkładać na Grani.

–Przyszedłeś targować się o życie – stwierdził.

–Tak – przyznał Torak.

–Wiesz, że obraziłeś naszą Matkę.

–Nie miałem zamiaru...

–Dla niej to nie ma znaczenia – przerwał Tenris, kładąc kamień. – Pomóż mi. Podawaj mi jaja Morza, po jednym.

Torak otworzył usta, by zaprotestować, lecz zaraz je zamknął. Chodzili razem po Grani, Torak podawał Czarownikowi kamienie, gdy ten wyciągał dłoń. W pewnej chwili zbliżyli się do krawędzi i chłopiec przez mgnienie oka zobaczył w dole przyprawiający o zawrót głowy błysk Morza.

–Zobacz, jaka jest dzisiaj spokojna – powiedział Tenris, podążając za jego spojrzeniem. – Ale czy masz pojęcie o jej potędze?

Torak potrząsnął głową.

Czarownik z gracją odłożył kolejny kamień na ziemię, dzioby maskonurów u jego pasa delikatnie zaklekotały.

–Mężczyzna, który upolował wieloryba na wczorajszą ucztę, musiał ściąć swoje

włosy, aby przebłagać Matkę za to, że zabrał jedno z jej dzieci. Przez trzy dni będzie mieszkał

w samotności. Nie wolno mu jeść ani dotknąć swojej kobiety. Dopiero gdy dusze wieloryba

powrócą do Matki, on będzie mógł powrócić do klanu. – Wskazał na jaja Morza u swoich

stóp. – To, co teraz robię, ma im wskazać drogę. – Umilkł. – Musisz zrozumieć, Torak, że

świat naszej Matki jest bardziej surowy i mniej przewidywalny niż twój świat Lasu.

Odległy gwar głosów dobiegł z Zatoki poniżej. Torak wyrzwał za krawędź i zobaczył, że obóz Fok budzi się do życia. Bale rozmawiał z dwoma mężczyznami, wskazując na Grań.

–Czarowniku – odezwał się Torak. – Muszę ci o czymś... Tenris uciszył go, podnosząc dłoń.

–Nasza Matka zamieszkuje największe morskie głębiny

–wymruczał. – Ma większą moc niż słońce. Gdy jest zadowolona, posyła foki, ryby i

morskie ptactwo, abyśmy mogli na nie polować. Kiedy ogarnia ją gniew, zatrzymuje je przy

sobie i młóci ogonem, wywołując sztormy. Gdy bierze oddech, Morze się zapada. Kiedy go

wypuszcza, nadciąga przypytyw.

Urwał, wpatrując się w sylwetki ludzi na plaży.

–Zabija bez ostrzeżenia, litości i nienawiści. Wiele lat temu z zachodu nadeszła Wielka Fala. Przetrwali tylko ci, którym udało się wspiąć na Grań – odwrócił się do Toraka.

–Moc wiatru jest wielka, Torak. Ale moc Morza jest niewyobrażalna. Torak zadawał sobie w duchu pytanie, dlaczego Tenris mu o tym opowiada.

–Bo wiedza to potęga – odrzekł Czarownik, zgadując jego myśli. Torak odwrócił wzrok.

–Czy to tutaj przyrządziłeś lekarstwo?

Ku jego zaskoczeniu Tenris uśmiechnął się kwaśno.

–Byłem ciekaw, kiedy o to zapytasz.

Zbliżył się na powrót do kamiennego ołtarza i podniósł leżący tam pazur kraba. Przyłożył go do ust i po chwili wydmuchnął cienką strużkę aromatycznego, niebieskiego dymu.

–Co do lekarstwa... – zaczął, pomiędzy jednym pociągnięciem a drugim – miejsce nie

ma znaczenia. Liczy się czas. Można je przyrządzić tylko jednej nocy w ciągu całego roku.

Najpotężniejszej nocy. Wiesz, która to?

Torak zawahał się.

–Noc Przesilenia?

Tenris obrzucił go przychylnym spojrzeniem.

–Wydawało mi się, że nic nie wiesz o Magii.

–Bo nie wiem. Ale urodziłem się w Noc Przesilenia, więc przyszła mi na myśl. Wiem tylko, że jest to noc największej przemiany, a wszyscy przecież wiedzą, że w Magii...

–...najważniejsza jest przemiana – dokończył Tenris. Ponownie uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Tak jak w życiu.

Drewna w liść. Zwierzyny w myśliwego. Chłopca w mężczyznę. Bystry jesteś, Torak. Mógłbym cię wiele nauczyć. Szkoda, że twoim przeznaczeniem jest Kamień. Torak postanowił zaryzykować.

–Właśnie dlatego przyszedłem z tobą porozmawiać. Nie będę... moim przeznaczeniem nie jest Kamień.

Tenris znieruchomiał. Poranne światło zalało ślady poparzeń na jego twarzy.

–Co powiedziałaś? Torak zaczerpnął tchu.

–Nie pójdę na Kamień. Ty przyrządzisz lekarstwo. A ja zabiorę je z powrotem do...

–Ja przyrządzę lekarstwo? – powtórzył Tenris. W jego głosie zabrzmiał taki chłód, jakby słońce na powrót zaszło. – Dlaczego miałbym to zrobić?

–Bo jeśli tego nie zrobisz – powiedział Torak – ludzie z twojego klanu też zachorują.

Opowiedział Tenrisowi o Dręczycielu, o tym, jak się dostał na wyspę. Zwierzył się ze swojego podejrzenia, że Dręczyciel jest szpiegiem Pożeraczy Dusz, zesłanym, by szerzyć chorobę. Tenris wysłuchał go bez słowa, paląc fajkę ze szczypiec kraba. Nie sposób było odgadnąć, jakiego jest zdania, choć Torak wyczuwał wartki strumień jego myśli. Patrzył z lękiem, jak Czarownik okrąży kamienny ołtarz, podnosi ostatnie jajo Morza i rusza w jego kierunku.

–Sam to zaplanowałaś? – spytał Tenris. Torak był przerażony.

–Oczywiście, że nie!

–Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, Torak. Nie lubię sztuczek.

–To żadna sztuczka! Nie miałem pojęcia, że Dręczyciel przeprawi się przez Morze. Tenris, proszę cię tylko o przyrządzenie lekarstwa, bo...

–„Tylko” – przerwał Tenris. – To nie jest byle napar, który można uwarzyć, mieszając chochlą w kociołku. Trzy miesiące minęły, zanim nauczyłem się je przyrządzać. Musiałem wspiąć się na Orle Turnie, by zdobyć korzeń orlego ziela, które rośnie tylko tam. Musiałem w Noc Przesilenia odprawić czar, którego nikt nie odważył się wypróbować od czasu Wielkiej Fali.

Torak oblizał wargi.

–Przesilenie jest za cztery dni. Tenris obrzucił go wzrokiem.

–Nie masz zamiaru się poddać?

–Nie mogę – powiedział Torak. – Klany chorują. Tenris obrócił jajo Morza w dłoni i błysnął groźnie oczyma.

–A czemu nie miałbym posłać cię na Kamień i zatrzymać lekarstwa dla Fok? Torak otworzył usta i natychmiast je zamknął. O tym nie pomyślał.

–Wyciągnij z tego naukę, Torak – ostrzegł Tenris. – Nigdy nie próbuj mierzyć się z

Czarownikiem. A zwłaszcza ze mną.

Torak uniósł brodę.

–Myślałem, że Czarownicy są po to, aby pomagać ludziom.

–A co ty wiesz o Czarownikach? Jesteś tylko myśliwym.

–Kruki cię potrzebują! Wydry, Wierzby, Knury i inne klany też, z tego co wiem! Kto zanieś lekarstwo do Lasu, jeśli mnie pošlesz na Kamień?

Tenris położył ostatnie jajo o swych stóp.

–Jeśli miałbym przyrzadzić lekarstwo, musiałbyś mi pomóc.

Torak wstrzymał oddech.

–Każdego lata – rzekł Tenris – morskie klany świętują Przesilenie na innej wyspie. Tym razem jest kolej na Kormorany. Wielu z nas dzisiaj wyrusza w drogę, wkrótce następni podążą za nimi. Niedługo obóz będzie pusty.

–Zrobię wszystko, co konieczne – powiedział Torak. Ku jego zdziwieniu Tenris zaniósł się śmiechem.

–Tak łatwo się zgadzasz! Nie wiesz nawet, co będziesz musiał zrobić!

–Zrobię wszystko, co konieczne – powtórzył Torak. Tenris patrzył na niego z góry. Przez moment na okaleczonej twarzy pojawił się grymas litości.– Biedny, mały Torak -wymamrotał. – Nie wiesz, na co się właśnie zgodziłeś. Nie wiesz nawet, gdzie jesteś.

Torak spojrzał pod nogi i wreszcie zrozumiał, jaki wzór układał Tenris z jaj Morza. Stali w samym środku ogromnej spirali, jak dwie muchy schwyte w pajęczą sieć.

Renn przeszukała wybrzeże, nie przybliżając się do odnalezienia Toraka nawet okrok.

Wilk szedł jego tropem przez cały dzień i noc, klucząc niestrudzenie wśród drzew. Zawsze jednak powracał do niej biegiem, aby się przekonać, czy nie została zanadto z tyłu.

Gdy dotarł do ujścia Szerokiej Wody, jego podekscytowanie urosło do entuzjazmu. Biegał w tę i z powrotem po piasku, popiskując. Odrzucił łeb do tyłu i zawył. Jego skowyt chwycił za serce.

Renn odnalazła ślady po dwóch ogniskach: dużym i niedbałym na skałach oraz mniejszym, które bez wątpienia rozpałił Torak. Również do niego musiała

należęć linka podwójnych haczyków. Lecz po samym chłopcu nie było śladu. Zupełnie jakby rozpułnął się w Morzu.

Kiedy zapadła noc, Renn skuliła się w śpiworze, wsłuchując w westchnienia fal. Zastanawiała się, co też mogło się przytrafić Torakowi. Pradawna Matka mogła zesać sztorm, chłopiec mógł utonąć w odległości strzału z łuku od brzegu. Przyczajeni mogli go wciągnąć pod wodę swymi długimi, zielonymi włosami...

Zapadła w niespokojny sen. Wilk biegał wzdłuż brzegu przez całą noc i ranek. Nic nie jadł, nie polował i tylko raz zainteresował się fulmarami, których gniazda znalazł wśród skał -na szczęście przelotnie, gdyż piskłeta fulmarów mają w zwyczaju pluć cuchnącym śluzem, Renn zaś nie wiedziała, jak ostrzec Wilka. Obecnie dobiegało południe i wiedziała, że nie mogą dłużej zostać na wybrzeżu.

–Potrzebuję pomocy – odezwała się do Wilka, wiedząc, że nie zrozumie. Musiała się do kogoś odezwać. – Idziesz ze mną?

Uszy Wilka drgnęły w jej kierunku, lecz nie ruszył się z miejsca.

–Może ktoś go widział – ciągnęła Renn. – Drużyna łowiecka, albo... ktokolwiek.

Chodź, idziemy!

Wilk wskoczył na skały i wpatrzył się w Morze.

–Proszę, Wilku. Nie chcę iść sama. Wilk nawet się nie odwrócił.

Miała swoją odpowiedź. Będzie musiała wyruszyć samotnie. Z uczuciem bolesnego zawodu włożyła plecak na ramiona i ruszyła w stronę Lasu. Wilk podniósł pysk i zawył.

Nie wiedział, co robić. Powinien zostać w tym okropnym miejscu i poczekać na brata ze stada, ale powinien też podążyć za samicą do Lasu.

Nienawidził tej okolicy. Biała ziemia kłuła go w oczy, gorące skały gryzły po łapach, a rybie ptaki odpędzały go krakaniem. Przede wszystkim jednak lękał się ogromnego, jęczącego stworzenia, które wiło się przed nim. Miało zimną woń zamierzchłych czasów, którą znał, choć nigdy przedtem się z nią nie zetknął. Gdyby się zbudziło...

Wilk nie rozumiał, dlaczego Wysoki Bezogon poszedł tam, gdzie brat ze stada nie mógł za nim podążyć, nie wiedział, czemu jego zapach mieszał się z wonią trzech obcych bezogonów. Nos powiedział Wilkowi, że były to młode, rozłoszczone samce, które nie pochodziły z Lasu. Należały do Wielkiej Wilgoci.

A teraz samica również odeszła. Wilk słyszał, jak przedziera się hałaśliwie pomiędzy drzewami, jak to bezogony. Wilk wolał, żeby została. Zdarzało jej się zezłościć, lecz potrafiła być też mądra i miła. Czy powinien pójść za nią? Ale jeśli Wysoki Bezogon wróci i nikogo tu nie zastanie?

Wilk zaczął biegać w koło, zastanawiając się, co począć.

Renn nie spodziewała się, że tak bardzo będzie jej brakowało Wilka. Tęskniła za jego ciepłem, kiedy kładł się obok niej, za jego niecierpliwym popiskiwaniami, gdy domagał się łososiowego ciastka. Brakowało jej nawet jego upodobania do ścigania kaczek.

Zabolało ją, że nie poszedł za nią, czuła się bardzo samotna, przeprawiając się po kamieniach przez Szeroką Wodę, aby dostać się do brzoźowego lasu na drugim brzegu. Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, co właściwie robi z dala od swego klanu, w Lesie

nękanym chorobą. Gdyby Torak pragnął jej towarzystwa, poprosiłby o nie. Ściagała przyjaciela, który jej nie potrzebował.

Gdy weszła głębiej w nieruchomy Las, jego całkowita cisza napełniła ją niepokojem. Nie odezwał się żaden drozd. Nie poruszył ani jeden liść.

Powinni być tu przecież jacyś ludzie. Znała tę część Lasu. Gdy miała dziewięć lat, Fin-Kedinn wysłał ją do klanu Wieloryba, by dowiedziała się, jak żyją morskie klany. Wiedziała, że wiele innych klanów poluje wzdłuż wybrzeża: klan Orła Morskiego, Łososia, Wierzby. Wiosną ludzie łowili dorsze, a latem łososie; polowali też na foki oraz śledzie, szukające u brzegu schronienia przed zimowymi huraganami. Tymczasem Las był zupełnie cichy.

Kawałek dalej drzewa nieco się przerzedzały. Spostrzegła kilka sporych szalaszów, skleconych niedbale z gałęzi. Przypominały orle gniazda. Ich widok dodał jej otuchy. Ludzi z klanu Orła Morskiego cechowała otwartość, najbardziej ze wszystkich morskich klanów. Być może bywali wyniośli, lecz zawsze chętnie gościli nieznajomych i nie wzburzało ich wcale mieszanie Lasu z Morzem, gdyż szli w tym za przykładem swego zwierzęcia klanowego, które polowało i w jednym, i w drugim.

Jednak ten obóz był opuszczony. Ogniska zostały zdeptane, w powietrzu dało się jeszcze wyczuć gorzki zapach dymu. Renn uklękła i dotknęła popiołu. Był jeszcze ciepły. Podeszła do środkowego ogniska i obejrzała kilka muszli po omułkach. Wciąż wilgotne. Orły Morskie dopiero co odeszły.

Usłyszała za plecami czyjś oddech.

Odwróciła się.

Dobiegał z pobliskiego szalasu. Wyjęła nóż i ruszyła w tamtą stronę.

–Kto tu jest?

Z ciemnego wnętrza dobiegł ją gardłowy bulgot. Zatrzymała się. Ciemność eksplodowała. Renn odskoczyła z krzykiem.

Jakaś istota pędziła w jej stronę. Wtem zatrzymała się gwałtownie. Osłupiała Renn dojrzała więzy z plecionej, surowej skóry na nadgarstkach napastnika oraz

długi sznur, ciągnący się do wnętrza szałas.

–Co ty wyprawiasz? – rozległ się krzyk za nią. Silne dłonie pochwyciły ją i odciągnęły. – Też jesteś chora? – krzyknął mężczyzna, który ją schwytał, i odwrócił Renn za

ramiona. – Odpowiadaj! Jesteś chora? Co ci się stało w rękę?

–T...to ugryzienie – zająknęła się. – To ugryzienie, nie jestem chora...

Zignorował jej odpowiedź i brutalnie odwrócił głowę dziewczyny, aby przyjrzeć się jej twarzy i włosom. Dopiero gdy się upewnił, że nie ma skrzepów i bąbli, puścił.

–Nie jestem chora – powtórzyła. – Co tu się dzieje?

–To samo, co gdzie indziej – mruknął.

–Choroba – powiedziała Renn.

Stworzenie, które kiedyś było człowiekiem, kołysało się w przód i w tył u wejścia do szałas, parsając i pochlipując. Naga skóra świeciła na jego czaszce w miejscach, gdzie wrywało sobie włosy pełnymi garściami. Oczy kleiły się od ropy.

Mężczyzna spojrzął w tamtą stronę i na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia.

–Był moim przyjacielem – wyjaśnił. – Nie potrafiłem go zabić. Byłoby lepiej dla niego – odwrócił się do Renn. – Kim jesteś? Co tutaj robisz?

–Mam na imię Renn – odpowiedziała. – Jestem z klanu Kruka. A wy?

–Jestem Tiu. – Podniósł lewą dłoń, by zobaczyła tatuaż klanowy: czteropalczysty, szponiasty znak Orła Morskiego.

–Co będzie z twoim przyjacielem? – spytała Renn. Tiu podszedł do drzewa i podniósł opartą o nie włócznię do łowienia ryb.

–Za kilka dni uda mu się przegryźć więzy. Będzie miał tyle samo szans na przeżycie, co i my.

–Ale... on może zrobić komuś krzywdę. Tiu potrząsnął głową.

–Nas dawno już tutaj nie będzie.

–Opuszczacie Las? – zdziwiła się Renn.

Tiu spojrzął na przyjaciela po raz ostatni i opuścił polanę, ruszając na zachód. Renn pobiegła za nim.

–Płyniemy na wyspę Kormoranów – powiedział. – W tym roku przypada ich kolej na zorganizowanie święta Przesilenia. W przeciwieństwie do niektórych nie obawiają się naszego przybycia.

–A co z innymi klanami? – spytała Renn, kiedy dotarli do usianej szałasami zatoki. Wszędzie wokół ludzie w pośpiechu załadowywali przysadziste łodzie ze skóry.

–Wieloryby i Łososie wyruszyły na wyspę Kormoranów kilka dni temu. Klan Wierzby odszedł na północ – Tiu obrzucił ją ostrym spojrzeniem. – A ty? Dlaczego opuściłaś swój klan?

–Szukam przyjaciela. Może go widziałaś? Ma na imię Torak. Jest szczupły, trochę wyższy ode mnie, ma czarne włosy i...

–Nie – odrzekł Tiu i odwrócił się, by pomóc kobiecie przy jakimś tobołku.

–Ja go widziałem – zawołał młodzieniec wrzucający zwoje lin na pokład łodzi.

–Kiedy? – krzyknęła Renn. – Gdzie? Nic mu nie jest?

–Zabrały go Foki – zabrzmiała odpowiedź. – Więcej go nie zobaczysz.

>=>=>

–Kilka dni temu zjawilo się tutaj trzech chłopców z klanu Foki – opowiadał chłopak imieniem Kyo. – Mieli ze sobą krzemień i ubrania z foczej skóry, ale nie miałem ochoty na wymianę, więc się nie pokazywałem – zmarszczył brwi. – Wieloryby zgodziły się na handel. Tak bardzo potrzebowali jaj Morza, że nie powiedzieli Fokom o chorobie, żeby ich nie odstraszyć...

–Co z Torakiem? – przerwała Renn. – Mówiłeś, że zabrali go ze sobą.

–Widziałem tylko jakiegoś chłopca w ich łódce – powiedział Kyo. –

Ciemnowłosego. Wyglądał tak, jak mówiłaś. Szczupły, z zaciętą twarzą. Poobdrapywany. Nie poddał się bez walki.

Renn zacisnęła pięści.

–Dlaczego go zabrali?

Kyo wzruszył ramionami.

–Kto tam wie, co sobie myślą Foki? Nie są tacy jak my, nigdy nie nauczyli się życia w pokoju z ludźmi Lasu.

–Muszę się dostać na ich wyspę – oznajmiła Renn. Tiu parsknął.

–To niemożliwe.

–Przecież płyniecie na wyspę Kormoranów – odparła. – A ich wyspa leży całkiem blisko wyspy Fok, prawda?

–Niczego nie rozumiesz – rzekł gniewne Tiu. – Jak dotąd nie wdawaliśmy się w spory z Fokami i nie zamierzamy tego zmieniać!

–Mojemu przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo!

–Wszystkim nam grozi! – krzyknął Tiu.

Renn przyjrzała się zatroskanym twarzom otaczających ją ludzi. Jak ich przekonać?

–Musicie wiedzieć o jednym – odezwała się. – Mój przyjaciel, Torak, jest w stanie

robić rzeczy, których nie potrafi nikt inny. Możliwe, że uda mu się zdobyć lekarstwo.

Tiu skrzyżował ręce na piersi.

–Zmyślasz.

–Wcale nie. Posłuchaj. Opowiem ci, kim on jest. – Co prawda robiąc to, sprzeciwiała

się poleceniom Fin-Kedinna, ale Wodza Kruków tutaj nie było. – Wszyscy wiemy, co

wydarzyło się ostatniej zimy – zaczęła. – Zjawił się niedźwiedź.

Ludzie przerwali swoje zajęcia i przysunęli się bliżej.

–Zabił kilku naszych – ciągnęła Renn. – Zabijał też tutaj, prawda? Dwie osoby z klanu

Wierzby poniosły śmierć. Słyszałam, że porwał wam dziecko.

Tiu wzdrygnął się.

–Po co o tym gadać? Co to da?– Chodzi o to – nie ustępowała Renn – że to właśnie mój

przyjaciel uwolnił Las od niedźwiedzia.

Tiu wbił w nią wzrok.

–Mówiłaś, że to tylko chłopiec...

–To nie jest zwykły chłopiec. Fin-Kedinn by to potwierdził, gdyby był tutaj.

Znacie Fin-Kedinna?

Tiu pokiwał głową.

–Cieszy się szacunkiem wielu klanów.

–To mój wujek. Potwierdziłby moje słowa.

Renn przypatrywała się z niepokojem, jak Tiu dyskutuje z pozostałymi, odciągawszy ich na bok. Wrócił po chwili.

–Przykro mi. Nie chcemy sporów z Fokami.

–Więc nie zabierajcie mnie do ich obozu – zaproponowała. – Wysadźcie mnie gdzieś na ich wyspie, sama znajdę drogę.

Kyo zwrócił się do Tiu.

–Na południowy zachód od ich obozowiska jest mała zatoka. Moglibyśmy ją tam wysadzić. Nie zauważą nas.

–Dałabym jej morski strój – odezwała się jakaś kobieta. – Mogę też przeprowadzić rytuał oczyszczający na drogę. Tiu, to tylko dziewczynka, nie możemy zostawić jej tu samej.

Tiu westchnął, zwracając się do Renn:

–Prosisz o bardzo wiele.

–Wiem – odrzekła.

Umilkła, widząc za krzakiem jałowca parę błyszczących oczu.

Bursztynowych. Serce zatrzepotało jej radośnie.

Odwróciła się do Tiu, podniecona.

–Chcę poprosić o coś jeszcze.

–Co takiego?

Zapanowała powszechna wesołość.

Orły Morskie w pośpiechu opuszczały swój obóz, pozostawiając za sobą dwóch zmarłych oraz mężczyzną w obłędzie, jednakże widok młodego wilka, pokrytego od uszu do łap śluzem fulmarów, doprowadził wszystkich do śmiechu.

–Jego nawet nie trzeba poddawać rytuałowi – zauważył ktoś. – Zdaje się, że sam

zadbał o to, by się oczyścić.

Renn najchętniej otoczyłaby szyję Wilka ramionami, nie zważając na śluz, ale zadowolona się delikatnym powitaniem, drapiąc go w bok.

Wilk słabo zamachał ogonem. Wyglądał na nieszczęśliwego. Cały łeb miał umazany ptasim śluzem, a jeszcze pogorszył sprawę, próbując wytrzeć go w piasek. W dość nieprzyjemny sposób nauczył się unikać piskląt fulmarów.

–Sądziłam, że lubisz silne zapachy – powiedziała do niego Renn.

Wilk potarł pyskiem o jej kaftan, bezskutecznie usiłując pozbyć się kłopotliwej mazi. Tiu przebiegł obok z tobołkiem w rękach.– Jeżeli uda ci się zapędzić go do mojej łodzi – rzucił przez ramię – możesz go wziąć ze sobą. Jeśli nie, zostawiamy go.

–Nie zostawię go tutaj – powiedziała Renn.

–To się pośpiesz! Wyływamy!

–Chodź, Wilku – zawołała Renn, biegnąc w stronę łodzi.

Wilk nie ruszył się nawet o krok. Stał z szeroko rozstawionymi przednimi łapami, sierścią zjeżoną na karku i wpatrywał się w łódkę podskakującą dziko na płyciźnie. Renn poczuła ściskanie w sercu.

Nie trzeba było znać wilczej mowy, żeby zrozumieć, co mówił. Ja tam nie wejdę. Nigdy, nigdy, nigdy.

T orak znów śnił o Wilku, lecz tym razem Wilk ostrzegał go. Urffl Urff!

Uwaga!Cień! Polowanie!

Co za cień? – pytał Torak. Gdzie? Ale Wilk był coraz dalej i dalej – a Torak nie mógł za nim pobiec, gdyż coś go trzymało.

–Puść mnie! – krzyknął, machając na oślep pięściami.

–Wstawaj! – rzucił Bale.

–Co? – Torak otworzył oczy.

Znajdował się w szalasi Fok. Przez szparę w zastłonie sączyło się światło słoneczne.

Minął dzień od rozmowy z Tenrisem na Grani. Cały, długi dzień oczekiwania,

podczas którego Czarownik Fok starał się przekonać Istinna, że nie powinien wysłać Toraka na Kamień. Tymczasem zbliżało się Przesilenie, a Las pustoszyła choroba...

–Kim jest Wilk? – zapytał gwałtownie Bale.

–Co takiego? Nikim. O co ci chodzi? Bale nie dał się zwieść.

–Nawet się nie obudziłeś, a już kłamiesz – skwitował z niesmakiem.

Torak nie odpowiedział. Sen zaległ na jego barkach jak brzemię. Cięż.

Polowanie. Co Wilk chciał mu przekazać? Ostrzegał przed Dręczycielem? A może czymś innym?

–Wstawaj – powtórzył Bale, kopiąc go w udo.

–Po co? Idziemy dzisiaj do Turni?

–Jutro. Dzisiaj będę cię uczyć pływać w łodzi ze skóry.

–Ty? Dlaczego ty?

–Spytaj Tenrisa. To jego pomysł. – Ton chłopca dawał wyraźnie do zrozumienia, że zachwyca go to nie bardziej niż Toraka. – Zjedz coś i na wybrzeże! Przygotuję łodzie.

–Ale dlaczego Bale? – spytał Torak, gdy odnalazł Czarownika Fok zbierającego

wodorosty pośród skal. – Dlaczego nie ktoś inny? – Ktokolwiek, pomyślał. Czarownik Fok uśmiechnął się do niego przewrotnie.

–Rozumiem, że to podziękowanie za to, że ocaliłem cię od Kamienia.

–Ale przecież właśnie Bale, ze wszystkich innych...

–...najlepiej sobie radzi z łodzią – wszedł mu w słowo Tenris. – Weź kosz i patrz. Może się czegoś nauczysz.

–Ale...

–To brunatnica – powiedział Tenris, chwytając długą łodygę skórzastej rośliny

brązowego koloru. – Jeśli ją wysuszyć, twardnieje jak to. – Postukał w rękojeść noża. – Kiedy

ją wyplukać w słodkiej wodzie i namoczyć w foczym tłuszczu, da się z niej zrobić linę.

Widziałeś, jak ją odciąłem? Trzeba zawsze zostawić końcówkę przy skale, żeby mogła odrosnąć. To bardzo ważne.

Torak milczał krnąbrnie, więc Czarownik Fok przerwał swój wykład.

–Bale będzie ci potrzebny – rzekł. – Podobnie jak Asrif. Nie ma sobie równych we wspinaczce. Detlan też pójdzie z wami. Jego siła może wam się przydać.

–Wszyscy trzej?

–Torak, sam sobie nie poradzisz.

–Wiem. Myślałem, że ty pójdziesz. Ty wcześniej znalazłeś korzeń. Dlaczego nie miałbyś zrobić tego po raz drugi?

Chłopiec czuł sympatię do Czarownika Fok. Przypominał mu Fin-Kedinna, choć był łagodniejszy i nie tak odległy.

Tenris westchnął i dotknął pokrytej bliznami twarzy.

–Ogień, który to sprawił, nie spalił mnie tylko na zewnątrz. Poparzył mi też płuca. – Wrzucił kawałek brunatnicy do kosza. – Nie byłoby ze mnie wielkiego pożytku na Turniach.

–Nie miałem pojęcia – zawstydził się Torak. – Przykro mi.

–Mnie też – powiedział Tenris miękko. – Posyłam ich z tobą jeszcze z innego powodu. To twoi krewni klanowi, Torak. Czy tego chcesz, czy nie, powinieneś zdobyć ich zaufanie.

–Nie zależy mi na nim – odparł Torak.

–A powinno – Czarownik mówił łagodnie, lecz nuta mocy zabrzmiała w jego głosie aż nazbyt wyraźnie. – Skup się na Bale’u. Jeżeli z nim ci się uda, reszta pójdzie za jego przykładem. I, Torak, jeszcze jedno. – W kąciku jego ust błąkał się uśmieszek. – Lepiej, żebyś się szybko uczył.

–Nie, nie, nie! – krzyknął Bale, wiosłując w stronę łódki Toraka z rozwścieczającą łatwością. – Zaprzyj się nogami o burty. Jeśli trzęsie, balansuj ciężarem ciała, nie, nie aż tak, wyrócisz ją.

Wyciągnął rękę i unieruchomił rozchybotaną łódź Toraka.

–Mówię ci! Wiosło nie do tego służy! Balansuj biodrami i udami, nie rękoma! Na polowaniu będziesz potrzebował obu rąk, żeby wciągnąć fokę na pokład.

–Byłoby łatwiej, gdyby się tak nie bujała – mruknął Torak.

Łódź nie zanurzała się prawie wcale, a głębokość kadłuba nie przekraczała długości noża. Jeden niewprawy ruch i przewracała się do góry dnem. Czuł się jak żuk na gałązce niesionej przez fale.

–To nie wina łodzi – powiedział Bale. – To twoja wina.

–Dlaczego jest taka płytka?

–Z wyższymi burtami traciłbyś niepotrzebnie siły na walkę z wiatrem. Spróbuj jeszcze raz. Nie! Mówiłem ci! Nie trzep wiosłem w wodę. Tnij ją! Masz to robić cicho, zupełnie cicho!

–Staram się! – rzucił Torak przez zaciśnięte zęby.

–Staraj się bardziej – krzyknął Bale. – Nie macie w Lesie łodzi?

–Oczywiście, że mamy! – Jak bardzo Torak tęsknił teraz do łodzi wyrobu Knurów, wycinanych z pni drzew! Albo niezawodnych łodzi Kruków ze skóry jelenia! – Są duże, solidne i nigdy...

–Duże i solidne na niewiele się przydadzą na Morzu – uciął Bale szyderczo.
– Łódź o zaokrąglonym dnie tworzy bąbelki powietrza, które foki dostrzegają z odległości pięćdziesięciu rzutów harpuna. Gdyby kadłub nie odwracał się tak łatwo, złamałby się przy pierwszej cięższej fali. Nie, nie! Po falach, nie przez fale! Masz sunąć po ich powierzchni, jak kormoran...

Potężna fala uderzyła w dziób łodzi Toraka, zalewając go strugami wody.

Dzieci na brzegu wybuchnęły śmiechem. Najmniejsze bawiły się w łódkach ze skóry w dołach wykopanych w piasku, wypełnionych skrawkami foczej skóry. Większe pluskały się w łodziach dla początkujących. W przeciwieństwie do Toraka nie musiały się obawiać wywrócenia, gdyż ich łodzie wyposażono w przedłużone poprzeczki oraz przywiązane po obu stronach worki z foczych wnętrzności, wypełnione powietrzem.

Kiedy Bale zagroził Torakowi, że każe mu się uczyć w łodzi dla początkujących, chłopiec był wściekły. Teraz jednak, wyczerpany po całym dniu prób, czuł wielką pokusę, by ich spróbować. Bale był bezlitosnym nauczycielem, nie dawał mu chwili wytchnienia. Bez wątpienia miał nadzieję powiedzieć Tenrisowi, że Torak nie nadaje się na wyprawę.

Wyglądało na to, że jego życzenie się spełni. Torak był przemoczony, głowa rozboleła go od słonecznego blasku. Uda i ramiona krzyczały o chwilę odpoczynku, ramiona drżały z wysiłku. Ledwo mógł utrzymać wiosło, nie mówiąc o równowadze.

Co gorsza, Bale radził sobie z łódką znakomicie. Potrafił jednym ruchem nadgarstka skierować ją tam, gdzie chciał, i stał na pokładzie tak swobodnie, jak na suchym lądzie. W dodatku wcale się nie popisывał. Czuł się tak swojsko w łódce, że nawet o tym nie myślał.

Wiatr się wzmógł i Torak miotał się jak oszalały, by nie przewrócić łodzi. Starszy chłopiec zbliżył się doń i zwinnie unieruchomił łódź, zatknąwszy jedno z piór wiosła pod poprzeczką, podczas gdy drugie zostało w wodzie. Dzięki temu obie ręce miał wolne.

–Powinieneś robić to znacznie lepiej – orzekł i schylił się, by czerpakiem wybrać wodę z łodzi Toraka.

–Ach tak? – prychnął Torak. – Bo co? Zostawicie mnie?

–Tak. Mam nadzieję, że tak.

–Daj mi szansę. Miałem jeden dzień na naukę. W jakim wieku ty zacząłeś pływać? Sześciu lat?

–Pięciu. – Zerknął na początkujących na płyciźnie i cień smutku zasnuł mu twarz. – Mój brat zaczynał jeszcze wcześniej.

–Po prostu daj mi szansę – powtórzył Torak. Bale pomyślał przez chwilę.

–Popłyn tam – wskazał. – Będę za tobą. Tym razem nie myśl o każdym pociągnięciu wiosłem. Po prostu nie spuszczaaj oczu z wody i płyn najszybciej, jak potrafisz.

Torak odwrócił łódź we wskazanym kierunku i zaczął wiosłować.

Przez chwilę zdołał osiągnąć jedynie to, co dotychczas, jego łódź brykała jak zając na wiosnę, a fale biły go boleśnie po twarzy.

Potem, prawie niezauważalnie, coś się zmieniło. Jakby odnalazł rytm właściwego wiosłowania. Pióra cięły wodę bez rozprysków, z każdym pociągnięciem czuł moc Morza pod sobą – pod sobą, zamiast przeciw sobie. Coraz szybciej i szybciej – i raptem łódź skoczyła do przodu, a on zaczął ślizgać się po falach, prędko i wolno jak mewa.

–Już wiem! – krzyknął.

Bale dogonił go, przypatrując się z pełnym powagi skupieniem.

–Cudowne! – wołał Torak. – To jest cudowne!

Bale powoli pokiwał głową. Widać to nie on miał się śmiać ostatni.

Gwałtowny szkwał uderzył w łódź Toraka, odwracając ją w stronę starszego chłopca. –Skręcaj! – wrzasnął Bale. – Mocno! Mocno! Staranujesz mnie!

Zmagając się z wiatrem, Torak włożył wiosło do wody, a ono szarpnęło nim gwałtownie i niemal wyrzuciło za burtę. Zobaczył, że pióro się odłamało.

–Uważaj! – wołał Bale, widząc, że Torak przechyla się niebezpiecznie w jego stronę.

–Nie mogę jej wyprostować!

Bale włożył wiosło do wody i wystrzelił przed siebie – w samą porę, by uniknąć zderzenia. Tymczasem łódź Toraka odwróciła się do góry dnem.

Ubranie ciągnęło go w dół. Poczował ulgę, kiedy zjawił się Bale i chwycił go za kołnierz kaftana.

–Co ty wyprawiasz? – wrzeszczał chłopiec. – Chciałeś nas obu utopić?

–To był wypadek! – wykaszał Torak.

–Wypadek? Chciałeś mnie staranować! – Z furią odwrócił łódź Toraka i przytrzymał dziób, podczas gdy Torak wdrapywał się na pokład.

–To był wypadek! – wysapał Torak. – Złamało mi się wiosło!

–To niemożliwe. Robimy je z najtwardszego drewna...

–Więc co to jest? – Torak potrząsnął tym, co zostało z jego wiosła. – Skoro są takie mocne, dlaczego moje złamało się jak gałązka? – Umilkł, oglądając złamany koniec.

Ktoś go podpiłował. Jedynie do połowy, aby można go było używać. Wystarczyło jednak jedno mocniejsze pociągnięcie, żeby się odłamało.

–Co jest? – zapytał Bale.

Myśli Toraka popłynęły do Dręczyciela. Niemniej mógł to zrobić ktokolwiek: Bale, Asrif, Detlan – albo ktoś inny z klanu Foki.

Bez słowa podał wiosło Bale'owi. Ten wziął je i przyjrzał się uważnie. Od razu zauważył nacięcie.

–Myślisz, że ja to zrobiłem – stwierdził.

–A zrobiłeś? – Nie!

–Sam mówiłeś, że nie chcesz, żeby mi się udało.

–Bo będziesz nas tylko opóźniał albo wpakujesz się w kłopoty i trzeba cię będzie ratować.

–Nieprawda – powiedział Torak z przekonaniem, którego wcale nie czuł. – Chcemy tego samego, Bale. Chcemy zdobyć lekarstwo.

–A ja mam uwierzyć, że mój klan też jest w niebezpieczeństwie! – sarknął Bale. – Tylko dlatego, że udało ci się wywinąć od Kamienia?

Torak wbił w niego wzrok.

–Co masz na myśli?

–Nie wiem, co za bajeczkę opowiedziałeś Tenrisowi na Grani – powiedział chłopiec. – Wiem natomiast, że jesteś tchórzliwym, małym kłamcą, który robi wszystko, żeby ocalić swoją skórę! – Cisnął Torakowi złamane wiosło. – Może dlatego tak szybko uznałeś, że mógłbym coś takiego zrobić. Bo takie właśnie macie w Lesie zwyczaje!

Obrażliwe słowa Bale'a rozbrzmiewały Torakowi w uszach, kiedy pełen znużenia podążał z powrotem na wybrzeże. Starszy chłopiec szedł przodem, niosąc swą łódkę. Dotarłszy na miejsce, odłożył ją na ramę. Dla niego nie było już o czym gadać.

Nie uda ci się tego dokonać samemu, powiedział Tenris. Musisz zdobyć ich zaufanie. Skup się na Bale u... inni pójdą za jego przykładem.

Miał rację i Torak o tym wiedział. Musi udowodnić Bale'owi, że nikogo nie oszukał.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Jeśli zdoła dowieść, że na wyspie przebywa Dręczyciel, Bale będzie musiał mu uwierzyć.

Znajdź ślad, powiedział sobie. Nawet Bale nie będzie się wtedy spierał.

A to powinno się udać. Być może Torak nie radził sobie najlepiej z łódką ze skóry, jednakże z pewnością wiedział, jak tropić.

Gdy dotarł na południowy kraniec zatoki, zapadał już zmierzch – a raczej błękitna poświata, na krótko spowijająca niebo przed nocą o tej porze roku. Zbliżało się Przesilenie. Pozostawiwszy łódkę na plaży, Torak pokonał strumień i rozpoczął mozolną wędrówkę wzdłuż brzegu. Rybitwy unoszące się nad nim raz po raz nurkowały w stronę chłopca, lecz on nie zwracał uwagi na ptaki.

Pora sprzyjała tropieniu: niedostatek światła wyostreza cienie. Z zadowoleniem przyjął również to, że ludzie z klanu Foki zaprzątnięci byli rozpalaniem ognisk na wieczorny posiłek. Nikt więc nie zauważył, gdzie poszedł, a on nie był w nastroju na wyjaśnienia.

W miękkim błocie nie dostrzegł żadnych śladów. Ale kawałek dalej, na trawie: nikły ślad, pozostawiony przez coś niewielkiego – Dręczyciela? – plama wilgoci w miejscu, którym przeszła jakaś istota.

Niełatwo było iść tym tropem – jak zawsze, w wypadku śladów wilgoci – lecz Torak skorzystał ze sztuczki, którą pokazał mu kiedyś ojciec. Odwrócił głowę na bok i zaczął zerkać w stronę śladu kątem oka.

Po kilku nieudanych próbach dotarł wreszcie do nachylonych ku Morzu skał upstrzonych skałoczepami. Za nimi, na samym skraju zatoki, rósł brzozowy zagajnik. Ku swemu zaskoczeniu Torak odkrył, że ślady nie wiodą w stronę drzew, lecz na skały. Odnalazł maleńki kawałek oderwanego porostu, w nozdrza zaś uderzyła go woń zgnilizny, którą pozostawił po sobie Dręczyciel, przedzierający się pośpiesznie przez kupę wyschłych wodorostów.

Wreszcie, na piasku przyniesionym przez poprzedni przypiływ, dostrzegł to, czego szukał: wyraźny odcisk stopy uzbrojonej w pazury. Bardzo świeży. Pozostawiony tak niedawno, że mrówki i inne insekty nie zdążyły zniekształcić krawędzi.

Spójrz tutaj, Bale, krzyknął w duchu Torak.

Z lewej strony dobiegł go rechot – i oto był tam: mała, przygarbiona postać spowita całunem długich włosów przypominających spleśniałe wodorosty.

Torak był zbyt podniecony, by się przestraszyć. Znalazł dowód, którego potrzebował. Jeśli pochwyci Dręczyciela, Bale będzie się musiał uznać za pokonanego.

Istota odwróciła się i zaczęła umykać.

Chłopiec z trudem podążył za nią.

Jego bosa stopy ślizgały się na porostach, w głowie zaś rozbrzmiewał ostrzegawczy głos. Nic nie uszczęśliwiłoby bardziej Dręczyciela, niż gdyby Torak stoczył się ze skały do Morza.

Dotarł do skalnej rozpadliny, przez którą spienione Morze posyłało w górę fontanny wilgoci. Szczelina była zbyt szeroka, żeby ponad nią przeskoczyć, lecz Dręczycielowi niewiadomym sposobem udało się ją pokonać. Już był po drugiej stronie: płonące nienawiścią oczy prowokowały Toraka do skoku.

– Och nie – wysapał chłopiec. – Taki głupi nie jestem!

Dręczyciel syknął, obnażając brązowe zęby, po czym połknął go mrok, klekot szponów na skałach szybko cichł.

Torak zaczął pędem okrążyć rozpadlinę, ku miejscu, w którym wodorosty były suche i mniej zdradzieckie. Przemknęła mu przez głowę myśl, dlaczego w samym środku tej całej wilgoci znalazł się skrawek pokryty suchymi wodorostami...

Zbyt późno... Wodorosty rozstąpiły się pod jego stopami i chłopiec wpadł do Morza. Torak, ty głupcze! Wilczy dół! Najprostsza możliwa pułapka!

Zimno odjęło mu dech, pokryły go wodorosty. Ubijał wodę nogami, aby utrzymać się na powierzchni, szukając jednocześnie miejsca na skałach, gdzie mógłby się jakoś podciągnąć. Fala okazała się wyższa, niż myślał, oglądając ze skał, nie powinna była jednakże sprawić mu większego kłopotu – co najwyżej ucierpi na tym wszystkim duma Toraka. Dręczyciela, rzecz jasna, nigdzie już nie znajdzie.

Usiłując zgarnąć wodorosty oblepiające mu twarz, szukał uchwytu. Wodorosty nie chciały ustąpić, nie był w stanie ich zdjąć z twarzy – i nie mógł też precyzyjnie przecisnąć przez nie dłoni.

Bo to nie wodorosty, zdał sobie raptem sprawę. To powiązane ze sobą liny z brunatnie, gdyż wpadł w sieć na foki. Wpadłeś w sieć na foki! Zapewne stało się właśnie to, czego chciał Dręczyciel.

Fala rzuciła nim o skałę, wyciskając powietrze z płuc. Utrzymywanie się na powierzchni stawało się coraz trudniejsze, gdyż sieć oplatała mu nogi, wstrzymując ruchy. Najwyraźniej przywiązano ją u szczytu skał i czymś obciążono, na przykład kamieniem, bo z trudem udawało mu się utrzymywać głowę i ramiona nad wodą.

Bale miałby teraz niezły ubaw! – pomyślał z goryczą. Będą mieć mnóstwo uciechy, kiedy mnie znajdą w foczej sieci w odległości strzału z łuku od obozowiska!

Gdyby miał przy sobie nóż, łatwo by się uwolnił, ale Foki nie ufały mu na tyle, by oddać mu broń. Musiał wołać o pomoc i wytrwać nieuniknione kpiny.

–Pomocy! – krzyknął. – Jestem tutaj! Niech ktoś mi pomoże!

Wiatr uganiał się ze świstem po zatoce. W górze krzyczały rybitwy. Morze hałaśliwie uderzało o skały.

Nikt się nie zjawił. Nie mogli go słyszeć.

Młócenie wody nogami robiło się coraz bardziej męczące. I, dziwna sprawa, fala zdawała się podnosić: woda sięgała już brody chłopca.

W tej właśnie chwili uderzyła go prawda i Torak zaczął się bać. Tkwiał w sieci, obóz znajdował się poza zasięgiem jego głosu, a poziom wody się podnosił.

Szybko.

P oziom wody podnosił się nieubłaganie i Torak musiał walczyć o utrzymanie

brodynad jej powierzchnią. Fale raz po raz ciągnęły w tył, by zaraz potem rzucić nim brutalnie o skałę. Morze chciało odebrać mu dech. Słona woń wielkiej Matki osiadła w krtani Toraka, jej nieustające jęki wypełniły mu głowę. Pochwyciła go i nie miała zamiaru uwolnić.

W duchu spróbował zbliżyć się do niej i myślał, co począć. Musi być przecież jakiś otwór w sieci. W końcu w nią wpadł, więc wyjście też musi się znaleźć. Ale dziwnym sposobem nie chciało się znaleźć.

Sieć była gęsta – nie był w stanie precyzyjnie przecisnąć pięści przez oczka – węzły zaś twarde jak kamyki. Próby ich rozplątywania zgrabiałymi z zimna palcami byłyby oczywistą stratą czasu. Sznury z brunatnie okazały się tak trwałe, że nie mógł ich porozrywać rękami ani przegryźć.

– Muszą być mocne, jeśli mają przytrzymać dorosłą fokę – objaśniał mu Detlan podczas porannego posiłku. – Są bardzo mocne.

Gdyby tylko miał nóż... Bo czego jeszcze mógł użyć?

Fala ponownie cisnęła nim o kamień, muszle skałoczepów pozostawiły bolesne otarcia.

Skałoczepy. Ich muszle mają przecież ostre krawędzie! Jeśli tylko zdoła odzepić jedną od skały, może wtedy...

Fala pochwyciła go, pociągnęła wstecz i raz jeszcze cisnęła o skałę. Płynąc w stronę powierzchni, słyszał niekończący się śmiech Morza.

Nie słuchaj tego, nakazał sobie. Słuchaj siebie, wsłuchaj się w krew, która dudni ci w uszach – słuchaj, czego chcesz, byle nie tego...

Wciąż młóćąc nogami, aby utrzymać się na powierzchni, precyzyjnie kciuk i jeszcze dwa palce przez oko sieci, po czym chwycił najbliższą muszlę.

Skałoczep przywarł ściśle do skalnej powierzchni i nie pozwalał się oderwać. Torak jęczał, bezskutecznie mocując się z muszlą. Jakby stała się częścią skały!

Raptem przyszedł mu na myśl czarno-biały ptak, który zjadał skałoczepy na brzegu. Na wyspie Fok było ich więcej, Detlan nazywał te ptaki Łowcami Małży. Torak przypomniał sobie, jakim sposobem ptak dziobem odrywał muszle od skały: jednym, gwałtownym ruchem, nie dając skałoczepom czasu na przywarcie do twardej powierzchni.

Chłopiec odnalazł kolejną muszlę i spróbował tego samego, uderzając w nią gwałtownie pięścią. Podziałało. Tyle że skałoczep wyslizgnął się z jego palców, kołując, pomknął w dół, gdzie Torak nie mógł go już dosięgnąć, i wkrótce był poza siecią.

Raz jeszcze rozległ się wokół wszechobecny śmiech Morza.

Nie wygrasz ze mną, szeptała mu do ucha pradawna Matka. Poddaj się,

poddaj!

Nie! Zakrzyknął w duchu. Jeszcze nie teraz!

Krzyk zmienił się w szloch. Nie teraz. Musi zdobyć lekarstwo i zapewnić klanom bezpieczeństwo. Chce jeszcze zobaczyć się z Wilkiem, Renn, Fin-Kedinnem...

Gdyby tylko ten głaz nie ciągnął sieci w dół, byłaby jakaś szansa.

Myśl uderzyła go niczym policzek i otrzeźwiła. Jeśli tylko pozbędzie się kamienia obciążającego, przyływ stanie się sprzymierzeńcem chłopca: Matka będzie musiała, wbrew sobie, unosić go coraz wyżej i wyżej, aż na powierzchnię skał.

Więc po co zawracasz sobie głowę skałoczepami? – pomyślał szaleńczo. Nurkuj i pozbądź się tego kamienia!

Wziął głęboki oddech i zanurkował.

Zanurzył się w jej przerażający świat, w wirujący chaos czarnej wody i mrocznych wodorostów. Nie widział liny, do której przywiązany był kamień obciążający, nie był nawet w stanie odróżnić góry od dołu.

Wynurzył się ponownie, chwytając ustami powietrze. Woda znów się podniosła, utrzymywanie ust ponad powierzchnią kosztowało niemało wysiłku. Sól piekła w wargi, krtań, oczy. Nogi stały się ciężkie, myśli zamglone z zimna.

–Pomocy! – krzyknął. – Niech ktoś mi pomoże! – Krzyk zakończył się przerażającym bulgotem.

Było coraz ciemniej i Torak ledwie mógł cokolwiek zobaczyć: jedynie skałę mającą nad nim i granatowe niebo pełne bladych gwiazd, które z każdą chwilą wydawały się bardziej od niego oddalać...

Tonął. Czekala go najgorsza możliwa śmierć. Wkrótce pradawna Matka wycisnie z niego resztki życia i rozdzieli dusze, które bez Znaków Śmierci nigdy się już nie odnajdą na powrót, a on zmieni się w morskiego demona, skazanego na wieczną tułaczkę, wypełnionego nienawiścią do wszystkiego, co żyje...

Fala chlusnęła mu w twarz, a morska woda napełniła gardło...

Ja nie znam litości i nienawiści – mamrotała do niego pradawna Matka. Obce mi dobro izło. Jam potężniejsza od słońca, jam wieczna. Morze to ja.

Był zmęczony. Nie mógł dłużej ubijać wody nogami, musiał przestać choć na chwilę, odpocząć.

Poszedł w dół, a Matka pochwyciła go w objęcia – ściskając coraz mocniej i mocniej, niemal rozsadzając mu pierś...

Srebrzysty błysk przemknął przez ciemność.

Ryba, pomyślał w odrętwieniu. Mała rybka. Capelin?

W jednej chwili zjawilo się ich więcej, cała rozmigotana ławica przybyła

przypatrywać się umieraniu tej dziwnej, wielkiej istoty.

Wciąż opadał, srebrzyste strzałki spowiły go spienioną rzeką, a Matka ścisnęła coraz mocniej w objęciach...

Głęboko w żołądku poczuł szarpnięcie gwałtownego bólu, jakby coś rozrywało mu wnętrzności. Raptem, całkiem niespodziewanie, uwolnił się od jej miażdżącego uścisku, nie czuł już zimna i nie otaczał go mrok. Sieć nie ciągnęła go w dół, a sól nie paliła w krtani. Nie słyszał już nawet dudnienia własnej krwi. Czuł się lekki i zwinny jak ryba – i podobnie jak ryba nie czuł ciepła ani zimna. Był częścią Morza.

Wszystko stało się takie wyraźne! Mrok pierzchnął. Skała, rozkołysane krzewy wodorostów, capeliny kłębiące się wokół – wszystko stało się tak żywe i klarowne, choć zarazem w dziwny sposób rozciągnięte na krawędziach. W jakiś niepojęty sposób Torak stał się rybą. Wyczuwał maleńkie poruszenia wody, wywoływane przez każdego przepływającego w pobliżu capelina; wyczuwał ostrożne zaciekawienie ławicy. Czuł nacisk skał na wodę, a pod sobą potężne westchnienia Matki.

Nagle ławicę ogarnął strach. Panika uderzyła w nią jak błyskawica. Coś na głębinach rozpoczęło polowanie. Coś ogromnego... Co to takiego? – spytał Torak, starając się zapanować nad przerażeniem capelinów, które zaczynało i jemu się udzielać. Co na nas poluje?

Ławica nie odpowiedziała. Jednym wspólnym ruchem tysięcy ciał odwróciła się i pomknęła w stronę pełnego Morza, uchodząc przed nadciągającym Myśliwym i pozostawiając Toraka za sobą. Kolejny spazm bólu targnął nim w środku...

... i znowu był chłopcem, który patrzył, jak capeliny rozplývają się w mroku.

Płuca rozpaczliwie domagały się powietrza, krew huczała w uszach. Nie było czasu na rozmyślanie, co się zdarzyło przed chwilą. Tonął.

Kopnął na ślepo, usiłując wyrwać się ze śmiertelnego uścisku pradawnej Matki – a sieć stawiała mu opór i przytrzymała.

Nagle kolumna białej wody odepchnęła go na bok i coś dużego skoczyło w kipieli tuż obok. Potężne zęby w jednej chwili przegryzły sieć – i uwolniły Toraka...

Zobaczył ręce, sięgające w jego stronę. Ktoś usiłował go wyciągnąć. Ręce nie były dość silne, chłopiec zaczął się ześlizgiwać z powrotem w toń, rozdrapując sobie dłonie o skałoczepy.

Resztką sił zmusił się do ostatniego, rozpaczliwego kopnięcia, wypływając nieco wyżej ponad powierzchnię. Ręce pochwyciły go i wyciągnęły.

Pradawna Matka westchnęła i pozwoliła mu odejść.

Torak legł, dysząc, jak ryba wyrzucona na brzeg. Twarde muszle

skałoczepów wbijały mu się w policzek, wodorosty chrzęściły pomiędzy zębami. Nigdy jeszcze nic tak mu nie smakowało.

–Co tam robiłeś? – wyszeptał dziwnie znajomy głos. Torak przewrócił się na drugi bok, dźwignął na kolana i zaczął wypluwać z siebie coś, co wydawało mu się połową Morza.

–To...topiłem się – wysapał.

–Temu akurat trudno zaprzeczyć – odezwał się głos, pełen złości i zgrozy zarazem. – Ale co tam robiłeś? Dlaczego nie wspinałeś się na skały?

Torak podniósł głowę.

–Rent?. To ty?

–Sza! Bo ktoś usłyszy i przyjdzie. Możesz wstać? To chodź! Za mną...

Niezdolny pojąć, co się dzieje, Torak dźwignął się chwiejnie na nogi. Zatoczył się i byłby runął z powrotem do wody, gdyby Renn nie pochwyciła go za nadgarstek i nie odciągnęła w stronę brzoźowego zagajnika.

–Pójdziemy w tamtą stronę – szepnęła. – Jest tam taka zatoczka, gdzie nikt nie będzie nas widzieć!

Zaczęli przedzierać się między ogromnymi głazami i potarganymi brzoźami, aż w końcu wyszli na małą, białą plażę, ocienioną zboczem pagórka. Torak opadł na kolana w piach.

–Jak... jak mnie znalazłaś? – wysapał.

–Nie ja cię znalazłam – zaprzeczyła Renn. – To...Jakiś cień wystrzelił zza kamienia i przewrócił Toraka na plecy, pokrywając jego twarz gorącymi, szorstkimi pocałunkami.

–To Wilk – powiedziała.

Było coś dzikiego – niemal desperackiego – w ich wzajemnym powitaniu. Wilkpopiskiwał, wymachując gwałtownie ogonem i pokrywając twarz Toraka pocałunkami; chłopiec zaś do złudzenia przypominał wilka: lizał pysk przyjaciela i zanurzał twarz w jego futro, niskim, żarliwym pomrukiem opowiadał Wilkowi coś, czego Renn nie była w stanie pojąć.

Poczuła się jak intruz. Głęboko wstrząśnięta wydarzeniami, których świadkiem była przed chwilą, wciąż miała przed oczyma obraz ciała miotanego falami: twarzą w dół, z czupryną rozkołysanych ciemnych włosów. Myślała, że chłopiec jest martwy. Ręce jej drżały, gdy wyjmowała swój kołczan i łuk z kryjówki za głazem i zarzucała na ramię torbę wyplataną z trawy pełną skałoczepów.

–Możesz iść? – spytała bardziej szorstko, niż zamierzała.

Torak wciąż klęczał przy Wilku. Odwrócił się i obrzucił ją takim wzrokiem, jakby nie miał pojęcia, kogo ma przed sobą. Z długimi włosami oblepiającymi

podrapaną twarz nie przypominał jej dawnego przyjaciela.

–Nigdy... nigdy bym nie uwierzył. – Głos drżał mu ze wzruszenia.

–Musimy stąd iść, Torak! Jesteśmy zbyt blisko obozu, ktoś może nas tu zobaczyć! Było jasne, że słowa do niego nie docierają.

–Rusz się! – rzuciła, stawiając go na nogi.

Stok pagórka był stromy; miękki, głęboki mech i kolczaste krzewinki utrudniały wspinaczkę, lecz ku uldze Renn w końcu im się udało. Wilk tańczył wokół nich, kołysząc ogonem i skacząc raz po raz do twarzy Toraka.

Pokonawszy grzbiet pagórka, musieli przystanąć i odetchnąć przez chwilę.

–Jak udało wam się mnie znaleźć? – wysapał Torak z dłońmi opartymi na kolanach.

–Przeszukiwałam wybrzeże – powiedziała Renn. – Nagle Wilk mruknął tym swoim sposobem i zaczął biec. – Umilkła. – Co się stało, Torak? Dlaczego nie mogłeś się wspiąć na skałę?

–Wpadłem w sieć na foki.

–Jak to?

–Usiłowałem się wydostać, ale nie mogłem. Dopiero Wilk ją przegryzł. Ocalił mi życie.

Renn zastanowiła się. Pomyślała o tej niezwykłej miłości, dzięki której Wilk potrafił się zdobyć na czyny, których najbardziej się bał.

–On nienawidzi Morza – podjęła wreszcie. – Ledwie udało mi się go skłonić do

podróży łódką.

–Jak go przekonałaś?

Renn wydobyła zza kaftana rzemień z przywiązany doń gwizdkiem z kości głuszca. Torak przyjrzał mu się z uwagą.

–To znaczy, że gdybym wiele miesięcy temu ci go nie dał, nie dałabyś rady przyprowadzić Wilka ze sobą. A ja bym utonął. – Podrapał Wilka w bok, a ten otarł się o

niego, szczerząc zęby w wilczym uśmiechu.

Raz jeszcze Renn poczuła się nie na miejscu. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co działo się z Torakiem od chwili, kiedy potajemnie opuścił obóz Kruków. Tak wiele sama musiała mu opowiedzieć: o chorobie, o tokorogu.

–Chodź – powiedziała. – Mój szałas już niedaleko.

Zaczęli schodzić z grzbietu pagórka, płosząc parę kruków, które odleciały z oburzonym krakaniem. Torak nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – Przecież to las! – zawołał.

Przed nimi rozciągała się głęboka dolina o spadzistych zboczach,

wrzynająca się w góry niczym ślad po uderzeniu topora, z długim, wąskim jeziorem pośrodku. Jej zbocza, jak okiem sięgnąć, porośnięte były wierzbami, jarzębinami i jesionami. – Nie rosną tu zbyt wysoko – zauważyła Renn. – Ale przynajmniej to drzewa. Foki nie zapuszczają się w głąb lądu, więc łatwo tu się ukryć. Chociaż wczoraj znalazłam ślady nad jeziorem. Chyba mężczyzny lub chłopca.

– Strasznie tęsknię za Lasem – powiedział Torak, wpatrując się w drzewa.

– Ja też – przyznała Renn. – Brakuje mi łososi i smaku mięsa renifera. Noce są tu takie jasne. W Lesie się tego nie widzi, ale tutaj... nie mogę zasnąć.

– Ani ja – mruknął Torak.

– Tam jest mój szałas.

Renn wprowadziła Toraka do ukrytego wąwozu porośniętego paprociami, tawułami i drobnymi, żółtymi kwiatami. Płynął tu hałaśliwy strumień. Renn wykopała sobie we wschodnim zboczu lisią jamę z miejscem na ognisko przy wejściu. Jarzębina rozkładała ramiona matczynym gestem nad jej schronieniem.

– Wsuszysz się przy ognisku – powiedziała. – A ja ugotuję skałoczepy. To nie potrwa długo.

Odwiesiła kołczan i łuk i uklękła przy żarze. Ognisko niemal w ogóle nie dymiło, gdyż wykorzystwała obrane z kory kawałki drewna jesionu.

Nim wyruszyła szukać Toraka, położyła płaski kawałek łupka w ognisku, aby się rozgrzał. Splunęła nań teraz, aby sprawdzić, czy jest wystarczająco gorący. Zaskwierczał satysfakcjonująco. Wypłukała skałoczepy w strumieniu i rozłożyła na płaskim kamieniu do usmażenia.

– Czym się wcześniej żywiłaś? – spytał Torak, kuląc się przy ognisku z Wilkiem u boku.

– Przeważnie ptasimi jajami – wyjaśniła. – Trochę też polowałam, ale tylko na małą zwierzynę. Nie ma tu chyba łosi ani jeleni. W jeziorze muszą być ryby, ale jest zbyt na widoku. Dlatego poszłam szukać jedzenia na plaży – umilkła. – Nic mi nie jest, tylko martwię się o Wilka. Kruki zaprowadziły go do padliny, ale to dla niego za mało. A do ptaków już się

nie zbliża, bo opluły go pisklęta fulmarów. – Uśmiechnęła się blado. – Był taki nieszcześliwy. Musiałam zerwać trochę mydlnicy i go umyć. Bardzo mu się to nie podobało. – Urwała, wiedząc, że mówi za dużo.

Torak ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w płomienie.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś, Renn. Renn spojrzała na niego.

– No tak, dobrze.

Skałoczepy były gotowe. Nożem zrzuciła je z kamienia na duży liść łopianu.

Na widelec z jarzębinowej gałązki nadziała jedną muszlę dla opiekuna klanu, pozostałe podzieliła na trzy części. Jedną pozostawiła na trawie niedaleko Wilka, a potem pokazała Torakowi, jak odkrawać czarne, połyskliwe wnętrze, by dostać się do sprężystego, pomarańczowego mięsa. Popatrzył na muszle w zamyśleniu i zaczął jeść.

Zdjął kaftan i powiesił na gałęzi jarzębiny do wyschnięcia. Renn zdała sobie sprawę, że bardzo schudł, na łydce zaś dostrzegła ranę, bardzo niewprawnie zszytą. Należało z niej wyjąć nić. Powiedziała mu o tym, ale odparł, że zajmie się tym później, po czym zapytał, co jej się stało w dłoń.

–To ugryzienie – mruknęła, trąc dłonią o udo. Nie chciała w tej chwili wspominać o tokorogu.

Wilk zdążył już zjeść swoją porcję i raz po raz zerkał na niedokończony posiłek Toraka. Chłopiec oddał mu to, co pozostało, a potem oparł brodę na kolanach.

–Co się dzieje w Lesie? – zapytał. – Jest bardzo źle?

–Źle – potwierdziła Renn. Opowiedziała mu o tym, że klany odchodzą, oraz o chorym mężczyźnie w obozie Orłów.

Torak spochmurniał jeszcze bardziej.

–Wiesz, śnił mi się Wilk. Ostrzegał mnie we śnie. „Cień, polowanie”... chyba mówił coś w tym rodzaju.

–Sądysz, że ostrzegał cię przed chorobą? – spytała Renn.

–Nie wiem, zapytam go – Torak pochylił się nad Wilkiem i wydał z siebie łagodne, przechodzące w pisk warknięcie, a Wilk natychmiast skoczył na równe nogi i nadstawił uszu. Następnie nastawił ogon, liznął Toraka w kącik ust i zaskomlił w odpowiedzi.

–Co ci powiedział? – spytała zaniepokojona Renn.

–To samo. „Cień. Polowanie”. Gdybym tylko wiedział, o co mu chodzi. Renn wyczyściła popiołem swój nóż.

–Dlatego odszedłeś? Z powodu jego ostrzeżeń?

–Co takiego? – spytał Torak.

–Czy dlatego odszedłeś, nie mówiąc nikomu ani słowa? Mnie nic nie mówiąc. – Nie była w stanie ukryć urazy w swym głosie.

–Odszedłem – odrzekł spokojnie – aby zdobyć lekarstwo. Nie powiedziałem ci, bo nie chciałem cię narażać na niebezpieczeństwo.

Renn wbiła w niego wzrok.

–Przecież już byłam w niebezpieczeństwie! Wszyscy byliśmy! Co może być groźniejsze od choroby?

Torak zawahał się.

–Dręczyciel.

–Co to takiego?

–Nie wiem. Jest mały. Cuchnący. I ma szpony.

–Tokorog – wyszeptała Renn. Torak wyprostował się.

–To samo mówiły Konie Leśne. Tak się to nazywa? Pokiwała głową.

–Saeunn opowiedziała mi o nim po twoim odejściu. Dlatego poszłam cię

szukać. Mówiła, że to najbardziej przerażające istoty Lasu.– Istoty? – zdziwił się Torak. – Chcesz powiedzieć, że jest ich więcej?

Znów pokiwała głową.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

–Udało mu się pokonać Morze. Ukrył się w łódce Asrifa...

–Jest tutaj? – spytała Renn. – Na tej wyspie?

–Powiedziałem, ukrył się w łódce Asrifa. A jeśli jeden mógł... pewnie inne też to potrafią. Mogły się ukryć w łódkach Orłów Morskich albo wśród innych klanów.

Przez chwilę oboje się nie odzywali, pogrążeni w rozmyślaniach.

–Jesteś pewien, że tu jest? – spytała Renn.

–O tak – rzekł Torak ponuro. – Sam widziałem. To właśnie ta istota zastawiła na mnie zasadzkę. To przez nią omal nie utonąłem. – Umilkł. – Szukałem dowodów, jakiegoś śladu, żeby pokazać go Fokom.

–Pokazać Fokom? Dlaczego?

–Foki pomogą mi przyrzadzić lekarstwo.

–Oni ci pomagają? Nie rozumiem. Najpierw cię biją, potem przetrzymują jako więźnia, a ty...

–Już mnie nie przetrzymują. – Opowiedział jej całą historię: jak Dręczyciel podążał

jego śladem przez Las, jak sam zawrócił na granicy Puszczy; jak schwytały go Foki i zabrały

ze sobą, aby go ukarać. – Jestem pewien, że tokorog wywołuje chorobę – dodał. – Ale, co

dziwne, nie sprawił, że zachorowałem. Tak jakby... poddawał mnie jakimś próbom. Nie pojmuję, dlaczego.

Renn wciąż miała problemy ze zrozumieniem.

–Twierdzisz, że nie jesteś więźniem?

–Już ci powiedziałem. Foki pomogą mi zdobyć lekarstwo. Uczyli mnie nawet pływania łódką. A przynajmniej próbowali. Jutro wyruszamy do Orlich Turni. – Skierował

wzrok na wschód, gdzie robiło się coraz jaśniej. – A raczej dziś.

Renn sięgnęła po łodygę łopianu i zaczęła ją żuć.

–Mam złe przeczucia. Najpierw cię biją, a teraz chcą ci pomóc?

–Oni też potrzebują lekarstwa. Nie przekonało jej to.

–No właśnie, lekarstwo. Znam orle ziele, ale nigdy nie słyszałam, by używano go w Magii.

–I co z tego? – spytał ostro Torak. – Tenris wie, co robi.

–Kto to jest Tenris?

–To ich Czarownik, Renn. Chorowali już wcześniej, a on ich wyleczył. Może to znowu zrobić.

–Nawet jeśli to prawda, kto powstrzyma Pożeraczy Dusz od tego, by posyłali nowe tokorogi?

Torak wbił wzrok w twarz dziewczyny. Po chwili wstał i przeszedł się kawałek, potem powrócił do ogniska.

–Opowiedz mi o tokorogach – odezwał się. – Czym one są?

Renn skrzywiła się. Zaczepnęła głęboko tchu i powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od Saeunn.

W miarę jak słuchał, krew odpływała mu z twarzy.– Saeunn mówi, że one przestają być dziećmi – powiedziała Renn. – To demony. Prawdziwe demony.

–Jak niedźwiedź, który zabił Tatę – rzekł Torak.

Wilk wstał i zbliżył się do chłopca, aby się położyć obok. Torak podrapał go w jedwabisty bok. A potem przysunął do żaru i opadł na kolana.

–Kiedy próbowałem wydostać się z sieci – zaczął – stało się coś dziwnego.

Renn czekała, zastanawiając się, co usłyszy.

–Poczułem się bardzo źle. Gdzieś w środku. Już raz się tak czułem, podczas rytuału uzdrawiającego. Jakby... jakby coś wyrwało się ze mnie. – Przełknął ślinę. – Tam, w sieci, wydawało mi się, że zmieniłem się w rybę.

–Co takiego? – spytała Renn.

–Czułem... czułem kształt wszystkiego wokół tam w wodzie, zupełnie jak ryba. –

Chłopiec wpatrzył się w ogień. – Przypląnęły capeliny. Potem coś je odstraszyło. Wyczuły

Myśliwego gdzieś na głębinach. Ja też go wyczułem, Renn. Jak ryba.

Renn była oszołomiona.

–Jak to jak ryba? O czym ty w ogóle mówisz?

Wilk wydał z siebie ostrzegawcze warknięcie i podreptał na skraj poświaty, którą roztaczało ognisko. Nawet Renn zorientowała się, że ich ostrzega. Zerwała się i sięgnęła po łuk. Torak był już na nogach, wkładając kaftan. Gdzieś w oddali jakiś chłopiec wołał Toraka po imieniu.

–To Bale – powiedział Torak. – Muszę iść, bo inaczej zaczniesz coś podejrzewać.

–Kim jest Bale? – spytała Renn.

–Bale to... Bale – powiedział bezradnie Torak. – To jeden z tych, którzy schwytali mnie wtedy w Lesie, ale on...

–I ty chcesz do niego wrócić?

–Muszę iść, Renn. Przesilenie będzie za trzy dni.

–Ale... nie musisz płynąć Morzem, aby dotrzeć do Turni! Możemy trafić tam łądem, jestem pewna! Matka Tiu pochodziła z klanu Foki, więc dobrze znał wyspę. Narysował mi ją na piasku. Gdybyśmy wyruszyli w tej chwili...

Wołanie rozległo się ponownie...

–Przecież im nawet nie ufasz! – krzyknęła.

–Ufam... niektórym – powiedział. – Tak sędzę.

–Co masz na myśli?

–Wiem tylko – powiedział z niespodziewaną surowością – że moich przyjaciół spotyka krzywda lub śmierć, kiedy robią coś ze mną. Tak było z Oslakiem, z dzikiem. Lepiej zostań tu razem z Wilkiem.

–Torak, nie, ja...

–Trzymaj go przy sobie i nie pozwól, by Foki zorientowały się, że tu jesteście.

–Więc jednak pójdziesz do Turni razem z nimi?

–Naprawdę muszę, Renn. Kotłowało jej się w głowie.

–W takim razie my pójdziemy tam łądem. Ja i Wilk. Możemy ci się przydać. Chłopiec spojrzał dziewczynie w oczy i zobaczył, że nie uda mu się jej powstrzymać. Skinął głową.

–Torak! – krzyknął Bale.

Torak pośpiesznie opadł na jedno kolano i przyłożył czoło do wilczego łba, mamrocząc coś niezrozumiałego dla Renn. Wilk szturchnął go nosem w brodę i zaskomlił. Po chwili Torak wstał i zaczął się wspinać po zboczu w kierunku, z którego przyszli. – Nie pokazujcie się – rzucił przez ramię do Renn. – I uważajcie na tokoroga. Renn rozejrzała się wokół z niepokojem. Nie chciała zostawać sama w tym miejscu. Ale Toraka już nie było, rozpląnął się pośród drzew bezszelestnie jak wilk.

Torak! – wołał Bale. – Torak! Gdzie jesteś? Torak zbiegał z pagórka w stronę małej, białej plaży. Nie widział Bale'a, ale słyszał, jak przeciska się przez brzozy zagajnik.

Staniając się z wyczerpania, Torak wbiegł na chrzęszczący piasek i oparł się o głaz, żeby złapać oddech. Był poobijany, zeszywniały i zalękniony. Spotkanie Wilka i Renn ucieszyło go i przestraszyło zarazem. A jeśli coś im się stanie?

W upiornym półmroku plaża jarzyła się słabą poświatą. Torak zobaczył własny, kręty trop na piasku w miejscu, w którym wyszedł chwiejnie z brzozonego zagajnika, i zauważył też ze zgrozą ślady Wilka i Renn. Jeśli Bale je widział...Wśród brzoź błysnęła pochodnia. Nadchodził Bale. Lepiej się szybko zbierać.

Miał właśnie ruszyć biegiem przed siebie, gdy z drzew wyłoniły się dwie postacie.

–Mówiłem ci, że ucieknie – powiedział Asrif. – Bał się zmierzyć z Turniami, więc wymknął się do lasu.

Torak schował się za kamieniem i słuchał.

–Być może – odrzekł Bale. – Ale równie dobrze mógł wpaść w jakieś tarapaty – Torak ze zdziwieniem usłyszał szczery niepokój w jego głosie. – Nie widziałem, czy dotarł do brzegu.

–I co? – spytał Asrif. – Nie musisz się o niego troszczyć. Wydaje ci się, że tak trzeba, bo jesteś od niego starszy, ale to nie jest twój brat, Bale.

–Wiem o tym – przerwał mu ostro Bale. – Po prostu powinienem był się upewnić, czy wrócił. Taka pogoda nie jest bezpieczna dla początkujących, zwłaszcza dzisiaj. Jeśli Kormorany mówiły prawdę...

–Miejmy nadzieję, że nie – powiedział Asrif. Torak wyszedł zza kamienia.

–A co mówiły? – zawołał i ruszył ku chłopcom, zacierając ślady.

–Co się z tobą działo? – krzyknął Bale. Tak jak Asrif, trzymał w dłoni pochodnię skręconą z brunatnie, zamoczoną w foczym tłuszczu. W jej migoczącym świetle twarz chłopca wydawała się bardzo chuda. – Gdzieś ty był?

–Szukałem dowodów, że nie jestem kłamcą. Twarz Bale'a nie zdradzała żadnych emocji.

–Wymyśl lepszą historyjkę. Nie było cię prawie przez całą noc.

–Wpadłem do sieci na foki.

–Do sieci na foki? – prychnął Asrif. – Teraz to już na pewno kłamiesz. Nie zarzucamy sieci tak blisko obozu, bo nie ma tu żadnych fok.

–Może i nie – przyznał Torak. – Ale tak właśnie było. Pokażę wam.

Modląc się, by tymczasem przytyw nie zabrał sieci, Torak powiódł ich przez brzozy na główną plażę. Po drodze przyszedł mu do głowy nowy pomysł i poprowadził ich jeszcze kawałek dalej po piasku.

–Zdawało mi się, że mówiłeś o jakiejś sieci – powiedział Bale.

–Owszem, ale znalazłem też ślady. Pokażę je wam najpierw.

Miał szczęście. Fale nie sięgały jeszcze tak daleko, by zmyć odcisk stopy tokoroga; wciąż był dobrze widoczny, zwłaszcza w świetle pochodni. Bale ukląkł

przy nim.

–Co zostawiło ten ślad? Torak zawahał się.

–Coś złego.

–Zdaje się, że znalazłem sieć – zawołał Asrif od skał. Wyciągnął sieć z wody. – Tylko dlaczego ktoś miałby ją tutaj zarzucać? – dziwił się, gdy biegli ku niemu. – Foki nie podpływają tak blisko.– Nie chodziło mu o foki – wyjaśnił Torak – ale o mnie. Asrif znów prychnął.

–Wymyśliłeś to sobie!

–Nie wydaje mi się, żeby to sobie wymyślił – sprzeciwił się Bale, klękając i uważnie oglądając sieć. – Ktokolwiek ją zarzucił, znał się na rzeczy.

–Dlaczego tak sądzisz? – spytał Torak. Starszy chłopiec podniósł głowę.

–Żeby prawidłowo zarzucić taką sieć, trzeba przywiązać górną część do liny, którą przymocowuje się do skał. Robi się to w ten sposób, aby dół sieci wisiał luźno w wodzie. Trzeba też zadbać o to, by tylko jeden z górnych rogów był przywiązany mocno. Dzięki temu foka, która wpłynie do sieci, pociągnie ją. Sieć na nią spadnie i foka zostanie uwięziona.

–To działa – powiedział z przekonaniem Torak. Nagle znowu był w wodzie i czuł, jak obślizgłe wodorosty chwytają go za nogi.

–Spójrz na to. – Bale wskazał dwa rzędy kolczastych kościanych haczyków, sterczących niczym zęby u przeciwległych boków sieci. – Dzięki nim sieć się nie otworzy,

kiedy foka w nią wpadnie.

Torak pokiwał głową.

–Zastanawiałem się, jak to się stało, że tak łatwo wpadłem, a tak trudno było mi się

wydostać.

Bale wstał.

–A jak tyś się w ogóle wydostał? Torak znowu się zawahał.

–Użyłem muszli skałoczepa. Przeciąłem nią sieć. Bale patrzył z uniesionymi brwiami to na niego, to na podartą i pociętą sieć.

Torak odpowiedział upartym spojrzeniem. Nie chciał go okłamywać, ale nie ufał mu na tyle, by wyjawić prawdę. Jedyнным sposobem zapewnienia bezpieczeństwa Wilkowi i Renn było ukrywanie ich obecności.

–Co za różnica, jak się wydostałem? – dodał. – Ważne, czy mi wierzycie. Na wyspie

jest jakaś zła istota, i to ona roznosi chorobę. Musimy mieć to lekarstwo.

Bale przesunął palcem po dolnej wardze.

–W porządku – powiedział. – Myliłem się. Wydaje mi się, że mówisz prawdę.

Albo część prawdy. Ale powiedz mi jedno. Dlaczego ktoś chciałby cię schwytać? Dlaczego akurat ciebie? Kim ty jesteś?

–Wiem o tej istocie tyle samo, co i wy – odparł Torak. – Jesteś pewien? – spytał Bale.

–Całkowicie – urwał. – Więc o czym rozmawiałeś z Asrifem?

Wspomnieliście coś o klanie Kormorana.

Asrif i Bale wymienili spojrzenia.

–W cieśninie pomiędzy ich wyspą a naszą coś się dziś wydarzyło – odezwał się Bale. – Kilka osób z ich klanu łowiło tam ryby. Zostały zaatakowane.

–Zaatakowane? – spytał Torak.

–Przez Myśliwego – powiedział Bale.

–Samotnego Myśliwego – dodał Asrif. – Z wystrzępioną płetwą. Torak przypomniał sobie czarne płetwy płynące pod niebem pełnym mew; monstrualną płetwę z ubytkiem tuż przy końcu. Pomyślał o strachu capelinów...

–Wiesz, jak rzadko się zdarza, żeby Myśliwy odłączył się od swojego stada? – spytał Bale. – Samce robią tak, kiedy szukają partnerek, ale to dzieje się tylko w zimie. Z tego, co mówiły Kormorany, ten Myśliwy nie szukał partnerki.

–Ktoś zginął? – spytał Torak. Bale potrząsnął głową.

–Rozbił trzy łodzie ze skóry i odpłynął. Więcej go nie widzieli. Ich Czarownik uważa, że zostawił ich przy życiu, bo szukał kogoś innego.

–Może ciebie, Leśny Chłopczyku – zadrwił Asrif.

–Czemu? – zapytał Torak, bardziej wyzywająco, niżby chciał. – Dlatego że włożyłem do Morza linkę z kilkoma haczykami?

–Daj mu spokój, Asrif – powiedział Bale, po czym odwrócił się do Toraka. – Tenris nie sądzi, by mogło o to chodzić. Uważa, że idzie o coś znacznie gorszego. – Przyjrzał się Torakowi uważnie. – Nie zrobiłeś niczego, o czym powinniśmy się dowiedzieć?

Torak pokręcił głową.

–Ujmijmy to zatem inaczej – zaproponował Asrif. – Jesteś pewien, że chcesz wyruszyć z nami do Turni?

–Tak – odpowiedział Torak.

Lecz kiedy spoglądał na ciemne fale, przysysające się do skał, wcale nie był pewien. Może zrobił coś złego, nawet o tym nie wiedząc?

–Skoro nie zrobiliśmy nic złego, jesteśmy raczej bezpieczni – orzekł Bale. – Będziemy

trzymać się prądów pomiędzy samotnymi skałami a wybrzeżem. Tak dla pewności Tenris

przygotowuje czary ochronne dla naszych łodzi. – Zrobił ruch ręką w stronę

obozowiska. – Idź

coś zjeść. Wkrótce wyruszamy.

Bale skierował się wraz z Asrifem w stronę obozu, a Torak szedł kilka kroków za nimi. Znow był w wodzie, przypatrując się umykającym capelinom.

Przypomniał sobie ostrzeżenie Wilka ze snu: Cień. Polowanie.

Polowanie? Czyżby chodziło o Myśliwego?

Czy to przed nim starał się go ostrzec Wilk?

Jeszcze długo po odejściu Toraka Renn siedziała przy ognisku, rozmyślając o wszystkim, czego się od niego dowiedziała, i o jego śnie. Czuła żal, że nie zadała mu więcej pytań. Renn wiedziała trochę o snach, zdarzało się, że jej własne czasem się ziszczały. Kiedy była dziewczynką, bała się tego, więc – aby rozwiać jej strach – Fin-Kedinn poprosił Saeunn, by nauczyła ją odczytywać ukryte znaczenie snów. „Sny nie zawsze oznaczają to, co się wydaje – mówiła Czarownica. – Musisz patrzeć na nie kątem oka, jak przy szukaniu wilgotnych śladów”.

Cień. Polowanie.

Czy miało to jakiś związek z chorobą? Z tokorogiem? A może ani jednym, ani drugim; może chodziło o tego Myśliwego, o którym wspomniał Torak.

Te myśli przejęły ją dreszczem. Podczas morskiej podróży Orły Morskie zachowywały się bardzo ostrożnie, gdyż doszły ich wieści z klanu Brunatnicy, że samotny Myśliwy włóczy się po Morzu i jest zły. Powinna była powiedzieć o tym Torakowi, ale mieli zbyt mało czasu...

Wiatr zakołysał brzoźowymi gałęziami. Ręka dziewczyny powędrowała do rękojeści noża. Była ciepła, wietrzna noc, drzewa pojękiwały. Tu i ówdzie stał przycupnięty głaz. A może tokorog...

Skoczyła na równe nogi. Nie było sensu dłużej tu tkwić i się bać. Od zachodniego skraju wyspy i Orlich Turni dzielił ją co najmniej dzień drogi. Powinna już teraz opuścić obóz, żeby wyruszyć w drogę przed łodziami.

Podjęła decyzję i od razu poczuła się lepiej. Zadeptała ognisko, zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Kiedy podniosła głowę, zauważyła z niepokojem, że Wilk czeka już na nią na ścieżce. Znał jej zamiary nawet wcześniej, niż ona sama.

Nie pierwszy raz tak było; Torak nazywał to „wilczym zmysłem”, co zazwyczaj bardzo ją intrygowało. Tej nocy jednak wprawilo ją raczej w zdenerwowanie. Uświadomiło jej bowiem, że pewnych rzeczy o Wilku nigdy nie będzie wiedzieć. A tutaj, na smaganym wiatrem stoku pagórka, po którym wałęsał się tokorog, nie była to myśl uspokajająca.

Zarzuciwszy sobie plecak na ramiona, ruszyła wąską, zajęczą ścieżką, która

często kryła się w wąwozach i dawała najlepsze schronienie. Wilk dreptał obok, zatrzymując się tu i ówdzie, by powęszyć. Ogon miał opuszczony, a sierść gładką, więc obawy Renn nieco zmalowały i dziewczyna pozwoliła sobie odpłynąć myślami.

Czułem się tak, jakby mnie ktoś puścił wolno, opowiadał Torak. Jakbym był rybą.

Jego słowa martwiły ją chyba bardziej niż tokorog. Podobnie jak Toraka.

Nagle się zatrzymał.

Jakbym był rybą. Coś poruszyło się w przepastnych zakamarkach jej pamięci – ale umknęło.

Wiedziała tylko, że ma to coś wspólnego z chorobą, ale kiedy usiłowała sobie przypomnieć, wsiąkało w jej umysł jak woda w piasek...

Uff!

Ostrzegawcze szczeknięcie Wilka przywołało ją do rzeczywistości.

Stał nieruchomo, wpatrując się w jezioro.

Renn przypadła do ziemi i wczołgała się w krzaki jałowca.

Tam. Na wodzie. Łódź.

Było zbyt ciemno, żeby dostrzec, kto w niej jest. Renn zobaczyła tylko, że to mężczyzna – lub może chłopiec, z długimi włosami koloru blond, jak ludzie z klanu Foki. Wiosłował bezgłośnie na wschód, w stronę obozu Fok. Prawie bezgłośnie. Od czasu do czasu dobiegał ją odgłos wiosła postukującego o burtę.

Sposób, w jaki się rozglądał, kazał się domyślać, że wiosłarz nie chce, by go zauważono, i choć Renn znajdowała się czterdzieści kroków nad nim, wstrzymała oddech, przyglądając się, jak człowiek dobija do brzegu jeziora i wychodzi na płyciznę.

Wiedziała, że jezioro przechodzi w potok, który spływa parowem w dół, do Zatoki Fok. Parów był zbyt stromy, a nurt potoku zbyt wartki, by nim płynąć – więc co teraz robi wiosłarz? Jedyne sposob dotarcia do zatoki wskazał jej Tiu. Należało iść małą, białą plażą.

Patrzyła, jak wiosłarz wnosi łódź na brzeg i chowa ją w kępie brzoź. Po chwili zniknął wśród drzew – szedł w stronę białej plaży. A zatem albo był Foką, albo kimś, kto dobrze zna wyspę.

Renn wciągnęła policzki, zastanawiając się, co począć. Chętnie poszłaby za nim i przekonała się, kim jest i co tu robi; ale spieszno było jej iść tam, gdzie zmierzał Torak. Chciała dotrzeć do Turni na czas.

Myśl o Turniach przeważała. Renn nie ufała Fokom ani odrobinę; nie chciała zostawiać Toraka samego w ich towarzystwie. A zatem na zachód. Może kiedy się przejaśni, natrafi na ślady wioslarza i dowie się, co robił w tym miejscu.

Kiedy wstała, zorientowała się, że Wilk gdzieś zniknął bezszelestnie, jak to zazwyczaj robią wilki. Bez wątpienia udał się na nocne polowanie. Wolałaby, gdyby był przy niej.

Starając się poruszać jak najciszej i kładąc dłoń na skórze zwierzęcia klanowego, ruszyła na zachód.

Wilk martwił się. Kiedy biegł w stronę Legowiska jasnoskórych bezogonów, ledwie wyczuwał woń nornic skulonych po drugiej stronie Stożącej Wilgoci oraz samicę przedzierającą się przez krzaki. Odnajdzie ją kiedy tylko upewni się, że jego bratu ze stada nic nie jest – i kiedy znajdzie coś do zjedzenia. Samica szcudrze dzieliła się z nim upolowaną zwierzyną ale kawałek zająca nie mógł zaspokoić jego głodu; Wilk mógł spokojnie pochłonać jelenia wraz z kopytami. Niestety, na tej dziwnej, jasnej ziemi, po której żaden wilk wcześniej nie biegał, nie było jeleni. Ani koni. Ani łosi. Były tylko rybnie ptaki, które wolał zostawić w spokoju, gdyż pluły, kiedy się do nich zbliżyło.

Starął się skupić na biegu i zignorować głód, ściskający go w trzewiach. Wbiegł na skraj pagórka, gdzie docierało wiele różnych i fascynujących zapachów z doliny – a potem zbiegł drugą stroną, mijając zaprzyjaźnione kruki, i ruszył ku Wielkiej Wilgoci. Krucha biała ziemia drapała go w łapy, lecz zapach Wysokiego Bezogona był silny i Wilk bez trudu trafił za nim do Legowiska.

Trzymając się w cieniu, nastawił uszy i wciągnął powietrze. Wysoki Bezogon był poza zasięgiem wzroku, ale Wilk słyszał i czuł go wystarczająco dobrze – choć jego brat ze stada ani pozostałe bezogony nie mogły wiedzieć, że Wilk tu jest.

Zaciągał się powietrzem długo i głęboko, aby rozróżnić poszczególne wonie. Po chwili potrząsnął łbem, zniecierpliwiony. Bezogony były takie skomplikowane. Jeden z jasnoskórych na przykład przemawiał jak przyjaciel, a skrywał okropną żądzę. Wysoki Bezogon też nie mówił wszystkiego, co czuł. Nawet bratu ze stada.

Kiedy Wilk stał tak, niepewny, dobiegł go z oddali skowyt – tak daleki, że ledwo go słyszał. Przypominał nieco wilcze skowyty, jednakże brzmiał inaczej. Pomiędzy skowytami pojawiało się mnóstwo ostrych, trzeszczących dźwięków oraz wysokich, krótkich pisków.

Wilk słyszał to wycie już wcześniej: podczas tej okropnej podróży w pływającej skórze, a także za poprzedniego Światła. Skowyt dobiegał z głębi Wielkiej Wilgoci. Wydawały go wielkie, czarne ryby, które polują w stadach, jak wilki.

Wilk rozumiał, że wycie, które słyszy obecnie, dobywa się z gardła samotnej czarnej ryby, która pozostawiła swoje stado i przemierzała Wielką Wilgoć w

samotności, nękana smutkiem i gniewem. Wilk ze strachu położył uszy po sobie i podwinął ogon. Wiedział, że wobec czarnej ryby był tak samo bezradny, jak ślepe szczenię.

Wysoki Bezogon, rzecz jasna, wcale nie był bezradny, lecz – co dziwne – nie wiedział o tym.

Wilk był zdumiony, wyczuwając to w bracie ze stada, kiedy siedzieli razem przy Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco.

Wysoki Bezogon nie wiedział, czym jest.

Powiedziałem Bale'owi, że nie możesz nic wziąć na l pokład – mówił Tenris, pomagając Torakowi nieść łódkę ze skóry w stronę wody. – Będziesz potrzebował wszystkich sił, żeby utrzymać tempo – obrzucił Toraka zatroskanym spojrzeniem. – Wyglądasz na zmęczonego. Spałeś choć trochę?

Chłopiec potrząsnął głową. Chciał opowiedzieć Czarownikowi Fok o sieci i tokorogu, lecz nie miał czasu. Pozostali właśnie układali ekwipunek w swych łódkach.

Dzień był upalny, powierzchnia Morza zwodniczo spokojna. Lecz Torak nie mógł wyrzucić z pamięci grozy ogarniającej ławicę capelinów i ogromnych czarnych płetw tnących fale.

Tenris odgadł, o czym chłopiec myśli.

–Przygotowałem czar ochronny. Myśliwy nie będzie mógł was zauważyć.

–Wolałbym, żebyś popłynął z nami – powiedział Torak. Tenris uśmiechnął się.

–Ja również. – Zdrową ręką dotknął ramienia Toraka. – Uważaj na siebie – dodał i

ruszył plażą w stronę obozu.

Detlan zbliżył się do Toraka, niosąc pelerynę z foczych trzewi.

–Przyda ci się – powiedział.

–Dzięki – odrzekł Torak.

Strój wydawał się sztywny, gdy wkładał go na swój kaftan, uciskał szyję i nadgarstki, lecz miał go ochronić przed wilgocią.

–A to włóż pod kaftan – powiedział Detlan, podając mu zawiniątko suszonego,

wielorybiego mięsa. – Tylko nie zjedz tego przypadkiem.

–Po co mi to? – spytał Torak.

–Zawsze trzeba mieć ze sobą trochę jedzenia podczas morskiej wyprawy – wyjaśnił Detlan, marszcząc brwi. – Żeby nie pójść na dno z pustymi rękoma.

Torak spojrzał na wielorybie mięso i schował je pod kaftanem.

Na plaży zebrali się ludzie z klanu Foki, którzy nie wyruszyli jeszcze na wyspę

Kormoranów. Przypatrywali się przygotowaniom do wyprawy.

Młodsza siostra Detlana bardzo starała się nie rozplakać. Była wystarczająco duża, żeby pamiętać poprzednie natarcie choroby, i teraz, pełna obaw o swoją rodzinę, nieustannie oglądała wszystkim dłonie w poszukiwaniu bąbli.

Matka Asrifa wydawała się bardziej opanowana. Co rusz poklepywała pierś syna, mówiąc mu po raz dziesiąty, by na siebie uważał.

Ojciec Bale'a wcisnął synowi w dłoń niewielki przedmiot. Bale wymamrotał podziękowanie. Uśmiech rozjaśnił błękitne oczy starszego mężczyzny.

Torak czuł ściskanie w dołku, gdy patrzył na tę dwójkę. A potem pomyślał o Wilku i Renn i zrobiło mu się nieco lepiej.

– Czy to amulet? – spytał Bale'a, gdy starszy chłopiec zbliżył się do niego, by przeprowadzić oględziny łódki Toraka.

Bale kiwnął głową.

– To kawałek żebra pierwszej schwytej przeze mnie foki. Tata owinał go w gardziel kormorana, więc gdyby nadszedł sztorm, zaprowadzi mnie na wybrzeże – zerknął na Toraka. – A jaki amulet ty nosisz przy sobie?

– Żadnego – odrzekł Torak. – Ale w Lesie zawsze nosiłem ze sobą nóż ojca i róg na lekarstwa matki.

Bale zamyślił się przez chwilę. Następnie pobiegł plażą w stronę szalasów i zaraz wrócił, niosąc płaskie skórzane zawiniątko. – Twoje amulety – rzucił. – Tenris pozwolił ci je wziąć ze sobą.

Torak rozwinął pakunek. W środku znajdował się nóż o ostrzu z błękitnego łupka, woreczek z lekarstwami i róg.

– Dziękuję – mruknął.

Bale jednak już się odwrócił i nie usłyszał.

Wyruszyli bez ociągania. Zrazu uwagę Toraka bez reszty pochłonęły wysiłki, aby utrzymać równowagę, lecz kiedy okrążyli przylądek, zaryzykował i zerknął za siebie. Tenris

stał pod łukiem ze szczęk wieloryba i przypatrywał się, jak odpływają. Torak poczuł ukłucie niepokoju. Przez krótką chwilę wyglądało to tak, jakby Czarownik Fok miał zostać połknięty. Płynęli w dobrym tempie na zachód w towarzystwie mew i nurzyków. Pojawiła się łagodna bryza, pokrywając powierzchnię Morza zmarszczkami przywodzącymi na myśl twarz starej kobiety.

– Jest spokojna – powiedział Detlan, zrównując się z Torakiem.

Torak nie czuł się przekonany. Pomimo czaru ochronnego Tenrisa nie mógł powstrzymać się od wypatrywania wysokich, czarnych płetw. Poruszał się niespokojnie za każdym razem, gdy jakaś ryba przepływała tuż obok jego łodzi

albo przez kadłub przemknął cień mewy. Myśliwy z wystrzępioną płetwą mógł być wszędzie. Może w tej chwili płynął dokładnie pod nim?

Wiosłowali przez cały poranek, słońce przygrzewało na bezchmurnym niebie, a brzeg przesuwiał się miarowo.

Torak był zaskoczony, że jest w stanie utrzymać tempo, lecz wkrótce rytmiczne ruchy sprawiły, że zakręciło mu się w głowie.

Utkwił nieobecne spojrzenie w wodzie po jednej stronie łodzi, i raptem, niemal dokładnie przed sobą, zobaczył niewielki ciemny kształt – kształt, który rósł z każdą chwilą.

Ocknął się gwałtownie, a jego łódka zatrzęsała niebezpiecznie. Chciał krzyknąć, ostrzec pozostałych, lecz głos uwiązł mu w krtani.

Smukły szary łeb wynurzył się na powierzchnię wody tuż obok jego wiosła i strząsnął z wąsów perełki wilgoci. Foka ziewnęła – odsłaniając mnóstwo niezwykle ostrych zębów – i spojrzała na chłopca łagodnymi, ciekawskimi oczyma.

Torak gwałtownie wypuścił powietrze.

Foka zrobiła to także, otwierając szeroko nozdrza. Jej lśniąca, szara futro pokrywał wzór drobnych, ciemniejszych kręgów. Dlatego zachowywała się tak przyjaźnie. Wiedziała, że nie będą na nią polować.

Bale również ją spostrzegł. Kiedy zrównywał się z łódką Toraka, uśmiech rozjaśniał mu twarz.

–Opiekun! Teraz już wiem, że nic nam nie grozi!

Zwierzę przewróciło się leniwie na grzbiet i położyło płetwy na brzuchu, obserwując przepływających. Potem z miękkim „uff zamknęło nozdrza i zniknęło pod falami.

Być może dzięki obecności opiekuna po Myśliwym z wystrzępioną płetwą nie było ani śladu, oni zaś poruszali się tak prędko, że było jeszcze wczesne popołudnie, gdy dobili do brzegu niewielkiej zatoczki na odpoczynek.

Fale zniknęły, piasek pokrywała pajęczyna wodorostów i trójpalczaste ślady Łowców Małż. Bale i Asrif rozpalili ognisko i poszli napełnić wodą swoje bukłaki, a Detlan uczył Toraka, jak chwytać krewetki. Wkrótce uzbierali pokaźny stosik podłużnych, brunatnych stworzeń, które upiekli w żarze ogniska. Torak pomyślał, że mają nieco lepszy smak niż za pierwszym razem. Najwyraźniej zaczynał się do nich przyzwyczajać.

Oprócz krewetek jedli też kruche łodygi jakiejś morskiej rośliny, którą przyniósł Asrif. W smaku przypominała słonawy, zielony lód, i Torak jadł ją tylko dlatego, że robili to inni; choć gdyby to od niego zależało, wybrałby pieczone korzenie prawoślazu oraz ich lepką słodycz. Żaden z nich nie odzywał się

podczas posiłku i Torak zauważył ze zdumieniem, że czuje się niemal swobodnie w towarzystwie chłopców, którzy zaledwie cztery dni wcześniej urządzili na niego zasadzkę.

Mijało popołudnie, a oni płynęli na zachód. Torak czuł, że ramiona i uda zaczynają mu doskwierać. Więcej niż raz głowa opadała mu na pierś i budził się w chwili, kiedy wiosło wysuwało mu się z rąk. A Foki wciąż płynęły, ich jasne włosy rozwiewała bryza.

Torak zdążył już stracić nadzieję, że kiedykolwiek się zatrzymają, kiedy z oddali dobiegł go zgiełk morskiego ptactwa. Zmrużył oczy i dostrzegł ścianę skalną, wznoszącą się niebotycznie wysoko tuż nad brzegiem Morza. Jej szczyt przypominał kształtem płetwę Myśliwego. Wokół niego krążyło dostojnie kilka ciemnych kształtów. Orły, pomyślał.

–Naprawdę masz zamiar tam wejść? – spytał Torak, zadzierając głowę w stronę Turni.–Już tam wchodziłem – wzruszył ramionami Asrif, choć jego twarz miała kolor mokrego piasku.

–Tylko raz – mruknął Bale. – Ale wtedy nie wspinałeś się tak wysoko.

Stali u podnóża Turni, na wąskim, kamienistym skrawku lądu, który ciągnął się wzdłuż urwiska, sięgając w stronę Morza wąskim cyplem o kształcie pazura. Właśnie na końcu tego pazura pozostawili łodzie, na wypadek – jak powiedział Bale – gdyby Asrif spadł.

Torak nie widział jeszcze nigdy tak wysokiego urwiska jak Orle Turnie. Posępne skalne ściany szarpane wiatrem i chłodem przez wiele lat, poznaczone plamami ptasich odchodów, przypominały swą ciemnoczerwoną barwą surowe mięso wieloryba. Smród chwycił za gardło, a ptasi zgiełk przyprawiał o ból głowy.

Wcześniej Torak gotów był uznać, że urwiska wznoszące się ponad Zatoką Fok są zatłoczone, lecz tutaj było znacznie gorzej. Pomiędzy kormorany siedzące na niższych półkach skalnych nie dałoby się wcisnąć piórka, hordy nurzyków kłóciły się o miejsce, a nad

nimi krążyły trójpalczatki i inne mewy. Na najwyższych graniach dostrzegał ogromne, bezkształtne gniazda orłów.

–Niektóre z tych gniazd mają po kilkaset lat – mruknął Bale. – A niektóre orły ponad

pięćdziesiąt. – Pomimo hałasu starał się nie mówić zbyt głośno i Torak pojmował dlaczego.

Nie tylko na orły musieli bowiem uważać. Same Turnie mogły ożyć i strząsnąć ze swych

ramion niechcianego intruza. U ich stóp leżały potrzaskane odłamki skalne, które mogły

oznaczać tylko jedno: lawiny.

A jednak zgodnie z tym, co mówił Bale, Foki raz na jakiś czas wspinały się na te urwiska, na przykład gdy brakowało innej zwierzyny i nie sposób było zebrać wystarczających ilości ptasich jaj w pobliżu obozowiska. Zapewne stąd wzięły się krótkie kołki kamienne, wystające w regularnych odstępach ze skalnej ściany aż do najniżej położonych gniazd. Nawet te najniższe znajdowały się jednak na wysokości przyprawiającej o zawrót głowy.

Właśnie one były ich celem, choć Torak nie był w stanie dostrzec z dołu żadnej roślinności, nie mówiąc już o orlim ziele, które opisał mu Tenris: „Małe, wyrasta na wysokość dłoni, z fioletowoszarymi liśćmi i haczykowatymi korzeniami, przypominającymi szpony orła”.

Torak poczuł, że szyja go rozboleła, więc zaczął ją rozcierać.

–Kto powbił te kołki? – zapytał.

–Dziadek mojego dziadka – rzekł Bale. – Ale musimy je wymieniać za każdym razem, kiedy urwiska się ruszą.

–Zazwyczaj nie wspinamy się aż do najwyższych gniazd – dodał Detlan. – Orły mają teraz młode. Pomyślą, że Asrif na nie poluje.

–Miejmy nadzieję, że są na tyle mądre, by tak nie pomyśleć – odparł Bale. Z woreczka przytroczonego do pasa wydobyl wysuszony kawałek zielonoszarej lodygi jakiejś rośliny i przełamał go na cztery części. – Trzymajcie – powiedział, wręczając pozostałym po kawałku.

Detlan i Bale zaczęli od razu żuć, ale Torak przypatrywał się swojemu podejrzliwie.

–Co to jest?

–Skalne ziele – odrzekł Bale z pełnymi ustami. – Usuwa zawroty głowy.

–Wydawało mi się, że wspinać się będzie tylko Asrif.

–Zgadza się – powiedział Bale. – Ale od patrzenia w górę też można dostać zawrotów głowy.

Lodyga miała gorzki smak, lecz Torakowi natychmiast rozjaśniło się w głowie.

Czuł się całkowicie bezużyteczny, przypatrując się, jak Detlan pomaga Asrifowi włożyć na ramiona ciężką uprząż ze sznurów wykonanych z brunatnie i bada wielki drewniany hak przymocowany do uprzęży. Tymczasem Bale sprawdzał, kawałek po kawałku, trwałość długiego zwoju liny, który przewiesił sobie przez ramię.

–Co ja mam robić? – spytał Torak.

Asrif wyszczerzył do niego zęby w grymasie mało przypominającym uśmiech.

–Złap mnie, jeśli spadnę.

–Po prostu nie przeszkadzaj – mruknął Bale. Torak zacisnął zęby. Nie

pozwolą mu nawet pomóc.

Dusząc w sobie frustrację, patrzył, jak Bale bierze zamach i rzuca linę. Hak poszybował wysoko, Bale'owi udało się przewiesić linę przez kołek, sterczący ze skały jakieś dziesięć kroków powyżej miejsca, w którym się znajdowali. Asrif pochwycił hak i przypiął go do drugiego haka na plecach, Detlan zaś chwycił drugi koniec liny i pociągnął, aż się naprężyła. Asrif zaczął się wspinać, wymacując rękoma i stopami pęknięcia w skale i kołki, asekurowany z dołu przez Detlana.

Gdy znalazł się w pobliżu kołka, przez który przewieszona była lina, odnalazł niewielką półkę skalną tuż obok i balansując na palcach stóp, chwycił się skały jedną ręką. Drugą zaś odpiął linę od uprząży, po czym ją upuścił. Z głuchym łoskotem spadła na ziemię - Torak musiał gwałtownie odskoczyć, by go nie ugodziła - a Bale podniósł ją i cisnął ponownie. Tym razem przewiesił ją przez kołek wbity wyżej, uważając, by przy okazji nie stracić Asrifa. Ten zaś musiał okazać prawdziwe mistrzostwo w balansowaniu na wąskiej skalnej półeczce, żeby bez osunięcia się w dół pochwycić rozkołysany hak i przypiąć go do swej uprząży.

Po chwili był już znacznie wyżej i ptactwo morskie poderwało się z urwiska, w oburzeniu trzepocząc skrzydłami tuż nad głową chłopca. Kilkakrotnie się obsuwał i jedynie uprzęż - oraz mięśnie Detlana - uchroniły Asrifa przed śmiercią.

Podczas gdy Detlan i Bale ociekali potem, mocując się z liną, Torak stał nieopodal, nie mogąc znieść bezczynności. Asrif kontynuował swą ryzykowną wspinaczkę. Ostatnich parę odcinków - znajdujących się już poza zasięgiem rzutu Bale'a - pokonał, rzucając linę samodzielnie. Wybierał w tym celu kołki znajdujące się na tyle blisko, by rzut nie pozbawiał go równowagi. W tej chwili zbliżał się już do gniazd.

Torak przyglądał mu się, ocieniwszy oczy dłonią. Zobaczył ciemny, masywny kształt odrywający się od grani. Rozpoznał ogromne, łagodnie zakończone skrzydła orła, kołującego w dół, w stronę Asrifa.

Nad szczytem krążył samotny orzeł. Renn wyobraziła sobie Toraka, który był już zapewne po drugiej stronie, i przyspieszyła kroku. Choć słońce stało nisko na niebie, ścieżka wciąż pogrążona była w spiekocie, a leniwa bryza napływająca od strony jeziora niosła ze sobą bardzo niewiele chłodu. Wilk powrócił, ku wielkiej uldze dziewczyny, lecz bardzo mu się spieszyło na zachód i dotrzymanie mu kroku było niemałym wysiłkiem.

Zastanawiała się, czy Wilk wie, gdzie jest teraz Torak, a także czy odnalazł trop wioślarza, którego zauważyła w pobliżu jeziora. Wioślarz nie zostawił

żadnych śladów, nie licząc drugiej łódki ze skóry, którą ukrył w krzakach nad brzegiem jeziora. Łódź była pusta. Może zapasowa? Nic jej to jednak nie powiedziało o ewentualnych zamiarach wioślarza w tych rejonach wyspy.

–O tej porze roku Foki nie zapuszczają się w głąb lądu – powiedział jej Tiu. – Kiedyś

tak robiły, ale ostatnio z coraz większą surowością przestrzegają zakazu mieszania Lasu i

Morza.

–Nikt nie mieszka na zachodnim brzegu? – spytała Renn.

Tiu potrząsnął głową.

–Zachód wyspy należy do orłów. Zobaczysz ich dom z daleka: to wielki czerwony

szczyt o kształcie płetwy Myśliwego.

Renn po raz pierwszy dostrzegła szczyt w okolicy południa. Teraz, kiedy już odeszła nieco od jeziora, miała go dokładnie nad sobą.

Nie sposób było się nań wspiąć z tej strony: było to zdradzieckie piargowe zbocze, na którym nie utrzymałaby się najmniejsza roślinka. Natomiast na lewo od Renn rosło kilka potarganych drzew jarzębinowych, co oznaczało, że da się być może obejść górę od południowej strony i dotrzeć do morskiego brzegu.

Bardzo na to liczyła, gdyż inaczej nie zdoła odnaleźć Toraka.

Ku jej zaskoczeniu Wilk wcale się tym kierunkiem nie zainteresował. Zamiast tego ruszył na północ i zniknął w brzoźowej gęstwinie, po czym wyłonił się, niecierpliwie zachęcając Renn, by poszła za nim. Nie wyglądał na zmartwionego; był po prostu podekscytowany. Postanowiła podążyć za Wilkiem.

Przeciskając się przez zarośla, zdała sobie sprawę, że wspina się po usłanym kamieniami zboczu, które wkrótce pozbawiło ją tchu i solidnie podrapało. Z wielką ulgą dotarła w końcu na wietrzną przełęcz, górującą ponad plażą połyskliwego, czarnego piasku.

Plaża na północy gwałtownie się urywała, wpadając stromym urwiskiem do Morza, na brzegu leżała bezładna masa kamieni. Pośród nich hałaśliwie uganiały się ptaki, pożywiając się jakimś padłym, wielkim zwierzęciem.

Padlina, pomyślała Renn, patrząc, jak Wilk pędzi w dół zbocza na plażę. Trudno się dziwić, że był tak podekscytowany. Nareszcie będzie się mógł najeść.

Ponieważ pokonała już tak długą drogę, postanowiła przyjrzeć się z bliska martwemu zwierzęciu.

Wiatr zmienił kierunek, uderzając ją w nozdrza odorem zgnilizny. Kiedy zeszła ze zbocza, a jej stopy zachręściły na czarnym piasku, ujrzała Wilka,

który po drugiej stronie plaży właśnie rozganiał ptaki. Kruki i mewy zanurkowały w jego stronę, ale odegnał je kilkoma kłapnięciami. Mądrzejsze nieco kruki usadowiły się na kamieniach, czekając na swą kolej.

Wówczas zauważyła, że ktoś był tu już przed nią. Obok odcisków wilczych łap dostrzegła ślady mężczyzny. Szedł tędy, nie spiesząc się. Cokolwiek robił w tym miejscu, nie zależało mu na czasie.

Podeszła jeszcze bliżej i smród padliny spotężniał do tego stopnia, że musiała oddychać przez usta. W słonecznym blasku trudno było ocenić, czym było martwe zwierzę spoczywające pośród kamieni. Był to wielki, garbaty kształt spryskany ptasimi odchodami. Zgłodniały Wilk łapczywie odrywał wielkie kawały ciemnoczerwonego mięsa.

Gdy się zbliżyła, odwrócił się, aby swym ciałem oddzielić zdobycz od dziewczyny. Dawał w ten sposób do zrozumienia, by zostawiła mu więcej miejsca podczas posiłku, lecz to, co ujrzała, sprawiło, że w jednej chwili zapomniała o prośbach Wilka.

Och nie! – pomyślała. To niemożliwe!

Wilk podniósł łeb i warknął, a potem zaskomlił niepewnie i machnął ogonem. Starał się jej powiedzieć, że chociaż ją lubi, nie powinna się zanadto zbliżać do jego mięsa.

Renn zatoczyła się do tyłu. Widziała wystarczająco dużo.

Młody Myśliwy został schwyty w sieć z brunatnie i uśmiercony toporem. Ścierwo pozostawiono ptakom. Ktoś zadowolili się wyrwaniem zębów zwierzęciu.

Czuąc, że zbiera jej się na wymioty, Renn opadła na kolana w piach. Przypatrywała się małej, czarnej płetwie, w której ptaki zdążyły już powydziobywać dziury. Kto mógł zrobić coś tak potwornego?

Potem przypomniała sobie ostrzeżenia, zasłyszane od ludzi z klanu Brunatnicy. Mówili o samotnym, rozgniewanym Myśliwym.

Trudno się dziwić, że wpadł w gniew, pomyślała.

Asrif był w tarapatach. Udało mu się dotrzeć na półkę skalną tuż pod orlimi gniazdami, ale właśnie tam zaczepił uprzężą o skałę za plecami w taki sposób, że nie mógł sam się uwolnić.

–Powinien się odciąć – powiedział Detlan, zadzierając głowę.

–A jak zejdziesz na dół bez uprzęży? – spytał Bale. – Jeśli się zaczepił na dobre, to... -zaczął Torak.

–...to nie ma jak zejść – krzyknął Bale. – Zdążyliśmy już na to wpaść.

–Chodzi mi o to – ciągnął Torak – że mógłbym wspiąć się do niego i pomóc.

–Co takiego? – spytali Bale i Detlan jednocześnie.

–Mógłbym użyć tych kołków obok. Jeśli uda mi się ich dosięgnąć...

–Jeśli – mruknął Bale.

–Macie zapasową uprząż i zwój liny, a ja jestem lżejszy od niego – orzekł

Torak, spoglądając na Bale'a. – Przyglądałem się, jak to robił.

Chłopak wybałuszył oczy, jakby widział Toraka po raz pierwszy w życiu.

–Naprawdę spróbujesz?

–Musimy mieć korzeń – odparł Torak. – No a poza tym – dodał – co więcej możemy zrobić?

Pierwsze dziesięć kroków okazało się w miarę łatwe. Uprząż zwiślała luźno z ramion, Torak czuł na plecach ciężar wielkiego drewnianego haka, połączonego z drugim na końcu liny. Szybkie oględziny pozwoliły mu się upewnić, że oba haki są solidnej roboty, wykonane z twardego drewna świerkowego. Detlan trzymał linę Asrifa, więc to Bale asekurował Toraka podczas wspinaczki na pierwszą półkę skalną.

–Nie patrz w dół – ostrzegł. – Ani za wysoko w górę.

Torak zapomniał o tym niemal od razu. Czekał, aż Bale przerzuci linę ponad następnym kołkiem, zerknął w górę i zobaczył Asrifa, który z tej odległości wydał mu się nieprawdopodobnie mały. Ponad nim sterczała z urwiska płatanina gałęzi. Gniazda. Tylko gdzie podziały się orły?

Udało mu się pochwycić hak za drugim razem i po kilku niezręcznych próbach przypiąć go do uprzęży. Kiedy poczuł szarpnięcie liny – znak, że Bale jest gotów – zaczął się wspinać.

Kołki były solidne, lecz rozmieszczone w zbyt dużej odległości od siebie dla chłopca jego wzrostu i Torak obsunął się dwukrotnie, czując, jak uprząż chwyta go i nie pozwala spaść.

Urwisko było rozgrzane od słońca. Przed wspinaczką Torak zdjął pelerynę z foczych trzewi, ale i tak już teraz zalewał się potem. Każdą półkę, każdy występ w skale pokrywała warstwa ptasiego łajna. Od smrodu piekły go oczy, a ręce i stopy zrobiły się szare i śliskie.

Podrzucanie liny samemu okazało się o wiele trudniejsze, niż wyglądało w wykonaniu Asrifa, niemniej po kilku nieudanych próbach Torak zdołał przewiesić ją przez kołek. Nóż ojca obijający się o udo i ciężar woreczka, w którym spoczywał róg na lekarstwa matki, dodawały mu nieco pewności siebie.

Tu i ówdzie mijał niedorzecznie wyglądające w tym miejscu kępiki różowych kwiatków koniczyny, drżące w powiewach bryzy. Pisklę nurzyka wykręciło nieopierzoną szyję i łypnęło na niego. Większość ptaków umykała na jego widok, lecz kilka sztuk usiłowało go odegnać. Nad głową chłopca z krzykiem trzepotały trójpalczatki. Kiedy mijał półkę skalną, na której tłoczyły się młode fulmary, ledwo uniknął strzałów cuchnącego śluzu.

Kiedy już zaczął wątpić, czy kiedykolwiek dotrze na miejsce, poczuł pod stopami skalną półkę i spostrzegł, że zrównał się z Asrifem.

Chłopiec z klanu Foki znajdował się odrobinę dalej niż na wyciągnięcie ręki. Tkwił na czworaka na półce skalnej, odwrócony do Toraka plecami. Paskiem uprząży na ramieniu zaczepił o język skalny, w sposób niedający nadziei na samodzielne uwolnienie się.

Odwrócił niezgrabnie głowę.

–Dobrze cię widzieć, Leśny Chłopczyku – powiedział, usiłując się uśmiechnąć. Twarz miał poczerwieniałą, choć nie sposób było stwierdzić, czy ze wstydu, czy ze zmęczenia.

–Spróbuję cię odczepić – powiedział Torak i zaczął się ostrożnie przesuwać w jego stronę, opierając stopy na wąskim pęknięciu w skale, prowadzącym do półki Asrifa.

–Uważaj na orły – ostrzegł chłopak.

Torak zerknął w górę – i niemal, zsunął się z urwiska. Niebo tuż nad jego głową przestaniały orle gniazda. Gigantyczna platanina omszałych gałęzi dorównywała rozmiarem szalasowi Kruków. Ze środka dobiegało nikłe popiskiwanie piskląt. Rodziców jednakże nie było widać w pobliżu.

–Gdzie one są? – mruknął.

–Kołują nad nami – wyjaśnił Asrif. – Zorientowały się chyba, że utknąłem. Ale tobie mogą nie przepuścić.

Torak przełknął ślinę i zerknął na półkę skalną, którą przed chwilą opuścił. Lina tkwiła bezpiecznie na najwyższym kołku. Powinna go ochronić przed upadkiem, jeśli straci równowagę. O ile, rzecz jasna, lina wytrzyma, uprząż nie pęknie albo nie złamie się kołek...

Co by było, gdyby... skarcił się w duchu. Masz chyba coś do zrobienia.

Przesunął się jeszcze kawałek w stronę Asrifa. Ale nawet wychylając się najdalej, jak się dało, nie był w stanie dosięgnąć jego uprząży.

Spróbował podejść bliżej, ale lina nie pozwoliła mu ruszyć się z miejsca. Pociągnął, dając umówiony znak Bale'owi, by ją poluzował, lecz bez odzewu.

–Nie może poluzować – powiedział Asrif. – Lina jest za krótka.

Torak zerknął w dół, a kiedy jego wzrok pokonał przyprawiającą o zawrót głowy odległość, natrafił na twarz Bale'a, który kręcił głową.

Zastanowił się przez chwilę. A potem pospiesznie się odpiął, pozostawiając uprząż na linie. Nic już nie chroniło go przed upadkiem.

–Co ty wyprawiasz – wyszeptał z przerażeniem Asrif.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/